KTO OSWAJA PROSTYTUCJĘ

ABP GĄDECKI KONTRA SYNOD

ZAMACH NA JFK: NOWA TEORIA

KULTURA PO GLIŃSKIM

KOCHAJMY OWADY

Kraków 22–28 listopada 2023 nr 48 (3881) cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

SZYMON HOŁOWNIA:

Marszałek słyszy wszystko

STRONY SPECJALNE

FUNDACJA NA RZECZ NAUKI POLSKIEJ

CENTRUM ARCHIWISTYKI SPOŁECZNEJ

MARATON SOLIDARNOŚCI

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

TYGODNIK POWSZECHNY

Odważnie prowadzimy Czytelniczki i Czytelników przez świat, zachęcając do patrzenia na rzeczywistość z różnych perspektyw. Ważny jest dla nas wzajemny szacunek i otwartość. Wierzymy, że świat da się naprawić.

BLACK FRIDAY
SUPER OFERTA NA TYGODNIK
+ PÓŁ ROKU CZYTANIA W PREZENCIE

SKORZYSTAJ

Oto niektóre, chociaż przecież nie wszystkie, zalety oferty na cyfrowy TYGODNIK:

- **545 DNI** nieograniczonego dostępu do wszystkich treści
- Także w formatach PDF, EPUB i MOBI
- Ogromne archiwum TYGODNIKA

A na Black Friday wyjątkowo:
160 złotych oszczędności w porównaniu do standardowej oferty.
Kup na **TygodnikPowszechny.pl/sklep** lub skorzystaj z kodu QR.

Oferta ograniczona czasowo.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KS. ADAM

Boniecki: *Weź, czytaj*

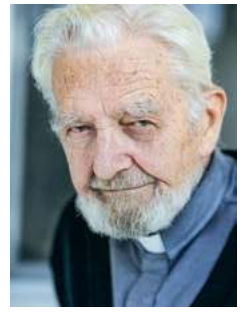

Komentowanie Biblii jest ryzykowne. Nawet zajmowanie się księgami Nowego Testamentu od tego ryzyka nie jest wolne. Pokazuje to opublikowany w tym numerze artykuł Pawła Rakowskiego SJ.

Księgi te – nawet cztery Ewangelie, Listy, Dzieje Apostolskie – powstały dawno. Wiadomo, że ich autorstwo, w jakimś przynajmniej stopniu, nie było jednolite, a zresztą i w tym punkcie nie ma jednej, absolutnie pewnej opinii. Teolog ks. Eligiusz Piotrowski w opasłym tomie (ponad 840 stron) pt. „Początki wiary w zmartwychwstanie Jezusa" pokazał, na czym polega poważna praca nad biblijnym tekstem. Zacytujmy ostatni fragment tej książki: „Zmartwychwstania Jezusa może zatem *dowieść* jedynie wspólnota Jego uczniów, która ze wszystkich sił stara się realizować to, czego On nauczał i za co oddał swe życie. Bez tego fundamentalnego świadectwa wszelkie inne dowody, argumenty i racje byłyby tylko nic niewartą erystyką. A od takiego rozwiązania Jezus z Nazaretu był daleki. Sam fakt, że prawie dwa tysiące lat po Jego śmierci, na różne sposoby żyje On we współczesnym świecie, przekonuje o tym, że śmierć na krzyżu nie była ostatnim epizodem Jego życia, ale początkiem kształtowania nowej historii znacznej części ludzkiej społeczności. Dlatego można wciąż mówić o Jego powstaniu z martwych. Choć obok wyznania: *zmartwychwstał* ciągle pojawia się pytanie: *ale jak to rozumieć?*".

Pisząc na naszych łamach o książce ks. Piotrowskiego (powszech.net/pustygrob), Józef Majewski słusznie zauważył: „Niewątpliwie są sprawy wiary, które przekraczają ludzkie możliwości poznawcze, co wcale nie znaczy, że trzeba przed nimi kapitulować. Przeciwnie, można i trzeba je zgłębiać, a nawet spierać się o nie, zostawiając miejsce na różne rozwiązania i stanowiska, bez rzucania anatem".

Ustalaniem i rozstrzyganiem, co w księgach Starego i Nowego Testamentu jest zapisem wydarzeń historycznych, co zaś opisem wyobrażeń czy wreszcie ozdobnikiem literackim, dopisanym do realistycznego opisu wydarzeń, by dodać im blasku lub by je skomentować (anioł w Ogrodzie Oliwnym, głos z nieba podczas chrztu w Jordanie) – zajmują się nauki biblijne. Dzięki postępowi tych nauk coraz lepiej odczytujemy stare zapisy, których autorzy nie trzymali się zasad obowiązujących dzisiaj. Czytanie Pisma Świętego – o czym należy pamiętać – jest zawsze czytaniem książki, która powstała dawno, kiedy powielano teksty przepisując je, a w czasie przepisywania dokonując korekt, uzupełnień, a także popełniając, bynajmniej nie złośliwie, rozmaite błędy. Czytając Biblię należy też pamiętać o języku oryginału. My korzystamy zwykle z tłumaczeń, które są lepsze lub gorsze, zawsze jednak są tylko tłumaczeniami. W dodatku z języków należących do całkiem innej rodziny językowej, posługujących się nie zawsze dziś jasnymi poetykami, obrazami i odwołaniami. Jedno słowo może mieć wiele znaczeń. Stąd np. przywoływana przez Pawła Rakowskiego trudność w przekładzie słów Boga skierowanych do Abrahama: „wnieś go tam na ofiarę" czy też, jak w polskim przekładzie, „i tam złóż go w ofierze".

Nie ma co udawać, że lektura Biblii nie stwarza trudności. Jej odczytywanie wciąż jeszcze wymaga udoskonalania. Sposobem takiego doskonalenia własnej lektury Biblii jest pogłębianie własnej wiedzy, dzięki np. wspomnianemu dziełu ks. Piotrowskiego, ale też licznych – często znacznie łatwiejszych i mniej obszernych – fachowych książek. Był czas, że tego rodzaju opracowania obkładano karami kościelnymi, a na czytanie ich trzeba było mieć pozwolenie biskupa. Wynikało to z przekonania o słabym przygotowaniu większości katolików do takiej lektury. Zresztą, wszelkie takie zakazy były mało skuteczne. Restrykcje już dość dawno zdjęto, przygotowanie katolików jest z pewnością lepsze (choć często nie najlepsze). Możemy czytać wszystko. Wszystko też można dziś wydawać. Tym ważniejszy staje się wybrzmiewający w tekście o. Rakowskiego postulat, żeby, gdy chodzi o odczytywanie Biblii – choć przecież nie tylko wtedy – sięgać po dzieła kompetentne i poważne. ©℗

GRAŻYNA MAKARA

Anna Goc
laureatką tegorocznej nagrody im. Beaty Pawlak

przyznawanej autorom publikacji o innych religiach, kulturach i cywilizacjach.

NASZĄ DZIENNIKARKĘ nagrodzono za książkę „Głusza", portretującą sytuację osób głuchych w Polsce.

Gratulujemy!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

20 Seks na pełen etat
ANNA GOLUS
Prostytucja jako zwyczajna praca, wolny wybór i wyzwolenie kobiet. Absurd? Nie dla części polskich feministek, badaczek i mediów.

32 Opowiastki biblijne
PAWEŁ RAKOWSKI SJ
Wiedza pomagająca dostrzegać niuanse Pisma Świętego pozwala też obnażać błędy takich książek, jak „Chrześcijaństwo. Amoralna religia".

44 Strategiczny wiraż Armenii
WOJCIECH KONOŃCZUK
Ormianie stoją przed największym wyzwaniem od momentu odzyskania niepodległości.

62 Niepokojąco czysta szyba
JUSTYNA KIERAT
Dlaczego znikają owady i co możemy zrobić, żeby wróciły?

76 Jak odzyskać kulturę
PIOTR KOSIEWSKI
Osoba, która zastąpi Piotra Glińskiego, musi na nowo zdefiniować politykę kulturalną państwa i funkcje ministerstwa.

86 Co gra dom
ROZMOWA Z ARCHITEKTEM BOGUSŁAWEM BARNASIEM:
Legalizujemy coś dopiero, kiedy zostanie docenione na Zachodzie.

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER // AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN // EASAINT / STOCKIMO / ALAMY / BE&W // MATERIAŁY PRASOWE BXB STUDIO // BEATA ZAWRZEL / REPORTER // ABACA PRESS / FORUM

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Arcybiskup kontra papież
PIOTR SIKORA

8-9 Komentarze

10-11 Wydarzenia

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, KARD. GRZEGORZ RYŚ, PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

20 Seks na pełen etat
ANNA GOLUS

24 Dług jaki jest, nie każdy widzi
PIOTR WÓJCIK *ocenia stan polskiej gospodarki po ośmiu latach rządów PiS*

27 Senior nie śpi, bo klika
SZYMON ŻYŚKO: *Dla mózgu smartfon jest tym, czym dla baterii telefonu działające w nim aplikacje. Z wiekiem pojemność baterii maleje*

■ ■ WIARA

32 Opowiastki biblijne
PAWEŁ RAKOWSKI SJ

36 Finansowy bat na Kościół
MARCIN CHODUŃ: *Jak świeccy w Szwajcarii zmusili biskupów do podjęcia walki z wykorzystywaniem nieletnich przez duchownych*

39 Bardzo dobre ryzyko
ROZMOWA Z JULIĄ OSĘKĄ, UCZESTNICZKĄ SYNODU

■ ■ ŚWIAT

44 Strategiczny wiraż Armenii
WOJCIECH KONOŃCZUK

TEMAT TYGODNIKA

MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

12 Człowiek w drodze
PIOTR ŚMIŁOWICZ
Jest pierwszym od 18 lat marszałkiem Sejmu spoza PiS i PO. Ma szansę uczynić z Trzeciej Drogi prawdziwą trzecią siłę. Nie jest przecież politykiem.

16 Marszałek słyszy wszystko
ROZMOWA Z SZYMONEM HOŁOWNIĄ

■ STRONY SPECJALNE ■

54 FUNDACJA NA RZECZ NAUKI POLSKIEJ

60 CENTRUM ARCHIWISTYKI SPOŁECZNEJ

69 MARATON SOLIDARNOŚCI

■ FELIETONY ■

31 TOMASZ STAWISZYŃSKI
43 ZUZANNA RADZIK **67** ELIZA KĄCKA
84 OLGA DRENDA **85** PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: SZYMON HOŁOWNIA
W Sejmie, 13 listopada 2023 r. / FOT. RADEK PIETRUSZKA / PAP

Redaktor prowadzący: MAREK RABIJ

47 Książę, który chciał służyć
PATRYCJA BUKALSKA: *Karel Schwarzenberg był jednym z ostatnich już europejskich polityków, w których życie wpisały się główne momenty historii XX wieku*

48 Niemiec na Litwie to już nie okupant
TOMASZ OTOCKI *o postępującym otwarciu Litwy na Niemcy*

51 Sześć sekund, które wstrząsnęły Ameryką
MARTA ZDZIEBORSKA: *Świadek zamachu na prezydenta Kennedy'ego przedstawił właśnie swoją wersję tych wydarzeń*

■ ■ HISTORIA

56 Krąg Felczaka
JACEK TARAN: *Od śmierci prof. Wacława Felczaka minęło 30 lat, ale wiele osób wciąż identyfikuje się jako jego uczniowie*

■ ■ NAUKA

62 Niepokojąco czysta szyba
JUSTYNA KIERAT

■ ■ KULTURA

76 Jak odzyskać kulturę
PIOTR KOSIEWSKI

80 Poe na nasze czasy
JAKUB MAJMUREK: *Po co o kryzysie opioidowym opowiadać w konwencji horroru?*

82 Opowieści z wnętrza
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Skąd dokąd" Macieja Hameli*

83 Władza i srebro
LEKTOR *o „Nostromo" Josepha Conrada*

■ ■ ZMYSŁY

86 Co gra dom
ROZMOWA Z BOGUSŁAWEM BARNASIEM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Sudan: wojna trwa, kraj się rozpada [Strona świata]
Po trwającej od wiosny wojnie domowej Sudanowi, który w 2011 r. rozpadł się na północ i południe, grozi dalszy podział, na wschód i zachód – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | TygodnikPowszechny.pl/stronaswiata

Czarna skrzynka [Co obejrzeć w weekend]
Polskie picie ma nową, tym razem serialową twarz – **ANITA PIOTROWSKA** ogląda serial „Informacja zwrotna" | TygodnikPowszechny.pl/weekend

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

ARCYBISKUP KONTRA PAPIEŻ

Przewodniczący polskiego episkopatu nie chce, by Kościół przejął od liberalnej demokracji transparentność procedur. Dlatego krytykuje Synod, a w konsekwencji papieża.

PIOTR SIKORA

POWYŻEJ:
Arcybiskup Stanisław Gądecki podczas mszy świętej w Bazylice św. Piotra. Watykan, 16 października 2023 r.

Czy najważniejsi polscy biskupi są między sobą skonfliktowani na fundamentalnym dla episkopatu poziomie – tj. w kwestii wizji Kościoła? Czy jedna ze stron tego konfliktu wspiera papieża, a druga go atakuje? Dotąd konflikty pomiędzy hierarchami nie przedostawały się do szerokiej opinii publicznej – teraz zaczyna się to zmieniać.

W rzymskiej sesji Synodu o synodalności uczestniczyło czterech biskupów z Polski: kard. Grzegorz Ryś i arcybiskupi: Adrian Galbas, Stanisław Gądecki i Marek Jędraszewski (a oprócz nich delegat świecki, prof. Aleksander Bańka). Po zakończeniu rzymskiego zgromadzenia mogliśmy najpierw przeczytać kilka wywiadów z kard. Rysiem, w których łódzki metropolita wypowiadał się o najważniejszym tegorocznym kościelnym wydarzeniu bardzo entuzjastycznie. Głos kardynała Rysia został jednak w ostatnich dniach zagłuszony przez kilka wypowiedzi arcybiskupa Gądeckiego.

Najważniejszymi z tych wypowiedzi przewodniczącego polskiego episkopatu wydają się: pisemne sprawozdanie z Synodu oraz równolegle ujawniony list, który abp Gądecki wysłał do papieża w pierwszych dniach synodalnego zgromadzenia w sprawie niemieckiej Drogi Synodalnej.

„Sprawozdanie" ujawnia bardzo krytyczny stosunek abp. Gądeckiego do Synodu o synodalności. Negatyw-

nie ocenia on metodę prowadzenia obrad. Z aprobatą przywołuje wysunięte przez 91-letniego kard. Zena, emerytowanego arcybiskupa Hongkongu, oskarżenie wobec Sekretariatu Synodu o manipulację przebiegiem zgromadzenia. Taką manipulacją miało rzekomo być prowadzenie rozmów w małych grupach, w których uczestnicy mieli słuchać siebie nawzajem, ale bez możliwości polemik. Zdaniem metropolity poznańskiego taka forma nie dawała okazji do autentycznej rozmowy (jak stwierdził wprost w wywiadzie dla konserwatywnego amerykańskiego portalu Catholic World Report).

Przewodniczący KEP wyraził także poważne wątpliwości wobec rozszerzenia grona pełnoprawnych członków Synodu – którymi były także osoby świeckie. Krytycznie potraktował również kluczowe teologiczne postulaty, które pojawiały się na Synodzie – m. in. dotyczące samej synodalności, stosunku do osób LGBT+ albo możliwości udzielania święceń diakonatu kobietom. Wspólną podstawą owych teologicznych wątpliwości wydaje się sceptycyzm wobec postawy „inkluzywności". Krytykując to kluczowe dla Synodu pojęcie, przywołuje zdanie amerykańskiego myśliciela George'a Weigela, że „Jezus praktykował wykluczanie".

Źródła problemów abp. Gądeckiego z akceptacją kierunku, w którym podąża Kościół za sprawą procesu synodalnego, widać wyraźnie w jego liście do papieża na temat niemieckiej Drogi Synodalnej. Niemieckie postulaty hierarcha uznaje za próbę przeprowadzenia w Kościele rewolucji – ale nie ewangelicznej, lecz lewicowo-liberalnej. Z listu wyraźnie wynika, że ocena niemieckich propozycji jako „niekatolickich" wiąże się ze sceptycznym stanowiskiem wobec osiągnięć współczesnych nauk społecznych. Abp Gądecki dyskredytuje te ostatnie, posuwając się do wątpliwego etycznie chwytu retorycznego: porównując je do „popularnej niegdyś teorii rasizmu".

Czego tak bardzo się obawia, że komentując inicjatywy niemieckich katolików, kieruje skojarzenia adresatów swojego pisma w kierunku teorii rasistowskich? Tego, by Kościół nie przejmował żadnych procedur nowoczesnej liberalnej demokracji, takich jak trójpodział władz, który mógłby ograniczyć władzę papieża i biskupów i poddać ją kontroli świeckich, albo transparentność podejmowania decyzji. Metropolita poznański przyznaje, że liberalna demokracja ma swoje zalety, ale dodaje, że „nie jest z pewnością jedynym dobrym ustrojem" – na poparcie tej ostatniej tezy przywołuje autorytet... Arystotelesa. W tym kontekście warto pamiętać, że choć wychowawca Aleksandra Wielkiego był niewątpliwie genialnym filozofem, to w swojej myśli społecznej akceptował niewolnictwo.

Abp Gądecki obawia się także, że Kościół mógłby uznać dobro istniejące w homoseksualnych związkach opartych na wiernej i trwałej miłości oraz zaakceptować fakt, iż są osoby, które rozpoznają swoją tożsamość genderową jako niezgodną z płcią biologiczną, przyznając im tym samym prawo do zmiany płci i nie czyniąc z tego procesu przeszkody w pełnym uczestnictwie w życiu kościelnej wspólnoty. W tej kwestii najwyraźniej ujawnia się niechęć metropolity poznańskiego do uznania rezultatów współczesnych nauk o człowieku i rozwijania teologii, która by te rezultaty uwzględniała.

W żywej debacie, którą sprowokowały opublikowane teksty abp. Gądeckiego, pojawia się często pytanie, czy przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski „wszedł na kolizyjny kurs" z Watykanem /z papieżem Franciszkiem. Moim zdaniem odpowiedź jest twierdząca – i to z dwóch względów. Po pierwsze – sceptycyzm wobec niemieckiej teologii uwzględniającej rezultaty współczesnych nauk stoi w bezpośredniej sprzeczności z wizją teologii, jaką ostatnio papież zarysował w *motu proprio* „Ad theologiam promovendam". Po drugie, oskarżając Sekretariat Synodu o manipulację, w zakamuflowany sposób uderza w samego Franciszka – gdyż Sekretariat działa w ścisłym porozumieniu z papieżem. ©℗

ANDRZEJ LANGE / PAP

Religia bez klasy

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Wielkomiejska młodzież omija szkolną katechezę szerokim łukiem – taki wniosek płynie z opublikowanego w zeszłym tygodniu przez Katolicką Agencję Informacyjną zestawienia opartego na danych z samorządów. O ile w podstawówkach frekwencja nadal przekracza wyraźnie połowę (Wrocław 62,5 proc., Warszawa 65 proc., Poznań 73 proc.), w szkołach ponadpodstawowych chodzący na szkolną religię stanowią coraz bardziej bijącą po oczach mniejszość. W Warszawie i Poznaniu to nieco ponad 20 proc. uczniów, we Wrocławiu 15,19 proc.

Ktoś powie, że licea z kilku miast to jeszcze nie Polska. I rzeczywiście: ogólnopolska frekwencja wynosząca 82,4 proc. sugeruje, że polska laicyzacja ze szkołą obchodzi się łagodnie. Tyle że te dane są m.in. pokłosiem trwającego od lat miękkiego dyktatu dyrektorów, proboszczów i władz centralnych – religia w wielu placówkach nie jest (jak przystało na przedmiot nieobowiązkowy) umieszczana na początku bądź końcu dnia nauki. Chodzą nań również ci, którzy nie mają co ze sobą zrobić.

W 2013 r. Tadeusz Mazowiecki, którego rząd wprowadził religię do szkół, mówił na łamach „Tygodnika" o „pełzającym naruszaniu" rozdziału państwa od Kościoła – w wykonaniu niektórych biskupów, księży i urzędników. I właśnie religię wbitą w sam środek dnia podawał jako jaskrawy przykład. Dziś pierwszy premier III RP mógłby rwać włosy z głowy obserwując, że owa szkolna praktyka nie tylko trwa, ale najbardziej krewcy przedstawiciele Kościoła i państwa nawołują ochoczo do jej kultywowania (małopolska kurator Nowak naciskała na dyrektorów, by „absolutnie nie wyrzucali religii na pierwszą lub ostatnią godzinę").

Wiadomo już, że nowa sejmowa koalicja nie wyprowadzi religii ze szkół: postulat Lewicy jest politycznie ryzykowny, a prawnie utopijny.

Niech więc – zgodnie z obietnicami KO – wpisze ją w plan lekcji tam, gdzie być powinna. Dla dobra dzieci, które spędzają w szkole nawet trzydzieści kilka godzin tygodniowo. Wbrew głosom, że „się nie da", i że to gwałt na szkolnej autonomii – religia w środku dziewięciogodzinnego dnia nauki to dysfunkcyjny przejaw tej autonomii.

Jeśli się nie uda, nowy rząd będzie kolejnym, który ulegnie dyktatowi. I być może pierwszym, który autoryzuje – przynajmniej w niektórych miejscach – dyktat mniejszości nad większością. ©℗

USA–Chiny: uchylone drzwi

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

W czterogodzinnej rozmowie przywódców USA i Chin, która odbyła się 15 listopada nieopodal San Francisco, w kuluarach szczytu państw Azji i Pacyfiku, najważniejsze jest to, że do niej doszło. Relacje między mocarstwami, już wcześniej napięte, ulegały bowiem w ostatnich kilkunastu miesiącach dalszemu pogorszeniu. Przed spotkaniem Joego Bidena i Xi Jinpinga obie strony starały się więc nie rozbudzać nadmiernych oczekiwań.

Wśród uzgodnień po spotkaniu uwagę zwraca przywrócenie kontaktów między dowództwami obu armii, wspólna deklaracja o potrojeniu odnawialnych źródeł energii do 2030 r. i wymiana doświadczeń przy wykorzystaniu sztucznej inteligencji. Chiny obiecują też wyrugować produkcję narkotyków, które przez granicę z Meksykiem trafiają na rynek USA.

W warstwie retorycznej oba kraje pragną pokojowej koegzystencji, stosując jednak różne środki. Waszyngton otwarcie postrzega autorytarne Chiny jako konkurenta. Chodzi tylko, jak mówi Biden, o stworzenie ram, które uniemożliwią przerodzenie się tej rywalizacji w konflikt zbrojny. Natomiast Xi uważa taką formę relacji za „konfrontacyjną" i kładzie nacisk na współpracę. Kula ziemska, twierdzi Xi, pomieści oba mocarstwa, rzecz w tym, by zaakceptować własne odmienności. Ten koncyliacyjny wizerunek Chin skierowany jest jednak głównie na zewnątrz. Wewnątrzchińskie publikacje Xi wskazują, że starcie z USA uważa on za nieuniknione, gdyż ma ono ideologiczny charakter.

RAO AIMIN / EAST NEWS

W kwestii Tajwanu rozmowa była rzekomo „dosadna", a stanowiska stron są niezmienne. Dla USA, zaangażowanych już w Izraelu i Ukrainie, ewentualna eskalacja wokół Tajwanu byłaby bardzo nie na rękę. Amerykanie naciskają na Chiny, by pomogły rozwiązać oba konflikty. A Pekin, choć deklaruje wobec nich neutralność, faktycznie sprzyja Rosji i Palestyńczykom.

Na istotną poprawę „najważniejszej relacji na świecie" nie ma co liczyć. Tuż po rozmowach, sprowokowany przez dziennikarza, Biden nazwał Xi „dyktatorem", co chiński MSZ uznał za „nieodpowiedzialną polityczną manipulację". ©

NA PUNKTY

Z ARESZTU

Były minister skarbu w rządzie Donalda Tuska Włodzimierz Karpiński, od lutego tymczasowo aresztowany pod zarzutem przyjęcia łapówki w czasie, gdy był sekretarzem miasta Warszawa, wyszedł na wolność. W związku z wyborem na posła dotychczasowego eurodeputowanego Krzysztofa Hetmana kandydujący w 2019 r. z tej samej listy Karpiński obejmie jego miejsce w Parlamencie Europejskim.

ZE SŁUŻB

Były agent CBA i były poseł PiS Tomasz Kaczmarek zeznał w prokuraturze, że szefowie MSWiA Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik zlecali mu przekazywanie prorządowym dziennikarzom (m.in. Dorocie Kani, Cezaremu Gmyzowi i Samuelowi Pereirze) tajnych materiałów, których publikacja mogła zaszkodzić ich przeciwnikom politycznym – napisała „Gazeta Wyborcza". Kaczmarek chce mieć status świadka koronnego.

Z MÓWNICY

Dotychczasowy szef Kancelarii Premiera Michał Dworczyk niechcący zrecenzował w radiu RMF praktyki swojego obozu politycznego: „Wyszedł w Sejmie poseł Gawkowski [z Lewicy – red.] i zapowiedział, że będą nas traktować tak jak my ich przez ostatnie lata. To pokazuje, że po stronie opozycji jest wyłącznie chęć odwetu". ©℗

Dla kogo ten rzecznik

MACIEJ MÜLLER

Na giełdzie kandydatów na funkcję Rzecznika Praw Dziecka nie znalazło się nazwisko Mikołaja Pawlaka. Nie zgłosiło go żadne środowisko – i to chyba najlepsza recenzja działalności tego urzędnika. Środowisko lekarskie, „dostrzegając narastający kryzys psychiatrii dzieci i młodzieży", promuje psychiatrę Pawła Kukiza-Szczucińskiego, adwokaci – mec. Monikę Horną-Cieślak, walczącą o lepszą ochronę dzieci przed przemocą.

Już te dwa postulaty pokazują skalę zaniedbań odchodzącego RDP. Istotnej pomocy z jego strony nie doczekały się także środowiska rodziców dzieci z zespołem Downa, z niepełnosprawnościami; nie interesował się też problemami adopcji, pieczy zastępczej czy wykluczenia edukacyjnego. Jego priorytetem pozostawała ochrona praw nienarodzonych i obrona dzieci przez „szkodliwymi ideologiami" – nie sposób tu nie przywołać słynnej wypowiedzi o dzieciach wychwytywanych przez edukatorów seksualnych w celu podania im „jakichś środków farmakologicznych" na zmianę płci.

Być może problem z RPD leży głębiej: twórcy konstytucji z 1997 r. poważnie się spierali o sensowność tworzenia tego urzędu, ponieważ jego kompetencje krzyżowałyby się z Rzecznikiem Praw Obywatelskich. Prof. Andrzej Zoll, RPO w latach 2000-2006, podczas prac nad tworzeniem kolejnego tego typu urzędu – Rzecznika Praw Pacjenta – wyraził opinię, że tworzenie „resortowych rzeczników" służy osłabianiu pozycji RPO. Warto zauważyć, że to RPO ma najszersze możliwości wpływania na rzeczywistość prawną.

Znamienne, że żaden z dotychczasowych rzeczników praw dziecka nie stworzył modelu działania tej instytucji. A odchodzący RPD nieraz zwracał uwagę mediów, ale nie skuteczną ochroną praw dzieci. ©℗

Ułaskawieni

ANNA ŁABUSZEWSKA

Rosja wysyła na ukraiński front przestępców, którzy po zakończeniu kontraktu są amnestionowani przez Putina. Ostatnio na jaw wyszło, że z tej ścieżki do wolności skorzystał Siergiej Chadżykurbanow, skazany za zorganizowanie zabójstwa Anny Politkowskiej.

Przypomnijmy: śledztwo w sprawie śmierci tej dziennikarki „Nowoj Gaziety" trwało długo i co chwila było blokowane. Politkowską zastrzelono 7 października 2006 r. – w dniu urodzin Putina, co komentatorzy odczytali jako swoisty prezent dla prezydenta, krytykowanego przez dziennikarkę. Postawiono przed sądem wykonawców, głównego zleceniodawcę kryły wysoko postawione siły. Uznany za jednego z kilku współorganizatorów, Chadżykurbanow został skazany na 20 lat.

Teraz okazuje się, że opuścił kolonię karną pod koniec 2022 r. i trafił na front ukraiński. Jeden z kanałów na Telegramie podaje, że awansował tam do stanowiska dowódcy batalionu. Przez pół roku miał status więźnia, następnie został ułaskawiony przez Putina, po czym podpisał kontrakt z Ministerstwem Obrony na kolejne pół roku i teraz walczy jako wolny człowiek. „W latach 90. Chadżykurbanow pracował w policji, w jednostkach specjalnych, ma więc doświadczenie, zapewne dlatego otrzymał propozycję objęcia funkcji dowódczej. Moim zdaniem w ten sposób sprawiedliwość zatriumfowała, gdyż jestem zdania, iż nie miał on związku z zabójstwem Politkowskiej" – komentował teraz jego adwokat.

Takich jak Chadżykurbanow jest wielu. Ułaskawiony został też np. Władisław Kanius, skazany na 17 lat za okrutny mord na studentce Wierze Piechtielewej, swej byłej dziewczynie. O tym, że zgłosił się do Grupy Wagnera na front, alarmowali w lipcu 2023 r. obrońcy praw człowieka i rodzice Wiery.

„Jak można zabójcy bezbronnej dziewczyny dać do ręki broń! W głowie mi się to nie mieści" – mówił ojciec.

Zabójca Wiery jest jednym z wielu wagnerowców, którzy po zakończeniu kontraktu i amnestii na podstawie prezydenckiego dekretu wracają do domu i zaczynają nowe życie. Często polega ono na wznowieniu działalności przestępczej. Np. skazany na 18 lat za rozbój, zabójstwo i działanie w zorganizowanej grupie przestępczej mieszkaniec Kraju Krasnodarskiego Demjan Keworkjan walczył na wojnie, skorzystał z amnestii i wrócił w rodzinne strony, gdzie znów wziął się za rozboje. Został aresztowany pod zarzutem podwójnego morderstwa. ©℗

Więcej w rubryce autorki „Rosyjska ruletka" na stronie „TP".

Kiepska taktyka

MAREK KĘSKRAWIEC

Mogli wszystko, a teraz nie mogą nic. Największy klub parlamentarny został przez nową większość zepchnięty do narożnika, choć trzeba przyznać, że to narożnik wielki, a zawodnik wspierany spoza ringu przez prezydenta. Dlatego nawet wewnątrz sojuszu Koalicja Obywatelska-Trzecia Droga-Lewica pojawiły się głosy krytykujące aż tak bezwzględną taktykę wobec PiS, która może oznaczać wojnę totalną, paraliżującą Sejm od samego początku.

Politycy tacy jak Bogdan Borusewicz czy Michał Kobosko uważają odrzucenie kandydatury Marka Pęka na wicemarszałka Senatu za błąd. O ile upokorzenie Elżbiety Witek w Sejmie było logiczną konsekwencją łamania przez nią prawa w poprzedniej kadencji, o tyle argument przeciwko Pękowi nie dotyczy pryncypiów, ale opinii. Co prawda skandalicznych, bo określających przeciwników rosyjską agenturą, ale wyrażanych w PiS tak często, że stosowanie akurat tej kategorii pozwalałoby wykluczać po kolei dziesiątki parlamentarzystów, co z kolei uczyniłoby z PiS partię męczenników.

Nie jestem pewien, czy to właściwa strategia, choć widok Jarosława Kaczyńskiego proszącego potulnie Szymona Hołownię o głos był niezwykły i wielu przeciwnikom PiS sprawił słuszną satysfakcję za osiem lat łamania konstytucji, powtarzania głosowań i niszczenia sądownictwa. Zarazem jednak upokorzenie Pęka ma niewiele wspólnego z wygaszaniem wojny polsko-polskiej, zapowiadanym przez Donalda Tuska.

Inna sprawa, że gdy się słucha miotającego obelgi prezesa PiS oraz jego harcowników drwiących z marszałka Sejmu, można mieć wątpliwości, czy jakakolwiek polityka miłości zostałaby zrozumiana inaczej niż jako słabość. W PiS były bowiem pomysły, żeby alternatywą dla Witek uczynić mniej kontrowersyjną Małgorzatę Wassermann lub Marlenę Maląg, ale Kaczyński nie chciał iść na kompromis.

Można tłumaczyć ten upór troską o twardy elektorat i potrzebą konsolidacji partii w trudnym czasie. Z drugiej strony, jak to się ma do misji Mateusza Morawieckiego, szukającego koalicjantów do rządu? Oczywiście, ta misja to słaby żart, ale zarówno w PiS, jak i w Pałacu Prezydenckim na poważnie myśli się o tym, że w perspektywie roku lub dwóch nowa koalicja zacznie się kłócić i będzie szansa na wyciągnięcie z niej PSL, pojedynczych posłów KO i Polski 2050, a także skaptowanie części Konfederacji.

Plany są ambitne, ale taktyka niespójna. Na razie bardziej prawdopodobne jest, że to nie PiS będzie łowił posłów w klubie PSL, ale odwrotnie. ©℗

Posłowie PiS podczas posiedzenia Sejmu X kadencji. Warszawa, 13 listopada 2023 r.

PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

„Gdy błagałem, bili jeszcze mocniej”

BLISKI WSCHÓD ▪ Ponad 200 Palestyńczyków zginęło w ostatnich tygodniach na Zachodnim Brzegu. Władze izraelskie nakładają restrykcje, a żydowscy osadnicy czują się coraz bardziej bezkarni.

W sobotę 7 października Issa Amro pracował jak zwykle w biurze swej organizacji Youth Against Settlements (Młodzi przeciw Osiedlom) w Hebronie. Gdy usłyszał o ataku Hamasu na Izrael, myślał, że to kolejna wymiana ognia. Jednak wraz z napływem kolejnych tragicznych wiadomości postanowił iść do domu.

– Po drodze zobaczyłem izraelskich osadników ubranych w mundury. Niektórzy byli moimi sąsiadami – opowiada. – Oni też mnie poznali, jestem znany z działalności przeciw izraelskiej okupacji. Nalegałem, by mnie przepuścili. Jeden przyłożył mi broń do głowy. Zawróciłem i poszedłem dookoła. Gdy docierałem do domu, grupa żołnierzy i osadników podbiegła do mnie. Zaczęli mnie bić. Skuli mi ręce, zawiązali oczy i zabrali do bazy wojskowej. Tam bili i grozili, że mnie zastrzelą. Ci, którzy przechodzili obok, pluli na mnie. Grozili, że mnie zgwałcą. Mówili: „Issa, to się z tobą stanie, jeśli będziesz dalej o nas mówił”. Miałem zasłonięte oczy, ale po głosie poznałem niektórych sąsiadów. Śpiewali, słuchali muzyki, robili sobie ze mną zdjęcia.

I dalej: – Gdy błagałem, żeby przestali, bili mocniej. Byłem zatrzymywany wiele razy, ale to było najgorsze. Myślałem, że nie wyjdę stamtąd żywy.

Oczy świata zwrócone są na Strefę Gazy, tymczasem na okupowanym przez Izrael Zachodnim Brzegu gwałtownie wzrosła przemoc wobec Palestyńczyków ze strony ortodoksyjnych izraelskich osadników i żołnierzy. W nieco ponad pięć tygodni od wybuchu wojny między Izraelem a Hamasem zabito tam przynajmniej 200 Palestyńczyków; liczba ofiar stale rośnie.

Aktywiści palestyńscy i wspierający ich aktywiści izraelscy alarmują, że osadnicy włamują się do domów, używają broni, blokują drogi, odcinają prąd. Według B’Tselem, izraelskiej organizacji praw człowieka, 16 osad palestyńskich, w których żyło ponad 800 osób, przymusowo wysiedlono. Rolnikom, dla których to czas zbioru oliwek, osadnicy uniemożliwiają pracę na polu.

Prześladowania ze strony osadników nasilały się jeszcze przed ofensywą Hamasu: od początku 2023 r. były to średnio trzy ataki dziennie (najwyższa ich liczba od rozpoczęcia dokumentowania ich przez ONZ w 2006 r.), a po 7 października wzrosły do średnio siedmiu dziennie. Według B’Tselem „przemoc osadników wobec Palestyńczyków stanowi główne nieformalne narzędzie w rękach państwa umożliwiające przejmowanie coraz większej powierzchni ziem na Zachodnim Brzegu”.

© KATARZYNA MALAROWSKA

Więcej w poszerzonej wersji tekstu: powszech.net/izrael-gaza

Izraelscy żołnierze podczas akcji przeciw obozowi palestyńskich uchodźców Balata, na wschód od Nablusu na Zachodnim Brzegu, 19 listopada 2023 r.

JAAFAR ASHTIYEH / AFP / EAST NEWS

Finlandia zamyka granicę z Rosją

WOJNA HYBRYDOWA ▪ Władze na Kremlu ponownie uruchomiły arktyczny szlak migracyjny, prowadzący przez Rosję do Finlandii. Fińscy politycy i media komentują, że to „kara” za wejście kraju do NATO.

Na zdjęciu wykonanym w Nuijamaa – to przejście graniczne w Karelii, używane przez tych, którzy do Finlandii chcą wjechać z Petersburga – stoją w długich szeregach dziesiątki rowerów (na fotografii poniżej). Podobno są też hulajnogi. Kilka lat temu Finowie zgodzili się, by na przejściach przewidzianych tylko dla aut można było przekraczać granicę także rowerami; miało to ułatwić życie mieszkańcom pogranicza (np. robienie zakupów).

Choć leży już śnieg, a temperatury spadają poniżej zera, w połowie listopada na fińskich przejściach nagle zjawiły się setki ludzi na rowerach i hulajnogach. Obywatele krajów Azji i Afryki chcieli bez dokumentów wjechać do Finlandii. Finowie ustalili, że imigranci są podwożeni pod granicę autami, a tylko ostatnie metry pokonują na jednośladach. Uznając, że to zorganizowana akcja Rosjan mająca wywołać kryzys migracyjny, 18 listopada zamknęli dla ruchu osobowego większość przejść granicznych. Otwarte pozostają głównie przejścia na dalekiej północy.

VESA MOILANEN / AFP / EAST NEWS

To nie pierwsza taka akcja Rosjan. Wcześniej na przełomie 2015/16 r. też uruchomili arktyczny szlak migracyjny – wówczas po to, by zniechęcić Finów do zacieśniania współpracy z NATO po aneksji Krymu. Wtedy Helsinki się ugięły.

Wiosną tego roku Finlandia weszła do NATO i w zgodnej opinii fińskich polityków i mediów działania Rosji są odwetem właśnie za ten ruch. „To jednoznaczne przesłanie – pisze dziennik „Helsingin Sanomat”. – Rosja chce przypomnieć, że może stworzyć tu podobny problem, jaki ze strony Białorusi powstał na granicy polskiej i litewskiej”.

Granica fińsko-rosyjska liczy 1340 km i do niedawna była chroniona po stronie fińskiej tylko drewnianym płotem. Wiosną 2023 r. na odcinku 200 km w jej południowej części Finowie zaczęli budowę stalowego płotu z elektroniką; jego koszt to 380 mln euro. ©℗ WOJCIECH PIĘCIAK / RTR, DPA

Magma napiera. Co czeka Islandię

KJARTAN TORBJOERNSSON / AFP / EAST NEWS

Magma przemieszczająca się pod skorupą ziemską uszkodziła drogi i budynki w mieście Grindavík. Islandia, 13 listopada 2023 r.

WULKANY ▪ Cztery tysiące mieszkańców islandzkiego miasta Grindavík musiało opuścić swoje gospodarstwa w obliczu rosnącego zagrożenia erupcją wulkaniczną. Islandia to jedna wielka bryła skał wulkanicznych, nadbudowanych na dnie Oceanu Atlantyckiego wskutek 20 milionów lat erupcji i wylewów lawowych. Wyspa ta, nieustannie rozciągana przez potężne siły tektoniczne, odsuwające powoli Europę od Ameryki Północnej, jest w głębi pocięta siecią mniejszych czy większych pęknięć. Gdy z głębin Ziemi nadciąga kolejna fala gorąca, stopiona skała wędruje tymi szczelinami ku powierzchni. Rozsuwaniu się skał, na które napiera magma, towarzyszą trzęsienia ziemi.

Od października półwysep Reykjanes, na którym leży Grindavík, drży od wstrząsów liczonych już w setkach, a nawet tysiącach dziennie. Na podstawie objętości magmy, która pełznie ku powierzchni, i ilości uwalnianej energii szacuje się, że Islandczyków może czekać długotrwały, liczony w latach, a nawet setkach lat, epizod wulkanizmu.

Dla Islandczyków erupcje i ewakuacje to oczywiście nie nowość, a ich udokumentowana historia sięga czasów, gdy wyspa ta została po raz pierwszy zamieszkana. Wikiński osadnik Molda-Gnúpur Hrólfsson założył późniejsze miasto Grindavík w 934 r. n.e. i już niedługo później kronikarze opisywali w tych okolicach wybuchy wulkaniczne. Położenie obecnej fali aktywności jest jednak szczególnie kłopotliwe.

Już w 2010 r., gdy wybuchł wulkan Eyjafjallajökull, wyrzucona przy tej okazji do atmosfery chmura pyłu wulkanicznego spowodowała anulowanie łącznie ponad stu tysięcy lotów. Stanowiło to wówczas największe zakłócenie ruchu lotniczego w Europie od II wojny światowej i poważny cios dla islandzkiej turystyki. Odległość od tego wulkanu do głównego islandzkiego lotniska w Keflavíku wynosiła 400 km, tymczasem od epicentrum obecnej aktywności do tego lotniska jest zaledwie ok. 20 km. W pobliżu jest też Reykjavík.

Trudno przewidzieć, co przyniesie najbliższa przyszłość. Wulkanolodzy-statystycy każą szykować się na znaczne erupcje, ale burze aktywności wulkanicznej przewiduje się równie trudno, co te atmosferyczne. Edward Marshall, badacz w Nordyckim Centrum Wulkanologicznym przy Uniwersytecie Islandzkim, powiedział portalowi Live Science, że pierwsze erupcje mogą się rozpocząć już w ciągu najbliższych dni lub tygodni i potrwać lata. Z drugiej strony, jak twierdzi, pęknięcia mogą się zaleczyć, a magma zastygnąć na głębokości. Islandczycy szykują się tymczasem na długą nieobecność w domach. © ŁUKASZ LAMŻA

Genetyczne nożyczki naprawią hemoglobinę

ZDROWIE ▪ Agencja odpowiadająca za regulację leków w Wielkiej Brytanii (MHRA) dopuściła do użytku pierwszą terapię z wykorzystaniem CRISPR-Cas9 – molekularnego narzędzia umożliwiającego modyfikację genów, wyróżnionego w 2020 r. Nagrodą Nobla z dziedziny chemii. W terapii o nazwie Casgevy leczeniu podlegają dwie rzadkie i dziedziczne choroby układu krwiotwórczego: talasemia-beta i anemia sierpowatokrwinkowa.

Obie choroby dotyczą mutacji genetycznych skutkujących produkcją nieprawidłowej hemoglobiny, czyli obecnego w krwinkach czerwonych białka, które odpowiada za wiązanie i transportowanie tlenu do wszystkich tkanek i komórek. Wadliwa hemoglobina powoduje przyspieszone rozpadanie się krwinek i upośledzenie dostarczania tlenu. Fragmenty zniszczonych erytrocytów mogą zatykać drobne naczynia, powodując u pacjentów silny ból.

Każdy organizm ludzki produkuje w swoim życiu dwa typy hemoglobiny – płodową i dojrzałą. Wspomniane choroby dotyczą wyłącznie tej drugiej. Hemoglobina płodowa jest u chorych prawidłowa i funkcjonalna, ale po urodzeniu odpowiednie geny hamują jej produkcję – to właśnie stało się punktem uchwytu leczenia.

Nowa terapia polega na pobraniu od pacjentów szpiku kostnego, wyizolowaniu komórek macierzystych i modyfikacji metodą CRISPR-Cas9 ich materiału genetycznego – usunięciu genu BCL11A, który hamuje produkcję hemoglobiny płodowej. Następnie zmodyfikowane komórki macierzyste wprowadza się do organizmu pacjenta, by produkowały erytrocyty.

Choć hemoglobina płodowa gorzej oddaje tlen tkankom, to obserwowana u pacjentów poprawa była znacząca – ustąpienie napadów bólu i brak konieczności przetaczania krwi. W badaniach klinicznych nie zanotowano również poważniejszych powikłań. Wprowadzenie Casgevy rozważają również amerykańska FDA i europejska EMA. Być może powszechna akceptacja otworzy nowy rozdział w leczeniu chorób genetycznych.

© BARTOSZ KABAŁA

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TP”

co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

TEMAT TYGODNIKA

CZŁOWIEK W DRODZE

Szymon Hołownia jest pierwszym od 18 lat marszałkiem Sejmu spoza PiS i PO. Ma szansę uczynić z Trzeciej Drogi prawdziwą trzecią siłę. Nie jest przecież politykiem.

PIOTR ŚMIŁOWICZ

MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Żaden z dotychczasowych marszałków Sejmu nie musiał od razu walczyć ze sztormem. – Jeżeli na sali jest spokojnie, to nawet osoba bez większego doświadczenia sobie poradzi, bo pracownicy Sejmu piszą scenariusz posiedzenia. Charakter marszałka poznaje się w sytuacjach konfliktowych. Szymon Hołownia poradził sobie znakomicie – przyznaje Katarzyna Piekarska z Koalicji Obywatelskiej.

Dla parlamentarzystów KO w dłuższej perspektywie to może być jednak problem. Nie jest tajemnicą, że funkcja marszałka nie jest dla Hołowni szczytem marzeń, i że za półtora roku rotacyjny marszałek wystartuje w wyścigu o prezydenturę. A w nim zmierzy się nie tylko z kandydatem PiS, ale też – najprawdopodobniej – z Rafałem Trzaskowskim. Od najbliższych miesięcy zależy więc, czy eksponowane miejsce w parlamencie stanie się trampoliną do fotela głowy państwa, czy raczej pogrąży Hołownię: człowieka znanego z emocjonalności. Jego przeciwnicy do dziś drwią z łez wylewanych nad konstytucją w internetowym filmie, zwolennicy uważają jednak, że pokazał wtedy ludzką twarz. Przypominają też, że prowadzenie przez ponad dekadę programu „Mam talent!" musiało być niesamowitym kursem obłaskawiania kamer, asertywności, reagowania w niespodziewanych sytuacjach oraz radzenia sobie ze stresem i potężnymi wymaganiami.

Prosto z głowy

Kiedy 32-letni Hołownia trafiał do show, oglądanego momentami przez ponad 5 mln widzów, miał już bogaty życiorys. Urodzony w 1976 r. w Białymstoku, dwukrotnie próbował wstąpić do dominikanów. Jak później wspominał, pierwszy raz nie wytrwał w nowicjacie z powodu kłopotów ze zdrowiem, za drugim uznał, że życie zakonnika nie jest dla niego: nadmierne rygory i schematy. Ale zachował o tym okresie „wdzięczną pamięć i fantastyczne relacje z ludźmi".

Z tamtych czasów wzięło się jego zainteresowanie psychologią, którą studiował w warszawskiej SWPS. Uczelni nie skończył: wybrał zajęcia praktyczne, czyli dziennikarstwo. Zaczynał w „Gazecie Wyborczej", potem był „Newsweek", „Ozon", „Rzeczpospolita", audycje w radiu i telewizji. Jednocześnie wydawał książki, które okazywały się przebojami, gdyż o trudnych tematach wiary i Kościoła pisał lekko, czasem dowcipnie, a zarazem z wielkim zaangażowaniem. Wpadł w oko Edwardowi Miszczakowi, który myślał wtedy w TVN o nowoczesnym kanale zagospodarowującym miliony wiernych, być może znudzonych sztywnymi rytuałami i kostycznością Kościoła katolickiego.

Tak powstała Religia.tv, w której jako dyrektor programowy był prawą ręką Kazimierza Sowy. Tam też, m.in. prowadząc talk-show „Między sklepami", ujawnił talent sceniczny, który pchnął kierownictwo stacji do ryzykownej decyzji. Miał prowadzić największy rozrywkowy format w TVN wraz z doświadczonym Marcinem Prokopem, który wspominał później, że był to przebłysk geniuszu Miszczaka: „Postanowił zestawić ze sobą dwa bieguny i zobaczyć jak między nimi płynie prąd. (...) Wchodziliśmy na antenę i jechaliśmy z głowy".

„Przepraszam, Szymon, kocham cię, ale byłeś drewnem, no byłeś Pinokiem telewizyjnym" – wspominał tamte początki Prokop. Mówił jednak również, że od początku podejrzewał, że współprowadzący szybko oderwie się od „Mam talent!": Hołownia sprawdzał, z „jakich śrubek ten świat jest poskładany", „mapował rzeczywistość". Efekt? Potem to już Prokop musiał go ścigać.

Kiedy po 12 latach Hołownia (w międzyczasie publikował we „Wprost", a w 2012 r. został felietonistą „Tygodnika Powszechnego") zamarzył o prezydenturze Polski, TVN uznał, że nie znajdzie równie dobrego duetu, i zakończył nadawanie programu.

Potencjał lidera

Działalność charytatywna gwiazd telewizji nie jest czymś wyjątkowym, zazwyczaj jednak udzielają one nazwisk cudzym przedsięwzięciom. Takich inicjatyw, jak np. Fundacja „Mimo Wszystko", której aktorka Anna Dymna oddała pół życia, nie jest wiele.

Hołownia w 2013 r., w apogeum kariery telewizyjnej, robi to, co sobie obiecał, zbierając wcześniej w Afryce materiał do książki i stykając się ze skrajną biedą i cierpieniem. Zakłada fundację Kasisi, prowadzącą dom dziecka dla sierot i chorych w Zambii, a rok później fundację Dobra Fabryka, pomagającą ubogim mieszkańcom Bangladeszu, Burkina Faso, Mauretanii, Rwandy i Senegalu. Kiedy w lutym udzielał wywiadu „Tygodnikowi", mówił, że doświadczenie pomocy setkom tysięcy osób, dziesiątków tysięcy zasadzonych drzew czy przeprowadzonych korepetycji – chciałby wykorzystać po zakończeniu kariery politycznej w Polsce, działając w jakiejś międzynarodowej organizacji.

– Gdy się w coś angażuje, to zawsze na 100 procent – mówi Mateusz Gasiński, który z Hołownią zakładał obie fundacje, a wcześniej pracował z nim w kanale Religia.tv. – Wchodzi w przedsięwzięcia całym sobą i jest w dobrym tego słowa znaczeniu „załatwiaczem". Widzi problem, to szuka rozwiązania. Czy to brak jedzenia w sierocińcu w Zambii, czy to kongijski szpital, w którym za miesiąc zabraknie leków. „O tym nie wystarczy gadać, tu trzeba działać". Zawsze to powtarza.

Zdaniem Gasińskiego Hołownia potrafi działać niestandardowo: umie sprawy skomplikowane maksymalnie uprościć, a zarazem zadbać, by wszystko było przejrzyste. Dopiero taki system jest zrozumiały dla darczyńców. W Dobrej Fabryce obecny marszałek Sejmu uznał za kompletnie bez sensu, żeby misjonarze w Afryce przekładali papierki i pisali granty. Wszystkie formalności wzięła na siebie polska centrala.

– Od lat widziałem potencjał lidera w Szymonie – wspomina Michał Kobosko, dziś poseł i wiceszef Polski 2050, a w latach 2006-09 naczelny „Newsweeka", którego publicystą był Hołownia. – Widziałem to, kiedy był dziennikarzem i felietonistą. Miał mocne zdanie w sprawie afer Kościoła, które w Polsce były wtedy jeszcze tematem tabu. Dziś każdy może zajmować się grzechami duchowieństwa, ale wówczas naprawdę trzeba było mieć odwagę – opowiada.

Algorytm miłości

– Jego historia to hollywoodzki gotowiec – dodaje Prokop, wspominając początki współpracy. – Obywatel, coraz bardziej wkurzony na rzeczywistość, postanawia zrobić porządek, żeby jego córkom żyło się lepiej. Wyśmiewany i lekceważony amator wchodzi na ring stoczyć nierówną walkę z zawodowcami, którzy w dodatku często faulują. Podejmuje ryzyko, kładąc ↦

Szymon Hołownia. Warszawa, 23 lutego 2021 r.

↦ na szali dotychczasowe, komfortowe życie, i w cudowny sposób wygrywa, padając w ramiona wspierającej go żony, która na dodatek jest pilotką wojskowego myśliwca. To lepsze niż połączenie „Rocky'ego", „Gladiatora" i „Top Gun".

Małżeństwem z Urszulą są od ośmiu lat, wychowują dwie córki – 5-letnią Marysię i 2-letnią Elę. Stanowią oryginalną parę; taki też był ich początek. Kiedy Hołownia z Prokopem kręcili jeden z odcinków programu, udawali w bazie myśliwców bohaterów filmu „Top Gun", przechadzających się w zachodzącym słońcu pasem startowym. Potem Szymon zalajkował profil bazy na Facebooku, a algorytm zaproponował mu nową znajomą, pilotkę. Hołownia kliknął w ikonkę zaproszenia...

Gdy rozmawiał z „Tygodnikiem" w lutym, młodsza córka miała rok, a ojciec przez większą część tygodnia musiał dzielić politykę z opieką nad dziećmi. Żona z powodu wojny w Ukrainie musiała spędzać wiele czasu w bazie lotniczej w Malborku.

– Polityka przytrafiła mi się w osobliwym momencie, ale może to mnie też ratuje. Mam kawał normalnego życia, które mnie osadza poza pałacowymi gierkami – mówił.

Pomysł dla zmęczonych

Szymon i Urszula są trochę z innych światów, ale szanują swoją autonomię i potrafią zawierać kompromisy. Pewnie dlatego decyzja o rozpoczęciu politycznej kariery nie wywołała kryzysu w domu – w grudniu 2019 r. Hołownia ogłosił zamiar startu w wyborach prezydenckich.

– Do wejścia w jego projekt namówił mnie rok wcześniej – wspomina Kobosko. – Przekonał mnie, bo miał wizję swej prezydentury i rozbudowaną wiedzę na temat oczekiwań społecznych oraz postępującego zmęczenia polaryzacją w Polsce. Jako autor książek jeździł na setki spotkań autorskich w Polsce A, B i C. Wszędzie widział to samo: że Warszawa oderwała się od rzeczywistości, że PiS zajmuje się tylko Platformą, a Platforma tylko PiS, wyborcy natomiast są potrzebni raz na cztery lata tylko po to, żeby zagłosowali.

Nie wszystko poszło zgodnie z planem. Gdy kandydatką PO była Małgorzata Kidawa-Błońska, notowania Hołowni dawały mu szansę na wejście do drugiej tury. Jednak gdy Platforma wymieniła ją na Trzaskowskiego, uzyskał finalnie 13 proc. i zajął trzecie miejsce.

– To była ciężka pandemiczna kampania. Mimo to Hołownia pokazał, że jest bardzo dobrym mówcą, można powiedzieć: mówcą motywacyjnym, i że jest w stanie zmotywować ludzi do głosowania na siebie. Był też w stanie zbudować zespół, nakręcać setki wolontariuszy, by się włączali w kampanię. Już wtedy widać było, że jest innym politykiem od tych, którzy grali pierwsze skrzypce – wspomina Kobosko.

Po wyborach Hołownia stanął wobec pytania, co dalej – i zdecydował o założeniu ruchu politycznego. – Polska 2050 powstała z niczego, trochę zagospodarowując entuzjazm i chęć dalszej wspólnej pracy tysięcy ludzi, którzy zaangażowali się w jego kampanię – mówi Jacek Kozłowski, przed dołączeniem do Polski 2050 wojewoda mazowiecki, wyrzucony z PO w 2017 r. po tym, jak oskarżył warszawskie władze partii o „ustawianie" wyników wyborów wewnętrznych. Dla Hołowni pisał ekspertyzy. – To, że przetrwaliśmy bardzo trudne trzy lata i budowaliśmy partię nie korzystając z subwencji, a wyłącznie w oparciu o składki członkowskie, to nasz ogromny sukces – uważa Kozłowski. Podkreśla przy tym, że wbrew opinii indywidualisty, Hołownia działa zespołowo, słucha, potrafi uznać odmienne argumenty. – Nie widzę tego, co krytykowałem odchodząc z PO, czyli braku wewnętrznej demokracji – dodaje.

Ciułanie poparcia

W punkcie startu Polska 2050 miała duży problem – nie istniała w Sejmie i była skazana na podkupywanie parlamentarzystów z innych formacji. Pierwszą jej posłanką została wybrana z list Lewicy Hanna Gill-Piątek (potem odeszła jednak z Polski 2050 do KO). Inni posłowie – Joanna Mucha, Paulina Hennig-Kloska, Tomasz Zimoch – przyszli z Koalicji Obywatelskiej. Z kręgów PO wywodzi się też najbliższy obecnie współpracownik Hołowni: szef Kancelarii Sejmu Jacek Cichocki to były szef MSW, a potem Kancelarii Premiera w rządach Tuska i Ewy Kopacz.

Hennig-Kloska nie żałuje, że przeszła do ugrupowania Hołowni. – To erudyta z dużą odpowiedzialnością za słowo, osoba wrażliwa i empatyczna. Rozumie, co znaczy wykluczenie, ma bardzo dobry słuch społeczny, więc potrafi wczuć się w potrzeby człowieka, któremu naprawdę jest trudniej. Pokazywał to wielokrotnie w swojej działalności charytatywnej. Lubię pracować z ludźmi patrzącymi szerzej i widzącymi więcej niż ja – przyznaje.

Najwięcej transferów z KO do Polski 2050 było na początku 2021 r. Wtedy Platforma w sondażach dołowała na poziomie kilkunastu procent, a Polska 2050 czasami uzyskiwała poparcie przekraczające 20 proc. Ale potem zdarzyła się sytuacja analogiczna do tej z wyborów prezydenckich. W lipcu 2021 r. na czele PO znów stanął Donald Tusk, a notowania Polski 2050 spadły. Pojawił się więc pomysł porozumienia wyborczego z PSL. Alternatywą była wspólna lista całej opozycji, do której od jesieni 2022 r. gorąco zachęcał Tusk. Hołownia, tak jak lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz, byli wobec tego pomysłu sceptyczni. Bali się totalnego zdominowania przez PO. Chcieli pozostać niezależni, a w przyszłości złamać duopol. Wybuchła medialna wrzawa, bo wielu polityków, publicystów i ekspertów uważało, że tylko jedna lista może odsunąć PiS od władzy.

KO, Lewica, PSL i Polska 2050 starały się mimo wszystko współpracować. Demonstracją jedności opozycji miała być wspólna postawa wobec rządowej nowelizacji ustawy o Sądzie Najwyższym, służącej do odblokowania środków z KPO. Polska 2050 w ostatniej chwili się wyłamała, narażając się na wściekłość pozostałych podmiotów. Hołownia argumentował, że opozycja ustąpiła za wcześnie i że trzeba było wymóc na PiS większy kompromis, zamiast opowiadać się za kolejną niekonstytucyjną ustawą. Platforma podjęła wówczas decyzję, że wspólnej listy z Hołownią nie będzie.

Swoją drogą

Blok wyborczy z ludowcami został przypieczętowany w kwietniu, kiedy ogłoszono wspólny start pod nazwą Trzecia Droga, wymyśloną – przy sceptycyzmie PSL – przez sztabowców Hołowni. – Szymon jest politykiem zdecydowanie młodszym i od Tuska, i od Kaczyńskiego, politykiem 40 plus, co w Polsce oznacza wciąż młodego lidera. Wierzył, że możliwa jest w Polsce prawdziwa trzecia droga i że nie jesteśmy skazani na wciąż ten sam spór – tłumaczy Kobosko.

WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

Szymon Hołownia i posłowie klubu Polska 2050 w parlamencie. Warszawa, 26 października 2023 r.

W połowie wakacji nadszedł kolejny kryzys. Notowania Trzeciej Drogi balansowały na progu 8 proc. Na okładce „Newsweeka" Hołownia występował w roli pożytecznego idioty, który upierając się przy osobnej liście działa na korzyść Kaczyńskiego; dziennikarz Tomasz Piątek snuł w internecie dziwaczne wywody sugerujące związki Hołowni z prorosyjskimi środowiskami i aferzystami z GetBack. Dopiero decyzja Tuska o odpuszczeniu Trzeciej Drodze w obliczu jej zejścia pod próg (co byłoby porażką całej opozycji) oraz świetny występ Hołowni w telewizyjnej debacie mocno zmieniły rzeczywistość.

– Ostatni rok nie był dla Szymona łatwy – mówi Hennig-Kloska. – Dobrze wiemy, jak był atakowany ze wszystkich stron, i cieszę się, że miałam okazję go wspierać, by wytrwał w swojej strategii. Jeżeli spojrzymy na wyniki wyborów, to widać, że pakt senacki zdobył blisko 2 miliony głosów mniej niż trzy komitety idące osobno do Sejmu. To pokazuje, że wystawienie różnych list było słuszne; z jedną moglibyśmy przegrać. To, że Szymon był na tyle odważny, że na taką strategię postawił, to ogromna jego osobista zaleta – mówi posłanka.

Po wyborach Polska 2050 i PSL utworzyły co prawda oddzielne kluby, ale oba używają w nazwie Trzeciej Drogi. – Mamy plan przełamać duopol PO i PiS i nadzieję, że nasze kluby się z czasem powiększą. Będą ludzie, którzy chętnie do nas przejdą, jako do racjonalnej Trzeciej Drogi – mówi Władysław Teofil Bartoszewski z PSL.

Dr Anna Materska-Sosnowska, politolożka z UW, przyznaje, że współpraca Polski 2050 z PSL to może być wstęp do większych przetasowań na scenie politycznej. Jej zdaniem współpraca obu formacji się opłaca, bo Polska 2050 nie ma takich struktur jak PSL, ale posiada walor świeżości. Sam Hołownia jest zaś pierwszym marszałkiem spoza PO i PiS od 18 lat. To daje mu świetną pozycję wyjściową do tego, by stać się trzecim poważnym graczem.

Koniec duopolu?

Zdaniem prof. Antoniego Dudka sprawdzianem będą dopiero wybory prezydenckie w 2025 r. – Pierwszym objawem umierania duopolu będzie sytuacja, w której w II turze wyborów prezydenckich nie spotkają się po raz kolejny kandydaci PiS i PO, a tak jest od 2005 r. Hołownia ma pewne szanse, ale musiałoby się to odbyć kosztem Rafała Trzaskowskiego, który zapewne będzie kandydatem PO i który w sondażach ma przewagę – mówi Dudek. Jego zdaniem warunkiem sukcesu marszałka Sejmu jest pokazanie, że Trzecia Droga różni się od Platformy. Bo inaczej będzie postępował proces wasalizacji, tak jak było w przypadku Nowoczesnej. Hołowni może być łatwiej z racji pełnienia prestiżowej funkcji, ale tylko wtedy, gdy będzie potrafił odrębność pokazywać w taki sposób, że nie rozbije koalicji.

– Powiedziałbym mu dziś: „Panie marszałku, przed panem ogromne wyzwanie, bo zaczyna się najbardziej burzliwa kobitacja w dziejach III RP, ostrzejsza nawet niż ta Lecha Kaczyńskiego i Donalda Tuska. Pan ma szanse być pośrednikiem między zwaśnionymi stronami, które będą prowadzić totalną wojnę – podsumowuje prof. Dudek.

Dr Materska-Sosnowska uważa, że mimo niełatwej inauguracji Sejmu, lider Polski 2050 przeżywa miodowy miesiąc. – Jak zostanie ukonstytuowany rząd, uwaga przesunie się na niego. Hołownia ma swoje 5 minut i powinien to wykorzystać, nie zapominając, co jest wartością nadrzędną. Jest nią koalicja i współrządzenie – dodaje politolożka, która nie ma obaw, że Hołownia okaże się taką efemerydą, jaką były Kukiz'15, Ruch Palikota czy Nowoczesna. Wszedł do polityki z myślą o wyborach prezydenckich w 2020 r., ale utrzymał się w niej od tamtego czasu, mimo że było to bardzo trudne z racji braku reprezentacji w Sejmie i sondażowej sinusoidy.

– Stworzyć coś, przetrwać kolejne ataki to naprawdę duża sprawa. Natomiast jak przed każdym liderem, są przed nim kolejne etapy. Sprawdzi się naprawdę, jeśli utrzyma to, co zdobył, i będzie budował dalej – mówi Ryszard Petru, kiedyś lider Nowoczesnej, dziś poseł Polski 2050.

Marcin Prokop uważa, że to dopiero początek przyspieszenia w karierze Hołowni. – Polityka nie różni się aż tak bardzo od show-businessu. W obu dziedzinach chodzi o uruchamianie masowych emocji. Szymon, nauczony telewizyjnym doświadczeniem, doskonale odnajduje się w tej grze i dopiero rozpoczyna swój marsz na szczyt. Jeśli nie popełni rażących błędów, to wróżę mu prezydenturę, a potem karierę międzynarodową. Znam go od ponad 25 lat i wiem, że ma wszystkie cechy, żeby to osiągnąć: jest pracowity, zdeterminowany, uparty, sprytny i inteligentny. To świeża krew w opatrzonych igrzyskach, więc biorę popcorn i siadam przed telewizorem.

Hołownia miał taki czas, gdy skakał z kwiatka na kwiatek. A to niedoszły dominikanin, a to niedoszły psycholog, a to dziennikarz zmieniający redakcje jak rękawiczki. Potem jednak zarówno projekty charytatywne, jak i polityczne prowadził z dużą konsekwencją. Wygląda na to, że dojrzał.

© PIOTR ŚMIŁOWICZ

Współpraca: Marek Kęskrawiec

Marszałek słyszy wszystko

SZYMON HOŁOWNIA, MARSZAŁEK SEJMU:

Nie jestem w drużynie Tuska ani w drużynie Hołowni. Jestem państwowcem, który stworzył ugrupowanie pragnące wejść do tego rządu. Ale to musi być projekt partnerski, nie autorski.

PIOTR ŚMIŁOWICZ: Czy coś Pana szczególnie zaskoczyło w sprawowaniu funkcji marszałka Sejmu?

SZYMON HOŁOWNIA: Poziom relacji, kultura debaty w polskim Sejmie. Myślę, że większość z nas, ponad stu posłanek i posłów, którzy trafiliśmy na tę salę po raz pierwszy, w pierwsze dni było w poznawczym szoku i zastanawiało się, jak to możliwe, że to zeszło tak nisko. Akustyka sali jest tak ustawiona, że jak ktoś coś powie z lewej strony, to ten z prawej nie zawsze słyszy. Natomiast marszałek siedzi w miejscu, w którym słyszy wszystko, nie tylko to, co słychać w mediach. To funkcjonowanie w nieustannym ulu, w którym ludzie cały czas rozmawiają, przekrzykują się, obrażają. Oczywiście nie wszyscy, ale ci, którzy to robią, czynią to z pełną premedytacją. Trzeba będzie próbować coś z tym robić. To nie jest proste, bo zdaje się, że to trwało przez lata i stało się czymś w rodzaju normy, ale z koleżankami i kolegami wicemarszałkami będziemy próbowali, różnymi metodami. Wiemy, że ludzie na nas patrzą. Że stali po nocy w kolejkach do głosowania nie po to, żeby oglądać cyrk. Jeśli za cztery lata, gdy będziemy odchodzić z tego Sejmu, on nadal będzie w takiej kondycji, jak jest dzisiaj, będzie to oznaczało, że przegraliśmy coś bardzo ważnego.

Jakieś kary Pan przewiduje?

Jeśli będzie próba obstrukcji albo nieprzyzwoitego zachowania, zanim zacznę uruchamiać procedury karne, spróbuję z danym posłem czy posłanką porozmawiać. Czasem wystarczyć może zwołanie Konwentu Seniorów i prośba do klubów o uspokojenie swoich posłów. Zobaczymy. Wiem, że posłowie PiS zrobili mi „fuksówkę" na pierwszym posiedzeniu, ale poradzimy sobie z tym. A skoro pytał pan o zaskoczenia – nie miałem chyba świadomości, ile dokumentów marszałek Sejmu musi codziennie podpisać. Trzeba skierować je do druku, wydać postanowienia, powiadomić wszystkie organy w państwie, że jakieś rozstrzygnięcie w Sejmie zostało podjęte. Część dokumentów – nie wiedzieć czemu – podpisuje się podwójnie: fizycznie i elektronicznie. Na razie wszedłem w zastaną rzeczywistość, rozejrzę się w niej i być może z moim zespołem spróbujemy zaproponować jakąś racjonalizację, bo to jest jednak XXI wiek.

Ciekawym narzędziem pracy marszałka jest dyplomacja parlamentarna. Na szczeblu międzynarodowym odbywają się te same spotkania, w których uczestniczy prezydent, jest olbrzymie pole do pokazania światu, że w Polsce budzi się nowa nadzieja, a także zwrócenia uwagi z poziomu parlamentu na ważne dla nas sprawy.

Czy przydaje się Panu w pełnieniu tej funkcji doświadczenie medialne?

Pewnie tak. Gdy patrzę wstecz, najbardziej uformowały mnie chyba te obszary mojej 25-letniej pracy w dziennikarstwie, które związane były z przeprowadzaniem wywiadów. Dobra rozmowa w mediach to nie tylko pozyskanie informacji, ale też „przeczytanie" kontekstu: emocji, intencji. To jest bezcenna lekcja, która teraz bardzo mi się przydaje. Innej, równie bezcennej, udzieliły mi moje dzieci. To, że mam dwie małe dziewczynki w domu, które testują naszą cierpliwość i wytrzymałość na wszystkie dostępne sposoby, spowodowało, że musiałem wykształcić w sobie umiejętność, która w obecnej mojej pracy jest ze złota: nie reagować od razu. Odczekaj choćby dwie sekundy, weź oddech, i dopiero wtedy reaguj.

Czy jako pierwszy marszałek spoza PiS i PO widzi Pan możliwości przełamania duopolu na polskiej scenie politycznej, ale tak, by nie naruszać interesów nowej większościowej koalicji?

Duopol wyniszcza również samych jego uczestników. Gdy od lat grają wyłącznie bojowe surmy, reszta orkiestry staje się zbędna, przygasa kreatywność. Ciężko iść do przodu, gdy niewyrównane rachunki krępują nogi.

Ale teraz i PiS, i PO starają się podtrzymać ten duopol. Pokazuje to choćby sposób rozegrania sprawy wicemarszałków Sejmu i Senatu.

Tym razem Polacy wybrali drużynę. PiS nie został zastąpiony Platformą, ale Koalicją Obywatelską, Trzecią Drogą i Lewicą, a rozkład mandatów jest taki, że bez żadnego z nas nie uda się stworzyć rządu. Co do kwestii wicemarszałków zaś: to nie było przecież niewybranie marszałka z PiS, to było niewybranie Elżbiety Witek. Miejsce w prezydium, gabinet, czeka na reprezentanta tej formacji. Natomiast posłowie mają pełne prawo zdecydować, z kim chcą pracować, oceniać pracę. Jestem przekonany, że gdyby PiS wystawił na tę funkcję kandydatkę nieobciążoną psuciem standardów tej Izby, to sprawa byłaby już dawno załatwiona. Mam jednak wrażenie, że nie o miejsce w prezydium tu chodzi, a o amunicję do jakiejś politycznej narracji.

A sprawa Marka Pęka?

Wydaje mi się, że można to było przeprowadzić inaczej. Tu potrzeba jeszcze rozmowy.

Będzie Pan trzecim bokiem trójkąta, tworzonego przez PiS oraz prezydenta z jednej strony, a premiera Donalda Tuska z drugiej? Czy będzie Pan po prostu częścią drużyny Tuska?

Bardzo dobrze życzę rządowi Donalda Tuska, który mam nadzieję powstanie, bo do niego wejdą członkowie mojego ugrupowania politycznego. Ten rząd zrobi dużo dobrych rzeczy, zagłosuję za

nim z przekonaniem. Powtórzę jednak: Polacy chcą teraz u steru widzieć nie któregokolwiek z solistów, a drużynę. Nowa większość ma kilka punktów podparcia, na przykład wspólne wartości, takie jak współpraca i szacunek do wszystkich obywateli. Premier, marszałek Sejmu, marszałek Senatu – to wszystko zawali się też bez stałego kontaktu z organizacjami społecznymi, ruchami obywatelskimi. Jeśli ja miałbym powiedzieć dziś, w czyjej drużynie jestem, to jestem w „Drużynie 74 procent", czyli w grupie tych Polaków, którzy wiedzą, że Polska nie może już dłużej czekać na naprawdę dobre zmiany.

Czy są szanse, że dzięki Pana relacjom z prezydentem uda się przeforsować jakieś ustawy uchwalane przez koalicję?

Mam nadzieję. Prezydent powiedział mi bardzo jasno, że nie będzie wetował ustaw dla samego wetowania, praktykował jakiejś złośliwości politycznej. Z drugiej strony – widzę też przecież, jak pozycjonuje się na scenie politycznej. Prezydent mówi dziś: rząd nowej większości nie ma spójnego programu i listy ministrów, więc najpierw powierzę misję tworzenia rządu Mateuszowi Morawieckiemu. Przepraszam, a on ma spójny program, umowę koalicyjną taką jak nasza? Na razie opowiada, że ma zamiar zrobić patchwork z programów różnych partii politycznych.

AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Szymon Hołownia, marszałek Sejmu

Kolejna rzecz. Czy Morawiecki przedstawił panu prezydentowi w toku konsultacji pełną listę ministrów? Jeśli tak – dlaczego o tym nie wiemy? Wniosek jest prosty. Pan prezydent niestety stosuje podwójne standardy dla „swoich" i dla tych, których – mówię to z rozczarowaniem – wciąż zdaje się uważać za obcych. Z tego samego powodu uparcie ignoruje też podstawową informację, która dotarła już do wszystkich w Polsce i na świecie ponad miesiąc temu. Morawiecki nie ma większości w Sejmie, może więc kompletować sobie z naszych pomysłów dowolne układanki – i tak rządu nie stworzy. Większość pozwalającą na powołanie rządu ma koalicja KO, Trzeciej Drogi i Lewicy. Nie zmienią tego żadne zaklęcia. Mam czasem wrażenie, że obóz PiS, w imieniu którego występuje dziś też pan prezydent, robi wszystko, by nie obudzić się z trwającego osiem lat błogiego snu. Zaciskają powieki i powtarzają: „To nie może być prawda, pośpijmy jeszcze chwilę".

Ma w Sejmie nie być tzw. zamrażarki. Czy oznacza to, że wszystkie projekty ustaw będą rozpatrywane w kolejności składania?

Brak zamrażarki nie oznacza instalacji taśmociągu. Każdy projekt, który do mnie trafi, zostanie skierowany do standardowych analiz w Kancelarii Sejmu. Jeśli przejdzie to sito – otrzyma numer druku. Natomiast o tym, w jakiej kolejności będziemy projekty rozpatrywać, będę decydował po konsultacjach z siłami politycznymi, ale też kierując się poczuciem odpowiedzialności za sprawną pracę Sejmu. Wiadomo bowiem, że są projekty zdolne rozpalić salę i skutecznie zakorkować ją na godziny czy nawet dni, podczas gdy w kolejce czekać będą projekty o mniejszym potencjale publicystycznym, ale niosące realną zmianę Polakom. Na pewno chciałbym, żebyśmy teraz jak najszybciej rozpatrzyli obywatelski projekt dotyczący wsparcia procedury *in vitro*.

A co z projektem aborcyjnym Lewicy, jednym z pierwszych, który został złożony w tym Sejmie?

Zgodnie z procedurą – wysłałem go do konsultacji do odnośnych komórek w Sejmie. Najpierw musimy powołać rząd i dać mu ruszyć ze swoimi projektami, a ten projekt z pewnością też rozpatrzymy, niczego nie będę zamrażał. ©

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Dwie drogi

Po zburzeniu Świątyni Jerozolimskiej żydowskie życie religijne przeniosło się na dobre do domów nauki – miejsc przeznaczonych głównie do studiowania Tory. Dla rabinów było nie do pomyślenia, że taka instytucja mogłaby nie istnieć już za czasów Patriarchów. Oczywiście, że istniała, a kierowali nią syn Noego Szem (pl. Sem) oraz jego prawnuk Ewer (pl. Eber)!

To tam udała się po poradę Rebeka, której ciąża przebiegała dość gwałtownie. Przyszła matka – mówi midrasz – obserwowała intensywne ruchy płodu, kiedy przechodziła obok jaskini, gdzie rzeczeni potomkowie Noego nauczali, oraz gdy mijała miejsca bałwochwalczego kultu. Bardzo się zaniepokoiła, że jej przyszły potomek okaże się osobą totalnie niezdecydowaną, gotową udać się tam, gdzie wiatr powieje. Uspokoiła się więc, gdy „rzekł Wiekuisty do niej: »Dwa narody w żywocie twoim, i dwa plemiona z wnętrza twego się rozejdą, a jedno plemię nad drugie się wzmoże, a starsze służyć będzie młodszemu«" (Rdz 25, 23; Cylkow). Szykują się bliźnięta!

Rabin Simcha Bunem z Przysuchy wyjaśnia, dlaczego Jakubowi tak się spieszyło do nauki u Szema i Ewera. Wprawdzie w łonie matki – jak utrzymuje Talmud – anioł uczy przyszłe dziecko Tory, ale Jakub nie był z tej sytuacji zadowolony, albowiem jego partnerem do studiowania w maminym brzuchu był jego brat bliźniak, Ezaw. Chłopcu tak zależało, by mieć odpowiednich kolegów, których spodziewał się znaleźć u Szema i Ewera, że – zawsze kiedy Rebeka mijała ich placówkę – próbował przedwcześnie wydostać się na zewnątrz.

Kiedy nadszedł już czas porodu, „wyszedł pierwszy, czerwonawy, cały niby szuba włosista. I nazwali imię jego Esaw" (wers 25). Dlaczego Ezaw (litery: ajin-sin-waw)? Albowiem był *asuj* (litery: ajin-sin-waw-jud), czyli dosłownie „zrobiony", gotowy, gdyż miał owłosienie jak dorosły człowiek. „A następnie wyszedł brat jego, ręką swą trzymając się pięty Esawa; i nazwano imię jego Jakób" (wers 26). „Pięta" to po hebrajsku *akew* (litery: ajin-kuf-wet), Jakub zaś to Jaakow (litery: jud-ajin-kuf-wet). W wersji *asuj* pierwszy bliźniak miał w swoim imieniu aż dwie litery z Bożego Imienia, drugi zaś w wersji *akew* – żadnej. Trzymał więc on Ezawa za „piętę" – końcowy element, i urwał *jud* dla siebie.

Dlaczego Ezaw urodził się czerwony? Jeszcze w łonie matki rzekł mu Jakub: „Słuchaj, bracie, istnieją dwa światy – ten i przyszły. Na tym jest dużo jedzenia, picia i fizycznych przyjemności, w przyszłym tego nie ma, tylko duchowo obcuje się z Bogiem. Wybierz jeden, ja wezmę drugi". Nietrudno się domyślić, do którego świata Ezawowi spieszyło się tak bardzo, że aż z pośpiechu pokraśniał. Po bliźniętach spodziewalibyśmy się nieco więcej podobieństw... ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Król w łachmanach

Redaktor Zuzanna Dąbrowska: „Słowo »migracja« brzmi w Polsce złowieszczo. Za sprawą seansów ksenofobii fundowanych od 2015 r. przez PiS prawie nie ma odważnych polityków, którzy powiedzieliby, że obywateli innych krajów należy w Polsce przyjmować zarówno ze względów humanitarnych, jak i zapotrzebowania naszego rynku pracy. Wyjątkiem był masowy napływ uciekinierów z Ukrainy, ale wtedy wybuchła wojna i nikt się rządzących nie pytał, co myślą, tylko starał się pomóc ofiarom rosyjskiej agresji". Wygląda jednak na to, że to ksenofobiczne, egoistyczne podejście do migrantów-przybyszów bardzo się spodobało wielu obywatelom, również, jeśli nie przede wszystkim, nam – katolikom świeckim i duchownym. Nie tylko tym wyższym, ale również „niższym stopniem i godnością". Co tam Ewangelia, co tam synod, papież, co tam każdy inny, my wiemy swoje. A skąd wiemy? Wiemy, bo wiemy.

Celem podbudowania tego typu egoizmu postanowiliśmy przerobić nawet samego Chrystusa. Przebraliśmy Go w niby-królewskie szatki-szmatki, na głowę nałożyli trzypiętrową koronę, uzbroili w miecz i posadzili na tronie. Usilnie też Go namawiamy, czyli modlimy się, żeby wreszcie stanął w obronie swego świętego Kościoła i jeszcze świętszego narodu. Grozi nam przecież śmiertelne niebezpieczeństwo. Owszem, grozi – a jeśli spadnie na nasze głowy, to nie z cudzej, ale z naszej winy.

Prorok Ezechiel: „Tak mówi Pan Bóg: Ja sam będę się troszczył o moje owce i sam będę ich doglądał. (...) Uwolnię je z wszystkich miejsc, gdzie zostały rozproszone w dzień mglisty i pochmurny. (...) Będę je pasł na dobrym pastwisku. Na halach wyżyny izraelskiej będzie ich pastwisko. (...) Ja też będę je prowadził na legowisko – wyrocznia Pana Boga". Jeśli Bóg jest Ojcem każdego człowieka, to według Jezusa, Syna Bożego, Jego owcami są w pierwszym rzędzie głodni, spragnieni, przybysze, nadzy, chorzy, uwięzieni. Słowem: najbiedniejsi z biednych, a to, jak my ich potraktujemy, zadecyduje o naszej przyszłości, tej mierzonej czasem, jak też wiecznością. Apostoł Jakub mówi: „Człowiekiem religijnym i nieskazitelnie czystym przed Bogiem Ojcem jest ten, kto sierotom i wdowom przychodzi z pomocą w ich utrapieniu". Z tego wynika, że owszem, na czele stada Bożych owiec idzie król, ale niekoniecznie w naszym guście. Idzie Syn Człowieczy, człowiek, głodny, spragniony, bezdomny uciekinier, w łachmanach, schorowany, któremu odebrano wszelkie należne mu prawa. Można rzec, że przychodzi zza miedzy, z sąsiedniego pokoju, gdzie od dawna cierpiał biedę, ale ten fakt, mniejsza o powód, umykał naszej uwadze. Nie przychodzi żebrać, gdyż Ziemia jest również jego, przychodzi po swoje. ©

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Przypowieść o minach

Stań na straży siebie, strzegąc umysłu przed wyobrażeniami w czasie modlitwy.

NIL Z ANCYRY

Wznieśmy się na powrót do dobra samego w sobie, w którym możemy znaleźć odpoczynek.

PLOTYN

Wybrał PIOTR SIKORA

Przypowieść o minach jest Łukaszowym odpowiednikiem przypowieści o talentach św. Mateusza (Łk 19, 11-27; por. Mt 25, 14-30). Obaj ewangeliści czerpią z jednego źródła, poddając je jednak osobistej interpretacji; różnice zaś nie mają nas gorszyć, lecz zastanowić, w nich bowiem w szczególny sposób kryje się natchniony przez Ducha Świętego zamysł pisarza.

Pierwszą różnicę stanowi kontekst: Mateuszową przypowieść Jezus wypowiada w Jerozolimie, stanowi ona fragment Jego wielkiej mowy eschatologicznej. U Łukasza Jezus ciągle jest jeszcze w drodze: właśnie wychodzi z domu Zacheusza w Jerychu, by przejść ostatni fragment pielgrzymki do Świętego Miasta. Ten kontekst jest dla Łukasza ważny, dlatego zamykając naszą przypowieść, przypomina: „Po tych słowach szedł naprzód, zdążając do Jerozolimy".

Jezusowy marsz budzi w otaczającym Jezusa tłumie nadzieje: ludzie są przekonani, że wraz z Jego wejściem do miasta Królestwo Boże się objawi w całej swej wspaniałości. Wypędzi Rzymian, zasiądzie na tronie, a oni, jako wierni towarzysze Jego drogi, będą królować wraz z Nim. Tymczasem Jezus nie zmierza do tronu, lecz do Krzyża. Wie, że nie zostanie przyjęty w Jerozolimie, przeciwnie, zderzy się ze wszystkimi, którzy odrzucają Jego władzę.

Do takiej też drogi Jezus zaprasza aktualnie swoich uczniów. Do doświadczenia królowania Boga, które już jest, nastało wraz z Jego przyjściem, ale objawia się nie w chwale, lecz w Krzyżu, nie w wielkości, lecz w tym, co małe, pokorne i skromne. Nie będą więc teraz królami, lecz pozostają sługami; każdemu z nich zawierza też to, co niewielkie – to też różnica w odniesieniu do Mateusza. Talent – czyli 27 kilogramów złota lub srebra – jest blisko 80 razy większy niż mina (ok. 350 gramów). W Łukaszowej przypowieści to, czym dysponujemy z woli Jezusa, wydaje się bardzo skromne, a zarządzać tym trzeba w nieprzyjaznym środowisku, narażając się na odrzucenie. Czy warto?

Przynajmniej jeden ze sług zdecydował inaczej: umieścił otrzymaną minę w chustce, po to, by ją ewentualnie przekazać panu, jeśli wróci. To nie była zwykła chustka. Łukasz używa tu słowa *soudarion* – tego samego, którym opisana jest chusta, w jaką zawinięto martwą twarz Łazarza (J 11, 44). Najwyraźniej ów niewolnik potraktował otrzymaną minę jak martwy kawałek metalu, w którym nie ma żadnej siły i potencjału. Pozostali przeciwnie, odkryli jej moc i doświadczyli jej. Kiedy zdają rachunek swemu panu, mówią wyraźnie, iż zysk wziął się z potencjału miny, a nie z ich pracy. „Maleńkość" objawiła ukrytą w sobie „moc", ale prawdziwa wielkość dopiero nadchodzi.

Teraz wszakże pozostajemy z Jezusem na drodze do Jerozolimy, do Krzyża, i na tej drodze oczekuje od nas wierności w tym, co niewielkie. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (26 XI – 3 XII)

34. niedziela zwykła: Ez 34, 11-12. 15-17; Ps 23; 1 Kor 15, 20-26. 28; Mt 25, 31-46;
Poniedziałek: Dn 1, 1-6. 8-20; Ps: Dn 3, 52-56; Łk 21, 1-4;
Wtorek: Dn 2, 31-45; Ps: Dn 3, 57-61; Łk 21, 5-11;
Środa: Dn 5, 1-6. 13-14. 16-17. 23-28; Ps: Dn 3, 62-67; Łk 21, 12-19;
Czwartek: Iz 49, 1-6 lub Rz 10, 9-18; Ps 19; Mt 4, 18-22;
Piątek: Dn 7, 2-14; Ps: Dn 3, 75-81; Łk 21, 29-33;
Sobota: Dn 7, 15-27; Ps: Dn 3, 82-87; Łk 21, 34-36;
1. niedziela Adwentu: Iz 63, 16b-17. 19b; 64, 2b-7; Ps 80; 1 Kor 1, 3-9; Mk 13, 33-37.

SEKS NA PEŁEN ETAT

Prostytucja jako zwyczajna praca, wolny wybór i wyzwolenie kobiet. Absurd? Nie dla sporej części polskich feministek, badaczek oraz mediów.

ANNA GOLUS

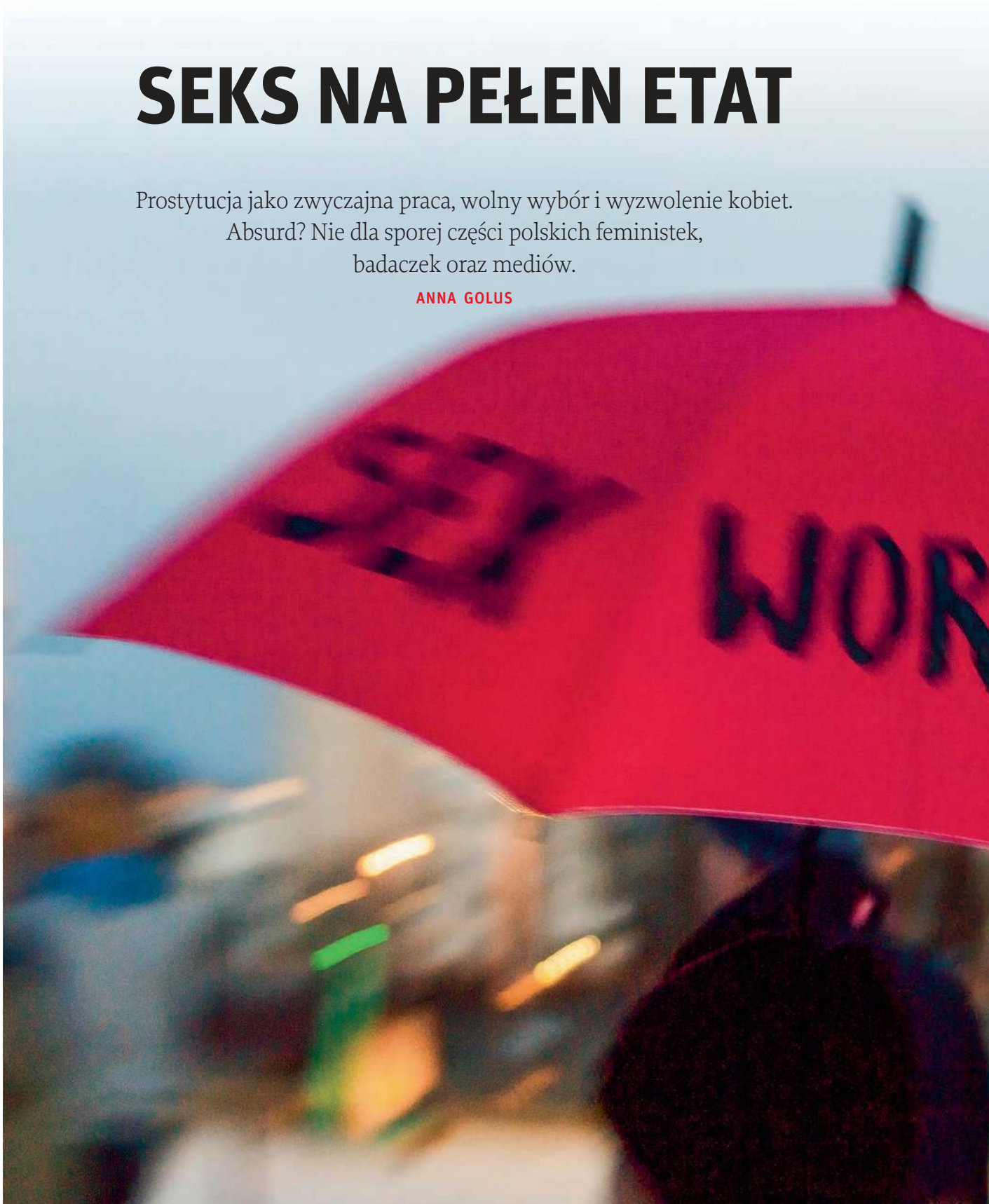

MICHAŁ KOŚĆ / FORUM

Chcesz zacząć pracować seksualnie, ale nie wiesz, jak? Nasz kolektyw nie powie ci, jak wejść w branżę, ponieważ nie promujemy pracy seksualnej. Promujemy bezpieczną pracę seksualną i dlatego polecamy zaglądać do »Doświadczalnika«" – mówi członkini Sex Work Polska w filmie opublikowanym na Facebooku. „Doświadczalnik" to wydany w 2019 r. zbiór wiedzy o tym, „jak pracować seksualnie w sposób bezpieczny, świadomy i satysfakcjonujący". Został napisany przez nieformalną grupę pracownic seksualnych przy wsparciu Funduszu Feministycznego oraz kolektywu Sex Work Polska i dotyczy trzech zawodów z branży: masażu erotycznego, striptizu i „full serwis/eskort".

Przekonanie, że słowo „prostytucja" jest stygmatyzujące, a praca seksualna (w tym „»full serwis« (seks klasyczny, oralny, analny, fetysze)") to zwyczajna praca, rozpowszechnia coraz więcej osób.

Prostytucja w normie

– Założyłyśmy kolektyw Sex Work Polska spontanicznie, w 2014 roku – mówi dr Agata Dziuban z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, która wraz z Anną Ratecką, wówczas doktorantką w tym instytucie, stworzyła pierwszą inicjatywę na rzecz praw osób z tej branży w Polsce. – Chciałyśmy podpisać jako podmiot list protestacyjny przygotowany przez Międzynarodowy Komitet na rzecz Praw Osób Pracujących Seksualnie i wyrazić sprzeciw wobec przyjęcia przez Parlament Europejski rezolucji Mary Honeyball, która zrównywała pracę seksualną z niewolnictwem seksualnym i handlem ludźmi. List protestacyjny podpisało 560 organizacji z całego świata.

„Rezolucja Parlamentu Europejskiego w sprawie wykorzystywania seksualnego i prostytucji oraz ich wpływu na równouprawnienie płci" została jednak przyjęta. Czytamy w niej m.in., że „prostytucja, przymusowa prostytucja oraz wykorzystywanie seksualne są kwestiami bardzo powiązanymi z płcią oraz naruszającymi godność ludzką, sprzecznymi z zasadami praw człowieka obejmującymi równość płci", a „normalizacja prostytucji ma wpływ na pojmowanie seksualności przez młodych ludzi oraz relacje pomiędzy kobietami i mężczyznami".

– Nie podpiszę się pod stwierdzeniem, że przyczyniam się do „normalizowania prostytucji", nie rozumiem tej kategorii – mówi dziś Dziuban. – Zajmuję się działaniami, które mają upowszechniać wiedzę na temat sytuacji osób pracujących seksualnie i wspierać je w możliwości realizowania ich praw i podmiotowości, która przez tego rodzaju kategorie jest ograniczana. W Polsce takie osoby są pozbawiane dostępu do podstawowych praw, doświadczają dyskryminacji, systemowej i instytucjonalnej przemocy. Przepisy prawa pozbawiają je narzędzi obrony.

Zakładając Sex Work Polska, Dziuban i Ratecka były nie tylko badaczkami UJ zajmującymi się m.in. sytuacją osób w prostytucji, ale też streetworkerkami Centrum Profilaktyki i Edukacji Społecznej „Parasol" w Krakowie. Towarzyszyły tam osobom doświadczającym prostytucji, rozdawały prezerwatywy, wykonywały pracę socjalną i edukacyjną.

– Jeżeli działamy na rzecz jakiejś społeczności, warto oddać jej pierwszoplanową pozycję w określaniu tego, czego chce i czego potrzebuje – wyjaśnia Dziuban. – Inicjując Sex Work Polska, chciałyśmy stworzyć przestrzeń, w której osoby pracujące seksualnie mogą rozmawiać o swoich potrzebach i formułować postulaty. Dotychczas osoby te były traktowane paternalistycznie i protekcjonalnie. Nie brały udziału w tworzeniu polityk określających warunki ich pracy ani w debatach. Celem kolektywu SWP jest też zapewnianie osobom pracującym seksualnie wsparcia prawnego, psychologicznego, interwencji kryzysowych, wiedzy na temat ich praw, dostępu do usług medycznych i pomocy instytucjonalnej, które są dla nich często niedostępne ze względu na kryminalizację i dyskryminację.

Korzenie feminizmu?

Zanim jednak do SWP dołączyły osoby z branży, przez dwa lata był to dwuosobowy kolektyw. W 2016 r. jego członkinie przetłumaczyły „Manifest ↦

XIX Manifa, Gdańsk, 8 marca 2023 r.

↦ o włączenie walki o prawa pracownic i pracowników seksualnych do postulatów ruchu feministycznego", który został opublikowany na stronie „Codziennika Feministycznego" i kończy się słowami: „Pracownice seksualne były jednymi z pierwszych feministek. Nie upominając się o prawa kobiet świadczących usługi seksualne, współczesny ruch feministyczny *de facto* odcina się od swoich korzeni".

Z kolei Mira Kowalska, jedna z pierwszych członkiń Sex Work Polska z doświadczeniem prostytucji, podczas pierwszego przemówienia SWP na warszawskiej Manifie w 2017 r. mówiła tak: „Przemocą jest traktowanie pracownic i pracowników seksualnych jako osób niezdolnych do podejmowania samodzielnych decyzji lub patologicznych jednostek, odmawiając tym samym osobom pracującym głosu. Przemocą jest kryminalizacja miejsc pracy, odbieranie podstawowych praw pracowniczych i spychanie pracownic i pracowników seksualnych do podziemia. Przemocą jest krzywdzący i obraźliwy język stosowany w debacie publicznej".

W 2017 r. członkinie kolektywu doświadczające prostytucji zaczęły też wypowiadać się w mediach. Wyrażały zadowolenie ze swojej sytuacji i domagały się dekryminalizacji całej branży (sama prostytucja nie jest nielegalna, zabronione jest sutenerstwo, kuplerstwo i stręczycielstwo). Mira Kowalska udzieliła wywiadu „Dużemu Formatowi", a „Krytyka Polityczna" opublikowała dwa teksty Świętej Ladacznicy.

„Jestem młodą, ambitną kobietą, która w dzieciństwie uwielbiała »Pretty Woman« i fantazjowała o pracy dziwki – pisała Święta Ladacznica w pierwszym artykule dla „KP". – Od dwóch lat zarabiam na swoją przyszłość jako dziewczyna do towarzystwa. (...) Moja praca daje mi wiele satysfakcji i pozwala powoli uporać się z różnymi trudnościami". Drugi był odpowiedzią na polemikę kryminolożki dr Magdaleny Grzyb i kończył się stwierdzeniem, że osoby przeciwne normalizowaniu prostytucji „muszą odrobić ważną lekcję z lewicowego światopoglądu, feminizmu i praw człowieka".

W tym samym roku Ratecka rozpoczęła realizację na UJ projektu badawczego „Mobilizacja społeczna na rzecz praw kobiet świadczących usługi seksualne w Polsce w kontekście transnarodowym", sfinansowanego przez Narodowe Centrum Nauki (kwota: 93 600 zł). Dziuban była drugą wykonawczynią tego projektu i opiekunką naukową Rateckiej, która dwa lata później otrzymała z NCN-u kolejny grant (151 032 zł na projekt „Sytuacja kobiet świadczących usługi seksualne w świetle teorii uznania"), a w zeszłym roku obroniła doktorat na ten temat.

Bez wstydu

Dziuban i Ratecka są jedynymi osobami, które działają w (do dziś niesformalizowanym) kolektywie Sex Work Polska od początku. Mira Kowalska nie wypowiada się już publicznie (przynajmniej pod tym pseudonimem), a Święta Ladacznica wyszła z prostytucji i ostrzega innych przed tym zajęciem i normalizowaniem go. Pojawiają się jednak kolejne osoby, które zapewniają, że decyzję o pracy w seksbiznesie podjęły świadomie (nawet jeśli – o czym też mówią – podejmowały ją jako osoby niepełnoletnie albo borykają się z uzależnieniami) i są z niej zadowolone.

W 2021 r. dwie kobiety z branży (członkini i była członkini SWP) założyły podkast o pracy seksualnej. W jednym z odcinków wyjaśniają, dlaczego nie należy używać słowa „prostytucja". „Słowo na »p« jest pejoratywne i przemocowe", a podkast nosi nazwę... „Dwie dupy o dupie".

„Nigdy nie wypowiadaj się w naszym imieniu, nawet jeżeli masz dobre chęci – czytamy w poradniku „Jak pisać o pracy seksualnej bez stygmy?", wydanym w 2022 r. w ramach grantu Funduszu Feministycznego. – Każda z nas jest najlepszą i niepodważalną specjalistką w dziedzinie swojego życia, potrzeb, doświadczeń i pracy, jaką wykonujemy. Wiemy, jakie rozwiązania nam służą, a jakie – wręcz przeciwnie. To często w dyskursie »eksperckim« – psychologów czy seksuologów spotykamy się z ograniczającym myśleniem wynikającym z obyczajności i stygmy, a nie rzeczowej oceny sytuacji". Poradnik pisany jest w pierwszej osobie liczby mnogiej, choć tylko jedna z trzech autorek, Aleksandra Kluczyk, określa się jako osoba pracująca seksualnie. Oprócz niej współautorkami są Olga Ostrowska, studentka i członkini SWP, i Karolina Rogaska, dziennikarka i autorka książki „Bez wstydu. Ekspsycha w Polsce".

Rogaska zajmuje się tą tematyką od 2018 r., kiedy to napisała dla Onetu wcieleniowy reportaż o pracy w klubie go-go. Zatrudniła się jako striptizerka i napisała artykuł, który kończył się słowami: „[Misha] chciałaby skończyć pracę jako striptizerka. Może potem udałoby się odbudować zaufanie do mężczyzn i z kimś związać. – Załóżmy, że miałabyś męża, urodziłaby ci się córka. Jak byś przyjęła, gdyby przyszła do ciebie i powiedziała, że chce tańczyć na rurze? – pytam. Misha nie zastanawia się nad odpowiedzią nawet sekundy. Rzuca od razu: – Wolałabym, żeby miała normalne życie".

Autorka zamieściła ten reportaż również w książce, dodając opis swojego striptizu (według redakcji Onetu „za mocny") i zmieniając zakończenie. W książce artykuł kończy się słowami: „Misha myśli, że posiedzi w biznesie jeszcze trzy lata, aż odłoży na własne mieszkanie. A potem coś się wymyśli".

Pytam Rogaską, dlaczego dokonała tej zmiany, na jakiej podstawie twierdzi, że praca seksualna nie traumatyzuje, tylko pomaga uporać się z traumami, i czy podczas pisania „Bez wstydu" i „Bez stygmy" konsultowała się z jakimiś psychologami i seksuologami. Odmawia wypowiedzi.

Mityczna figura

„Niektóre osoby z branży mają traumy z przeszłości, ale często właśnie ta praca pozwala im sobie z nimi poradzić – mówiła Rogaska w wywiadzie dla „Dużego Formatu". – Na przykład osobom z doświadczeniem przemocy seksualnej w przeszłości praca na planie filmu porno czy umawianie się z klientami w mieszkaniu pozwala odzyskać poczucie kontroli".

– Absolutnie sprzeciwiam się myśleniu, że prostytucja leczy – mówi prof. Maria Beisert, prawniczka, psycholożka i seksuolożka, kierowniczka Zakładu Seksuologii Społecznej i Klinicznej Wydziału Psychologii i Kognitywistyki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. – Prostytucja nie jest czynnikiem chroniącym przed zaburzeniami. Przeciwnie, jest czynnikiem wysokiego ryzyka, że traumy się zsumują i doprowadzą do skutków negatywnych. Narażanie się na rewiktymizację nie jest czynnikiem leczącym, a prostytucja właśnie na to naraża i powinna być rozpatrywana jako zjawisko, które może doprowadzić

WIKTOR SZYMANOWICZ / FUTURE PUBLISHING / GETTY IMAGES

Protest pracownic seksualnych i aktywistek przed brytyjskim parlamentem debatującym o delegalizacji internetowych platform sex biznesu. Londyn, 2018 r.

do zaburzeń. To, czy doprowadzi, czy nie, zależy od proporcji między czynnikami chroniącymi a czynnikami ryzyka. Ale to prawda, że prostytucja nie musi skończyć się zaburzeniem funkcjonowania osoby, która się nią zajmuje. Wyjaśnia to np. teoria rezyliencji. Jednak twierdzenie, że prostytucja pomaga radzić sobie z traumami, jest wypaczeniem istoty tej teorii.

Kolektyw Sex Work Polska również głosi poglądy sprzeczne z wiedzą psychologiczną i seksuologiczną. Na przykład Agata Dziuban uważa, że „funkcjonują takie narracje, że osoby pracujące seksualnie pracują, bo np. są ofiarami przemocy seksualnej w dzieciństwie. Nie ma badań, które by potwierdzały, że istnieje jakaś dysproporcja doświadczenia przemocy seksualnej w dzieciństwie między osobami pracującymi seksualnie a osobami, kobietami w ogólnej populacji".

– Według polskich badań 80 proc. osób zajmujących się prostytucją było wykorzystanych seksualnie w dzieciństwie – zaprzecza tezie Kolektywu prof. Beisert. – Ten czynnik jest dobrze zanalizowany na przestrzeni wielu lat w badaniach w Polsce i na świecie. Badania są rzetelne, dobrze udokumentowane, o dobrej metodologii. Nie ma wątpliwości, że związek między wykorzystaniem seksualnym w dzieciństwie a prostytucją jest silny, i że jest to czynnik, który w sposób nieświadomy może zaważyć na decyzji o wejściu w prostytucję. Nie można go pomijać ani mówić, że nie istnieje.

Wykład, podczas którego Dziuban podważała ten fakt, został wygłoszony w ramach Festiwalu Seksualności 2022, zorganizowanego przez Koło Naukowe Seksuologii Uniwersytetu SWPS w Poznaniu. W lutym tego roku został opublikowany na stronach projektu Strefa Psyche Uniwersytetu SWPS i wzbudził duże kontrowersje – zarzucano uczelni, że normalizuje czy wręcz promuje prostytucję.

W końcu SWPS obiecała zorganizowanie debaty eksperckiej. We wrześniu rzeczniczka prasowa SWPS, Renata Czeladko, zapewniała „Tygodnik", że Strefa Psyche nie normalizuje prostytucji, a w debacie zostaną zaprezentowane różne, także odmienne stanowiska. Tak się jednak nie stało.

Debatę zorganizowano w październiku, oprócz Dziuban wzięły w niej udział dr pedagogiki Joanna Dec-Pietrowska (Uniwersytet Zielonogórski), dr psychologii Katarzyna Grunt-Mejer (SWPS) i Magdalena Smaś-Myszczyszyn (SWPS, przedstawiana jako dr nauk hum., choć doktoratu nie ma, i jako doktorantka Instytutu Psychiatrii i Neurologii, co również nie jest prawdą). Żadna z nich nie miała odmiennego stanowiska niż Dziuban, której wypowiedzi zajęły prawie połowę spotkania.

Równie kontrowersyjne są poglądy założycielki Sex Work Polska na temat handlu ludźmi w celu eksploatacji seksualnej. Dziuban, powołując się na rządowe raporty (ukazujące wyłącznie przypadki wykryte przez służby), bagatelizuje ten problem. W jednym z wywiadów stwierdziła wręcz, że to „raczej mityczna figura" i że ona w ciągu 12 lat badań „nie spotkała się z sytuacjami, w których [osoby] były bezpośrednio przymuszane do świadczenia usług seksualnych". Tymczasem w internecie można znaleźć liczne doniesienia o przemocy stosowanej wobec prostytutek w Polsce, m.in. o tatuowaniu ich przez „właścicieli".

Zmiana narracji

– Od dawna bronię stanowiska, że nie można zrównywać pracy seksualnej z handlem ludźmi, ale też nie mogę się zgodzić na marginalizowanie tego problemu i publiczne używanie określenia „mityczna figura" – mówi prof. Zbigniew Lasocik, kierownik Ośrodka Badań Handlu Ludźmi Uniwersytetu Warszawskiego. – Handel ludźmi to już raczej nie są przypadki kobiet porywanych z ulicy, bitych i gwałconych. Teraz to często subtelna gra groźnych i bezwzględnych przestępców na emocjach kobiet w sytuacjach przymusowych. Według ostatnich szacunków międzynarodowych w Polsce jest 200 tys. ofiar różnych form zniewolenia. Zasadnicza część to ofiary pracy przymusowej, ale badacze sugerują, że cały czas są wśród nich także ofiary eksploatacji seksualnej.

W lutym dwie publikacje Agory (pt. „Praca jak każda inna. Bardzo bym sobie życzyła, aby oddemonizować ten sex work w Polsce" i „Postanowiła zostać prostytutką. Wolałam pracować w burdelu niż dziesięć godzin na kasie") zostały zgłoszone – jako propagujące prostytucję – do Rady Etyki Mediów, która jednak stwierdziła, że „nie ma uzasadnienia dla zarzutów naruszenia którejkolwiek z zasad zapisanych w Karcie Etycznej Mediów".

Można się jednak zastanawiać, czy przedstawianie prostytucji jako zwyczajnej pracy, zawsze z wolnego wyboru, w dodatku leczącej z traum, nie łamie „zasady pierwszeństwa dobra odbiorcy" (oznaczającej, że „podstawowe prawa czytelników, widzów, słuchaczy są nadrzędne wobec interesów redakcji, dziennikarzy, wydawców, producentów i nadawców"). Na pewno jednak, niestety, jest to zgodne z tendencjami panującymi w zachodnim świecie i promowanymi m.in. przez George'a Sorosa. Jego fundacja Open Society Foundation od dawna postuluje „zmianę narracji" na temat prostytucji (m.in. rezygnację z używania tego terminu) i finansuje działania „na rzecz pracowników seksualnych", również w Polsce (wspierając m.in. Fundusz Feministyczny).

– Jestem feministką z krwi i kości, ale feminizm nie uwalnia od myślenia ↦

↦ – mówi prof. Beisert. – Pozytywna tendencja społeczeństw demokratycznych do niewykluczania i niestygmatyzowania ludzi nie powinna prowadzić do przymykania oczu na patologię i normalizowania zjawisk szkodliwych w wymiarze jednostkowym i społecznym. Określanie prostytucji mianem „pracy seksualnej" zaciera ważną rzecz: traktowanie człowieka jako przedmiotu zaspokojenia potrzeb innej osoby, który jest cechą definicyjną tego zjawiska i patologią. To Orwellowska zmiana znaczeń.

Nieliczne polskie feministki, które publicznie sprzeciwiają się normalizowaniu prostytucji – np. Magdalena Grzyb, Urszula Kuczyńska czy Kaya Szulczewska – są określane mianem SWERF (ang. *Sex Worker-Exclusionary Radical Feminist*, radykalna feministka wykluczająca osoby pracujące seksualnie) i usuwane ze środowiska. Stowarzyszenie Bez, które wspiera osoby wychodzące z seksbiznesu, nie otrzymało grantu z Funduszu Feministycznego, a w tym roku zostało wyrzucone z Miasteczka Równości. Także organizator Parady Równości cofnął zaproszenie pod wpływem protestów części aktywistów, według których prostytucja zawsze była częścią kultury queerowej.

Jednak prostytucja zawsze była też częścią kultury patriarchalnej i – jak czytamy w „Rezolucji Parlamentu Europejskiego z dnia 5 lipca 2022 r. w sprawie ubóstwa kobiet w Europie" – „poważną formą przemocy i wykorzystywania, dotykającą głównie kobiet i dzieci".

14 września Parlament Europejski znów o tym przypomniał, przyjmując „Rezolucję w sprawie regulacji dotyczących prostytucji w UE: jej skutków transgranicznych oraz wpływu na równouprawnienie płci i prawa kobiet". Zachęca w niej państwa członkowskie do wprowadzenia tzw. modelu nordyckiego. Model ten, obowiązujący m.in. w Szwecji i Francji, zakłada dekryminalizację osób w prostytucji i oferowanie im wsparcia w wyjściu z branży, za to karanie wszystkich, którzy czerpią korzyści z wykorzystywania ich. W tym mężczyzn wciąż określanych mianem „klientów", choć to właściwie „sprawcy prostytucji".

© ANNA GOLUS

ALEKSANDRA SZMIGIEL-WIŚNIEWSKA / REPORTER

Prezydent Andrzej Duda, Warszawa, listopad 2015 r.

Dług jaki jest, nie każdy widzi

PIOTR WÓJCIK

PiS oddaje opozycji gospodarkę w stanie lepszym, niż gotowi są przyznać publicznie politycy obozu nowej władzy. Polsce nie grozi brak pieniędzy w budżecie, bankructwo czy „druga Grecja".

Opozycja przygotowuje się do przejęcia władzy i realizacji obietnic wyborczych. Złożyła ich bardzo dużo – sama Koalicja Obywatelska równe sto, i to na pierwsze sto dni rządów. Ich wykonanie będzie zależeć nie tylko od sprawności polityków, ale też od stanu państwa otrzymanego w spadku po PiS.

O ile jeszcze w zeszłym roku partia Jarosława Kaczyńskiego zdawała się o państwo dbać, to w tym poświęciła je na ołtarzu kampanii wyborczej. Złożone i już uchwalone obietnice PiS będą w przyszłym roku mocno ograniczać pole manewru nowej koalicji. Równocześnie stan budżetu i gospodarki nie jest zły. Polsce nie grozi brak pieniędzy w budżecie, bankructwo czy „druga Grecja".

Skąd to przekonanie

Krótko po wyborach ze strony polityków liberalnych zaczęły dobiegać głosy, że nie znamy prawdziwej sytuacji budżetowej. „PiS zostawia finanse publiczne w tak złym stanie, że może zabraknąć pieniędzy w budżecie na koniec roku" – napisał na platformie X Ryszard Petru z Trzeciej Drogi.

Skąd się wzięło to przekonanie? W czasie pandemii PiS zaczął na masową skalę wykorzystywać dwie agendy rządowe – Polski Fundusz Rozwoju i Bank Gospodarstwa Krajowego – do zaciągania długu publicznego. Przetestowano to realizując pandemiczną Tarczę Finansową, która została sfinansowana obligacjami wyemitowanymi przez PFR.

– Rozwiązanie to powstało już w 2009 roku, w ramach Krajowego Funduszu Drogowego. Zaczęto je stosować na dużą skalę, gdy w trakcie pandemii w 2020 roku istniało ryzyko przekroczenia konstytucyjnego limitu długu publicznego – mówi dr Maciej Grodzicki,

ekonomista z Uniwersytetu Jagiellońskiego i Polskiej Sieci Ekonomii. – To była wyjątkowa sytuacja, która uwidoczniła, że sztywne reguły fiskalne nie przystają do niestabilnych czasów. Nie powinniśmy jednak z tego korzystać stale. Lepiej byłoby znieść konstytucyjny limit długu, a w decyzjach o skali zadłużenia kierować się obserwacją np. wskaźników bezrobocia.

Poza konstytucyjnym limitem długu, wynoszącym 60 proc. PKB, istnieje również niższy próg ustawowy (55 proc. PKB). Przekroczenie każdego z nich nakłada na rząd bardzo ścisłe reguły ograniczające możliwości wydawania pieniędzy. W przypadku przekroczenia limitu konstytucyjnego rząd musi w kolejnym roku zaplanować budżet bez deficytu.

Po agresji Rosji na Ukrainę rządzący podjęli nawet nieśmiałą próbę rozpoczęcia dyskusji na temat zniesienia konstytucyjnego limitu zadłużenia. Uzasadniali to koniecznością zdobycia funduszy na modernizację armii. Ostatecznie jednak Zjednoczona Prawica postanowiła finansować wydatki w ten sam sposób, jak w pandemii. Wykorzystano nawet prowadzony przez BGK Fundusz Przeciwdziałania COVID-19, który funkcjonuje do dziś. Poza tym w ramach BGK stworzono Fundusz Wsparcia Sił Zbrojnych. Oba regularnie emitują obligacje, również w euro, dolarach i jenach.

– Odpowiedniki PFR czy BGK są znane w państwach Zachodu. Kluczowy jest nie podmiot zaciągający dług, tylko sposób wydatkowania pieniędzy – twierdzi dr Grodzicki.

W państwach Europy Zachodniej wyprowadzanie części długu poza budżet również wzbudza kontrowersje. W Niemczech Federalny Trybunał Sprawiedliwości orzekł niedawno, że przeniesienie długu zaciągniętego w pandemii do zewnętrznego funduszu klimatycznego było niezgodne z konstytucją. Zmusi to Berlin do pozyskania brakujących 60 mld euro w ekspresowym tempie.

Not great, not terrible

– Ten dług jednak na pewno nie jest utajony. PFR i BGK regularnie raportują swoje zadłużenie, również do Unii Europejskiej. Dane są dostępne publicznie, chociażby na stronach Eurostatu, więc możemy dokładnie określić, jaki jest stan finansów państwa – mówi Maciej Grodzicki.

Według najnowszych danych Eurostatu, obejmujących II kwartał 2023 r., dług publiczny Polski wyniósł 48,4 proc. PKB. Średnia unijna to 83 proc. PKB (zawyżona przez państwa Europy Południowej). Pod względem ogólnego zadłużenia nic nam szczególnego nie grozi, jednak problemem jest tegoroczny deficyt budżetowy. Być może sięgnie on nawet 6 proc. PKB, czyli będzie dwukrotnie wyższy od maksymalnego limitu dopuszczalnego w UE. W takiej sytuacji w przyszłym roku grozić może nam procedura nadmiernego deficytu nakładana przez Komisję Europejską.

Jeśli ten scenariusz się ziści, utrudni to realizację obietnic nowej koalicji. Na szczęście samo przekroczenie limitu deficytu nie oznacza, że KE na pewno przystąpi do działania. Bruksela patrzy szerzej, poza tym nowy premier i wicepremier należący do Europejskiej Partii Ludowej zapewne łatwiej się dogadają z szefową KE, która należy do tej samej frakcji.

– Część wydatków na zbrojenia zostanie zaksięgowana w przyszłym roku, co dodatkowo podniesie przyszłoroczny deficyt – zauważa dr Grodzicki. – Z powodu spowolnienia gospodarczego w innych państwach UE te deficyty również będą wysokie. Kto wie, czy KE nie będzie tu szła na spore ustępstwa z uwagi na spowolnienie i konieczność finansowania zbrojeń.

W Polsce sprawę komplikować będzie wysoki koszt złożonych w kampanii obietnic. Według analizy ośrodka CenEA, spełnienie zapowiedzi dotyczących podatków, składek i świadczeń kosztować ma budżet 55 mld zł. – Realizacja obietnic KO, szczególnie podwyższenia kwoty wolnej do 60 tys. zł, będzie trudna. Te zmiany same w sobie oceniam jako szkodliwe, gdyż korzyści dla gospodarstw domowych zostaną rozłożone bardzo niesprawiedliwie – przekonuje dr Grodzicki.

Dotyczy to przede wszystkim przywrócenia ryczałtowej składki zdrowotnej dla przedsiębiorców. W efekcie najzamożniejsze 10 proc. gospodarstw domowych skorzysta na tym średnio 250 zł miesięcznie, a dolne 90 proc. – kilkadziesiąt złotych. Równocześnie o 7 mld zł spadną wpływy do NFZ, z którego usług 10 proc. najbogatszych i tak często nie korzysta, za to 90 proc. mniej zamożnych jak najbardziej. – Te propozycje nie zostały sprecyzowane w umowie koalicyjnej, więc trudno powiedzieć, czy będzie tutaj dyscyplina podczas głosowań. Może się jednak zdarzyć, że liberalne i probiznesowe ustawy podatkowe dostaną poparcie ze strony Konfederacji, która skompensuje ewentualny sprzeciw Lewicy – komentuje ekonomista z UJ.

Chociaż najwięcej mówi się o różnicach programowych w kontekście aborcji czy związków partnerskich, to dużo większe rozbieżności znajdziemy w innych kwestiach. O ile KO, PSL i Polska 2050 mają dosyć zbieżne programy ekonomiczne – liberalne i nastawione na wsparcie przedsiębiorców – to Lewica różni się od nich znacznie, np. w sprawach mieszkalnictwa czy podatków. Właśnie z tego względu umowa koalicyjna została napisana tak ogólnikowo.

Neoliberalizm – wersja pisowska

W czasie ośmiu lat rządów PiS pensje wzrosły realnie o jedną trzecią. Niewątpliwie Polska stała się zamożniejsza. Mowa nie tylko o 500 plus, ale też o wzroście pensji minimalnej czy wprowadzeniu minimalnej stawki godzinowej. Problem w tym, że Zjednoczona Prawica sprowadziła niemal całą politykę społeczną do transferów pieniężnych. W rezultacie usługi publiczne były traktowane po macoszemu.

– Przy tak dobrej koniunkturze i rosnących dochodach budżetowych można było znacznie je wzmocnić. Tymczasem trwało ciche prywatyzowanie sektora publicznego, opierające się na świadomym zaniedbywaniu go i transferach pieniężnych, za które ludzie mieli sobie kupić usługi medyczne czy miejsce w przedszkolu na rynku – mówi Maciej Grodzicki. – Prywatyzowanie usług publicznych prowadzi do wzrostu nierówności, co widzimy najboleśniej w zdrowiu, a ostatnio również w edukacji. Gdy coraz większego znaczenia nabierają wydatki prywatne, pozycja mniej zarabiających staje się słabsza. Powoduje to również erozję wspólnych przestrzeni, które łączyłyby obywateli z różnych klas społecznych.

Dochodząc do władzy, PiS obiecywał zerwanie z gospodarczym liberalizmem i postawienie na dynamiczny rozwój pod przywódczą rolą państwa. Powstała nawet Strategia Odpowiedzialnego Rozwoju, zarys całkiem spójnej i odważnej polityki przemysłowej na miarę XXI wieku. Niestety, obecnie o SOR mało kto w ogóle pamięta. ↦

– PiS oddał cały obszar produkcji korporacjom. Paradoksalnie partia, która była krytyczna wobec zachodniego biznesu i miała stawiać na polski kapitał, finalnie kontynuowała wcześniejszy model gospodarki zależnej – tłumaczy dr Grodzicki. – Okazało się, że ciężko wymyślić coś lepszego i przeciwstawić się globalnym trendom. Ciężko też stworzyć polskich czempionów gospodarczych, choć szereg firm wzmocniło swoją pozycję na rynkach światowych. PiS-owi trzeba jednak oddać, że w jakimś stopniu poprawił sytuację pracowników najgorzej opłacanych. Podnoszenie płacy minimalnej i wprowadzenie jej godzinowej stawki zwiększyło dochody ludności i – wbrew obawom biznesu – nie uderzyło w konkurencyjność polskiej gospodarki.

Model rozwoju w czasach PiS był nadal neoliberalny. W ostatnich latach wzrost opierał się na rekordowych inwestycjach zagranicznych, natomiast inwestycje podmiotów krajowych dołowały. Problem wakatów na rynku pracy rozwiązano ściąganiem setek tysięcy pracowników z całego świata, oddając ten proces prywatnym pośrednikom. W tym czasie nieliczne rozpoznawalne polskie przedsiębiorstwa powpadały w kłopoty. Wytwórca autobusów Solaris został sprzedany Hiszpanom. Produkująca pojazdy szynowe Pesa musiała być ratowana przed bankructwem przez Polski Fundusz Rozwoju. Na szczęście akurat ta operacja okazała się udana i kilka tygodni temu Pesa wygrała w Rumunii swój największy przetarg w historii. W kłopoty wpadła jednak polska branża gamingowa – marnych wyników CD Projekt nie poprawiło ciepło przyjęte „Widmo wolności", a drugi pod względem wielkości Techland trafił w ręce chińskiego Tencenta.

Według najnowszych danych Eurostatu **dług publiczny Polski wyniósł 48,4 proc. PKB.** Średnia unijna to 83 proc. PKB. Najbardziej zawyżana jest przez kraje Europy Południowej.

– Trochę wzmocniono sektor spółek Skarbu Państwa. Upaństwowiono chociażby część sektora bankowego, co okazało się przydatne w zarządzaniu finansami publicznymi. Natomiast polski sektor prywatny to – w swojej masie, nie licząc wyjątków – nadal nie są firmy zdolne do konkurowania na zagranicznych rynkach. Jesteśmy więc nadal zależni od tego, czy inwestorzy zagraniczni będą chcieli tu prowadzić swoje magazyny, fabryki i centra usług wspólnych oraz podnosić płace – wyjaśnia ekonomista z UJ.

Przyszła koalicja rządząca nawet nie udaje, że będzie próbować wymyślać nowy model rozwoju. W jej umowie dominują znane od trzech dekad zaklęcia o wspieraniu przedsiębiorczości czy prostych podatkach. – Umowa koalicyjna pomija konkretne rozwiązania w sprawach, które są najistotniejsze. W obszarze gospodarki znajdziemy same ogólniki i powrót przywilejów podatkowych dla osób samozatrudnionych. Temat poprawy płac i warunków pracy jest praktycznie nieobecny, a postulat dofinansowania Państwowej Inspekcji Pracy stanowi jedynie wyjątek od reguły. Myślę, że dotychczasowy model będzie kontynuowany, obawiam się też, że nowy rząd porzuci dotychczasową politykę podnoszenia płacy minimalnej i redystrybucji dochodów eksportowych do biedniejszych warstw – mówi Grodzicki. – Chciałbym, żeby nowy rząd zadbał o sektor publiczny, fundamentalny dla jakości życia. Druga kluczowa sprawa to mieszkalnictwo. PiS kontynuował politykę PO, czyli dopłaty do kredytów hipotecznych, co głównie szkodziło, podbijając ceny mieszkań i zwiększając zyski deweloperów.

Obszar polityki mieszkaniowej umowa koalicyjna potraktowała z ostentacyjnym lekceważeniem, co było jednym z powodów oporu partii Razem – w bardzo krótkim akapicie nie znalazł się żaden konkret. Na szczęście przyszli rządzący zapowiadają, że podwyżki dla sektora budżetowego oraz nauczycieli wejdą w życie już z początkiem przyszłego roku. To najważniejszy promyk nadziei.

© PIOTR WÓJCIK

REKLAMA

XIII KONFERENCJA Z CYKLU „GENEALOGIE PAMIĘCI"

Warszawa, 22–24 listopada 2023
Biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego, ul. Dobra 56/66, z transmisją online

Pandemie, głód i katastrofy przemysłowe XX i XXI wieku

Jak doświadczenia epidemii, głodu, klęsk żywiołowych i katastrof przemysłowych zapisały się w pamięci społecznej i kulturowej? Jak na tę pamięć wpłynęły dokonujące się w XX i XXI wieku przemiany polityczne, społeczne i cywilizacyjne? Dlaczego oficjalne narracje o minionych zjawiskach wciąż dzielą społeczeństwa?

Europejska Sieć Pamięć i Solidarność zaprasza na XIII konferencję z cyklu „Genealogie Pamięci".

Tegoroczna konferencja poświęcona jest relacjom między pamięcią a szeroko pojętą biopolityką. Ponad czterdzieści badaczek i badaczy z całego świata podejmie problematykę wielkoskalowych zjawisk, takich jak pandemie, głód czy katastrofy przemysłowe. Poruszane podczas konferencji zagadnienia dotyczyć będą również sposobu, w jaki pamięć i rzeczywistość traumatycznych wydarzeń są przepracowywane na poziomie zbiorowym oraz jakie dyskursy pamięci i niepamięci temu towarzyszą.

ORGANIZATOR Europejska Sieć Pamięć i Solidarność

PARTNERZY ESEH, SSHM, Instytut Socjologii, Herder-Institut für historische Ostmitteleuropaforschung, Institut der Leibniz-Gemeinschaft, IH PAN, Instytut Historii Uniwersytet Jagielloński w Krakowie, wellcome centre cultures+environments of health

PATRONAT MEDIALNY TVP Kultura, DZIEJE.PL

ESPS JEST FINANSOWANA ZE ŚRODKÓW Ministry of Culture and National Heritage Republic of Poland, Federal Government Commissioner for Culture and the Media, Ministry of Interior, Ministry of Culture of the Slovak Republic, Ministry of Culture, Co-funded by the European Union

MASKOT / ALAMY / BE&W

Senior nie śpi, bo klika

SZYMON ŻYŚKO

Dźwięk powiadomienia ze smartfona mózg odbiera jak przywołanie imienia. Przy okazji rozprasza uwagę i uzależnia jak narkotyk.

Niedzielne obiady w Otwocku były przed pandemią tradycją. Paweł zabierał rodzinę i jechali w odwiedziny do jego rodziców. Dziś to raczej święto. Rodzinny rytuał osłabił najpierw covidowy strach o ich zdrowie, a później opór dorastających dzieci, które odzyskały normalne życie. Paweł też miał coraz mniejszą ochotę widzieć rodziców, zwłaszcza ojca. Raz na kilka miesięcy udaje im się jednak spotkać. Tak było w lipcu.

– Czy możesz wreszcie odłożyć ten telefon i porozmawiać z nami? – padło pytanie przy stole.

Uwaga odruchowo skupiła się na nastolatkach jedzących rosół. Nie do nich jednak było kierowane.

– Andrzej, może byś mi wreszcie pomógł? – rzuciła pani Krystyna, z trudem przeciskając się między siedzącym na krześle mężem a ścianą.

Pan Andrzej wybuchł śmiechem, pokazując wnuczkom i synowej znaleziony na Facebooku filmik, który jego zdaniem był zabawny.

– To naprawdę nie ma sensu, tato. Po co przyjeżdżamy? Żeby oglądać te głupoty? Internet mamy w domu – złościł się Paweł.

– Odczepcie się – powiedział zirytowany 62-latek i odszedł od stołu, zostawiając obiad.

Usiadł w swoim fotelu, założył okulary i dalej klikał w smartfonie. Jego twarz wypogodniała. Kątem oka Paweł dostrzegł, że ojciec przegląda zdjęcia wnuczek, gdy były małe. Takich zdjęć i filmów ma setki. Odkąd kupił telefon z aparatem, dokumentuje niemal wszystko.

Uzależnieni

Pani Leokadia przeżyła w małżeństwie 43 lata. – W bardzo szczęśliwym – dodaje. To jedno z niewielu wspomnień, których nie utraciła. Choruje na demencję, początkowo zdiagnozowano u niej depresję. – To było zaraz po śmierci taty, więc nie wydało nam się dziwne – opowiada jej najmłodsza córka Patrycja.

Pani Leokadia uwielbiała jeździć z mężem na wycieczki rowerowe, wieczorami grali w warcaby, rozwiązywali krzyżówki lub oglądali teleturnieje, rywalizując na punkty. Nad barkiem zawsze leżał zeszyt, w którym notowali wyniki małżeńskich potyczek. – Chcieliśmy, aby mama wróciła do formy. Kupiliśmy jej smartfona, by mogła utrzymywać z nami kontakt, śledzić sukcesy wnuków. Sama wgrałam jej sudoku na telefon. Liczyłam, że przypomni sobie dobre rzeczy. Chciałam, żeby pozostała sprawna umysłowo, bo fizycznie słabła – mówi dalej Patrycja. Na początku działało, babcia założyła konto na Facebooku, odnalazła znajomą ze szkoły, zaczęła komentować posty wnuków, dzieliła się rekordami w uprawie wirtualnej farmy. Ale kontakt z rodziną się urwał, a jej profil rozsyłał masę podejrzanych linków.

– Podczas odwiedzin zobaczyliśmy, że jest w złej kondycji, zaniedbana, brakuje jej leków, lodówka stoi pusta. Poprosiłam syna, żeby zabezpieczył jej konta społecznościowe i telefon przed wirusami. Po chwili przyszedł do mnie i powiedział, że babcia ma chyba problem. Tak dowiedzieliśmy się, że jest uzależniona od hazardu – mówi córka.

Od niewinnych gier i subskrypcji przeszła do internetowych kasyn. Algorytm ją wychwycił. Otrzymywała dziesiątki powiadomień, a jako dobrze wychowana czuła, że musi odpowiedzieć na każde. W pół roku straciła kilka tysięcy złotych.

Uwagę dzieci zwróciły też coraz częstsze pomyłki i luki w pamięci. – Dopiero wtedy wyszło, że mama ma demencję. Ale tak szybki rozwój choroby był podejrzany. Gdy psychiatra usłyszał o jej problemie z grami na telefon, powiedział „wszystko jasne" – mówi Patrycja. Pani Leokadia mieszka aktualnie z jedną z córek, dzieci kupiły jej telefon na duże klawisze, z którego nie można połączyć się z internetem. Z trudem z niego korzysta. Tak jak ze szczoteczki do zębów, grzebienia czy sztućców.

Maciej: – Mój ojciec przestał odbierać telefon, kiedy zmienił toporną nokię na smartfona. Ciągle był dostępy na Facebooku. Komentował każde moje zdjęcie, udostępniał obrazki z papieżem. Wyznawał miłość Maryi postami na „feju". Wstydziłem się tego, więc go wyciszyłem, przestałem odczytywać wiadomości. Mój syn żalił się, że dziadek zaprasza do znajomych jego przyjaciół. Robił to masowo z każdym, kto zareagował na naszych profilach. Prosiłem, by przestał. Nie przestawał. Aż któregoś dnia napisała do mnie jego sąsiadka. Nie widziała go od dwóch dni, nie wysłał jej „dzień dobry" ↦

↦ na WhatsAppie. Pojechałem tam i znalazłem go w fotelu. Zmarł z telefonem w ręku. Wysyłał komuś taki kiczowaty obrazek z różami i życzeniami. Żałuję, że nie miałem do niego więcej cierpliwości i że przez ostatnie lata prawie nie rozmawialiśmy. Był dobrym człowiekiem.

Smartfony dla wnuczek

Pan Zbigniew zdecydował się kupić smartfona kilka lat temu po wakacjach. Zabolało go, gdy od sąsiadki dowiedział się, że jego córka była z rodziną na urlopie w Afryce. Mimo że odwiedzili go przed wyjazdem, nie wspomnieli o tym. – Pomyślałem, że jestem zacofany, nie mam e-maila, w domu tylko numer stacjonarny. Nie mieli nawet jak dać znać – tłumaczy sobie tamtą sytuację. Z żalem jednak stwierdza, że niewiele się zmieniło, odkąd go ma.

– Obserwowałem ich na tych profilach, „polubiałem". Wnuczki nigdy mnie nie przyjęły do grupy znajomych, a jak dorosły, to poukrywały wszystko. Gdy żyła żona, to przyjeżdżali tu na wakacje, bo była pomoc. Ale urosły i wieś przestała im się podobać. Ostatnio wpadają, żeby mi psa zostawić, którego kupili. Jak w hotelu – mówi 67-latek.

Pan Zbigniew posiada cztery telefony na abonament, które spłaca. Kosztują go 600 zł miesięcznie. Dwa wziął dla wnuczek na Boże Narodzenie, na kolejny namówił go operator. – Chyba im się nie spodobały, bo mają już inne. Te mody szybko się zmieniają – próbuje sobie wyjaśniać. Gdy o tym opowiada, wciąż zerka na powiadomienia. Jego telefon nieustannie wibruje.

Szkolenia z bezpieczeństwa

Małgorzata jest emerytką. Z mężem rozwiodła się 30 lat temu. Ma dwóch synów, obaj mieszkają za granicą. Na 62. urodziny dostała w prezencie tablet, żeby rozmawiać z kamerką i pokazać się wnukom. Za namową sąsiadki założyła profil na Facebooku, gdzie odkryła grupę hafciarską. Zdjęcia jej ręcznie wyszywanych obrazów miewały setki lajków. – Najbardziej dumna jestem ze sztandaru z Janem Pawłem II, który haftowałam dla autokarowej pielgrzymki z naszej parafii. Poświęcili go na grobie papieża – wspomina.

Małgorzata przyznaje, że w internecie najtrudniej patrzy się jej na cierpiące dzieci. Wiele swoich haftów oddała więc na zbiórki charytatywne. Z prośbą nierzadko odzywali się sami rodzice. W końcu próśb było za dużo, a ona miała poczucie winy. – Facebook wyświetlał mi te straszne historie. Spać po nich nie mogłam, brałam leki na ból głowy. Jak musiałam odmówić, to wpłacałam chociaż po kilka złotych – wzrusza się. W 2021 r., chcąc przekazać 20 zł na zbiórkę, kliknęła w link przelewu otrzymanego na komunikatorze. Tak straciła wszystkie oszczędności. Sprawy nikomu nie zgłosiła. – Co, jeśli ucierpi przez to chore dziecko? – racjonalizowała lęk.

> Badacze doszli do wniosku, że smartfony powodują spustoszenie w postrzeganiu i interpretowaniu rzeczywistości. W jeden dzień przetwarzamy **tyle informacji, ile nasze prababki nawet w ciągu kilku lat.**

Sytuację opisała na grupie, gdzie otrzymała dużo wsparcia. Dwa miesiące później na jej post zareagował Ryszard, zaoferował pomoc. Był szarmancki, uprzejmy, przypomniały się jej najlepsze lata przed ślubem. Rozmowy przerodziły się we flirt, a on nie dawał o sobie zapomnieć. Witał o poranku, długo pisał wieczorami. Modlił się za nią. Utwierdzał Małgorzatę w tym, że ma niespotykaną wrażliwość. W końcu zaproponował randkę... i wspólny biznes. – Byłam przekonana, że będę mogła więcej pomagać. I będę miała kogoś, kto nie pozwoli mi się nabrać, zatroszczy – opisuje ich wirtualną relację.

Ryszard ciągle przekładał potencjalne daty spotkania. Któregoś dnia poprosił ją o przelew 5000 zł, żeby założyć dla niej firmę. Wtedy pierwszy raz zadzwonił, a jego spokojny męski głos upewnił ją, że ma do czynienia z mężczyzną, którego znała od tygodni. Brzmiał tak, jak sobie to wyobrażała. Dwa dni później Małgorzata przelała mu pieniądze. Od razu zamilkł. – Byłam przerażona, tyle mu o sobie powiedziałam. Schowałam tablet do szafy, ze wstydu długo nie odbierałam rozmów od synów – wyznaje kobieta. W końcu opowiedziała bliskim, co ją spotkało.

By przekonać matkę do nierezygnowania z jedynej formy kontaktu, jaką mają, syn zapisał ją na szkolenie z bezpieczeństwa w sieci dla seniorów. Małgorzata korzysta dziś z tabletu tylko do rozmów z rodziną. Przelewy robi wyłącznie w placówce banku. Do haftu nie zamierza wracać.

Bateria mózgowa

Negatywny wpływ technologii i social mediów jest szeroko zbadany w młodszych grupach wiekowych. Osoby starzejące się są w nich niemal całkowicie pomijane. Kraje wysokorozwinięte technologicznie jak Korea Południowa czy Japonia, w których statystyczna długość życia jest wyższa niż u nas, w swoich badaniach poświęcają uwagę głównie możliwościom, jakie daje ona seniorom, a nie zagrożeniom.

W 2016 r. McCombs School of Business przy Uniwersytecie Teksańskim w Austin zrealizował badania na grupie 800 użytkowników smartfonów. To, co robią one ze zdolnościami poznawczymi, autorzy nazywali efektem drenażu mózgu. Określenie to zostało zapożyczone z ekonomii przez neurokognitywistów, ale nadano mu inne znaczenie. Badacze doszli do wniosku, że smartfony powodują spustoszenie w postrzeganiu i interpretowaniu rzeczywistości. Mózg odbierając dźwięk powiadomienia, korzysta z tych samych zasobów, których używa do rozpoznawania własnego imienia. Sama obecność smartfonu w kieszeni nadaje mu status bodźca priorytetowego. Powoduje to zespół cyfrowego rozproszenia uwagi, który wpływa na szybkość reakcji oraz rodzaj ślepoty poznawczej blokującej docieranie do mózgu innych ważnych sygnałów. Aplikacje społecznościowe działają wręcz narkotyczne. Dzieje się to poprzez wydzielanie dopaminy, hormonu nagrody, gdy oglądamy rzeczy przyjemne, oraz kortyzolu, czyli hormonu stresu, który wydziela się, gdy np. tracimy telefon z oczu.

Wpływ smartfonów jest długotrwały, ale bardziej szkodliwy dla seniorów. Mózgi osób młodych mają większy potencjał regeneracji i po ograniczeniu korzystania z nich sprawniej odzyskują równowagę. Osoby starsze często bezpowrotnie tracą

połączenia nerwowe, które regenerują się tylko w niewielkim stopniu. Samo posiadanie smartfona jest dla mózgu jak aplikacje działające w tle dla telefonu – zużywają mózgową baterię. Z wiekiem pojemność tej baterii maleje.

Przebodźcowani

– Nasz mózg nie jest stworzony do tego, by szybko przetwarzać informacje z różnego zakresu emocji. Najpierw pozytywny filmik, a trzy sekundy później coś smutnego. W jeden dzień przetwarzamy tyle informacji, ile nasze prababki nawet w ciągu kilku lat. Za pośrednictwem urządzeń elektronicznych dociera do nas ok. 10 tys. słów dziennie, jak policzył zespół badaczy z San Diego pod kierownictwem prof. Rogera E. Bohna – relacjonuje mgr Klaudia Majka, psycholożka i psychoterapeutka posiadająca wieloletnie doświadczenie w pracy z osobami starszymi. – To przebodźcowanie widać też u seniorów. Dużo wcześniej pojawiają się u nich objawy demencji. Kiedyś badaliśmy je w kontekście dużych stresów jak głód lub trauma wojny, dziś podobne symptomy występują przy nadużywaniu social mediów. Mamy do czynienia nawet z 40-latkami, którzy mają wyraźne objawy otępienia i zmiany w strukturze mózgu. Huśtawka dopamina-kortyzol to tykająca bomba – ostrzega mgr Majka.

Zdaniem specjalistki mówienie o uzależnieniu w tym kontekście nie jest nadużyciem. – Poznałam 80-latkę, która po raz pierwszy przeszła z telefonu z klawiaturą na smartfon i jest nim totalnie zauroczona. Mniej lub bardziej udolnie korzysta ze wszystkiego, co daje jej internet. Starsi ludzie udostępniają swoje życie bez obciachu i bez refleksji, że istnieją pewne zagrożenia. Jednocześnie wstydzą się powiedzieć, że czegoś nie rozumieją, bo bardzo chcą dogonić bliskich – komentuje psycholożka. Jej zdaniem seniorzy żyją w coraz mniej przyjaznym dla nich świecie.

Problem ten sygnalizują również dorosłe dzieci. Psychoterapeutka podzieliła się anonimową historią jednej z pacjentek. – Gdy wracała do domu rodzinnego, jej ojciec ciągle tweetował. Nocami przesiadywał przed komputerem, wdając się w dyskusje z agresywnymi użytkownikami, a nawet z botami. Nie rozróżniał ich. Tak bardzo przeżywał kłótnie, że zaczął pić do tego Twittera – opowiada.

Do gabinetu mgr Klaudii Majki rzadko trafiają seniorzy żyjący w wielopokoleniowych rodzinach. Pacjentami są najczęściej osoby w skrajnej samotności. – To marketingowa bajka, że technologia może zastąpić relacje, ona je spłaszcza. W kontakcie ważny jest również kontekst biologiczny. Internet jest jedynie plasterkiem na samotność – tłumaczy. Można przecież funkcjonować w pełnym domu, ale zmarnować kapitał relacji z rodziną, nie zbudować również relacji z samym sobą i w konsekwencji być bardzo samotnym. Dlatego warto dbać o związki z ludźmi już teraz, podkreślać, jakie są dla nas ważne. – Nie bagatelizujmy mocy przyjaźni. Wiele osób z nich rezygnuje, zakładając rodziny, a to relacje równie znaczące. Rozwijajmy pasje, bądźmy atrakcyjni relacyjnie. Inaczej cyfrowe osamotnienie będzie narastać z kolejnymi pokoleniami, dla których smartfon jest czymś oczywistym – przestrzega.

Pracując przez sześć lat w Domu Pomocy Społecznej, psycholożka była świadkiem, jak popularne potrafią być portale randkowe wśród ludzi starszych. Niektóre historie kończyły się ślubami. – Zbyt rzadko mówimy o poszukiwaniu miłości romantycznej u osób w dojrzałym wieku. One wciąż pragną przeżyć miłość. Swoje oczekiwania mogą przerzucać na bliskich, ale to nie wypełni ich potrzeby bycia w relacji partnerskiej. Samotności nie mierzy się liczbą relacji, ale ich jakością – podkreśla psycholożka.

Występuje korelacja między mechanizmem uzależnienia osób starszych i młodszych, które biorą się z poczucia nieszczęścia i chęci przynależenia do grupy. Wykorzystują to algorytmy social mediów. Platformom społecznościowym mniej zależy na tym, byśmy mieli relacje, a bardziej na tym, byśmy byli ich głodni. Dopóki szukamy, przynosimy zyski. Nasyceni konsumujemy mniej. – Na tym samym mechanizmie opiera się hazard. To główny czynnik uzależnień behawioralnych. Media społecznościowe świadomie go wykorzystują, są nastawione na przywiązywanie nas. Zbliżają do celu, na którym nam zależy, i odsuwają go – tłumaczy Klaudia Majka.

Ekspertka wyjaśnia, że nie wystarczy odciąć źródła uzależnienia, utratę trzeba wypełnić. Telefon może zastąpić tylko prawdziwa relacja lub pasja. – Rodzina, wspólnota czy plemię są punktami odniesienia dla naszej tożsamości. Pytanie o to, kim jestem dla siebie i dla innych, jest ważne na każdym etapie życia – podkreśla. Osoby starsze są równie narażone na niekorzystny wpływ technologii jak dzieci, ale zdecydowanie mniej zaopiekowane.

■■■

SMS od Pawła: Tata kilka razy przewrócił się w domu. W sierpniu spadł z drabiny i złamał nogę. Wysłali go na diagnostykę neurologiczną. Okazało się, że od dawna miał problemy z mówieniem. Zastanawiałem się, czemu woli oglądać zdjęcia wnuczek, niż z nimi pogadać. Może dlatego ciągle nam coś pokazywał? Myślę, że tak się z nami komunikował.

© SZYMON ŻYŚKO

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

BYDGOSZCZ, piątek 24 listopada, spotkanie z ks. Alfredem Wierzbickim, „Europa bez Kościoła?”, Biblioteka Uniwersytetu UKW, godz.18.00

RZESZÓW, poniedziałek 27 listopada, spotkanie z o. Jackiem Prusakiem SJ, „Słowo ciałem się stało: czego wstydzi się katolik”, Aula Klasztoru Dominikanów (ul. Dominikańska 15), godz. 18.00

BIELSKO-BIAŁA, środa 29 listopada, spotkanie z Maciejem Pisukiem – współscenarzystą „Zielonej granicy” Agnieszki Holland, Willa Sixta (ul. Mickiewicza 24), godz. 17.00

REZERWUJ CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

TYGODNIK POWSZECHNY

Wykup prenumeratę i czytaj najlepszą literaturę w niskich cenach!

Czytasz książki i uważasz, że najlepiej mieć własny egzemplarz na półce? Zgadzasz się, że 40% rabatu* u najlepszych wydawców to dobra oferta?

Kupując prenumeratę papierową „Tygodnika", co miesiąc otrzymasz nowe kody rabatowe. Przez cały listopad wszystkie dostępne tytuły **Doroty Masłowskiej** i **Hanny Krall**, które ukazały się nakładem **Wydawnictwa Literackiego**, kupisz **40% taniej***.

Co zyskujesz?

- Co miesiąc inne tytuły i nowi wydawcy
- Zawsze duże zniżki
- Tylko najlepsze książki
- Oferta dla nowych i obecnych prenumeratorów

Zamów prenumeratę, podaj przy zamówieniu swój adres mailowy, a my co miesiąc wyślemy Ci unikalne kody promocyjne do wykorzystania przy zakupach w księgarni wydawcy.

Jesteś prenumeratorem?

Napisz na prenumerata@TygodnikPowszechny.pl, aby otrzymać rabat.

Oferta ważna dla każdego rodzaju prenumeraty papierowej, dostępna także w ofercie łączonej dla „Tygodnika" papierowego i cyfrowego.

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: **Tygodnik Powszechny**
  ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
  Nr konta Bank Pekao SA
  49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Potrzebujesz pomocy? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela **Agnieszka Dyrcz** w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie prenumeraty cyfrowej pomocy udziela **Mateusz Chmielowski** w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. **660 692 099** lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty na powszech.net/regulamin

* rabat udzielany jest od ceny okładkowej

WYBIERZ SWOJĄ PRENUMERATĘ

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
12 wydań	3 miesiące	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	rok	100 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	rok	640 zł	770 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	rok	570 zł	

POKOLENIA* – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Pełna oferta, w tym krótsze okresy oferty łączonej, na TygodnikPowszechny.pl/sklep

PARTNEREM PRENUMERATY JEST WYDAWNICTWO LITERACKIE

70 WL Jubileusz Wydawnictwa Literackiego

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TOMASZ

Stawiszyński: *Praktyki jednoznaczności*

W koszmarze rozgrywającym się na Bliskim Wschodzie – którego nie pierwszym i nie ostatnim akordem były bestialskie ataki Hamasu na Izrael na początku października, a potem, w odpowiedzi, bombardowania Strefy Gazy przez izraelską armię – istnieje co najmniej kilka wymiarów. A każdy skomplikowany i splątany, wymykający się wszystkim znanym nam metodom manifestowania grupowej przynależności. Wszystkim tym rytuałom wirtualnej egzaltacji, praktykom jednoznaczności, które z upodobaniem od lat odprawiamy w mediach społecznościowych (i nie tylko): świętemu oburzeniu, wściekłej nienawiści, wzmożonemu udostępnianiu, afektowanemu komentowaniu, kompulsywnemu lajkowaniu i łapczywemu zbieraniu lajków.

Przyzwyczajeni, że się nam przeważnie udaje tak właśnie „rozwiązywać" większość politycznych, naukowych, społecznych czy etycznych złożoności, w sprawie Izrael–Palestyna zderzamy się nagle z czymś, co stawia masywny opór. A to z kolei – jakżeby inaczej – cały ten ferwor wzmacnia. Stąd też dookoła pełne furii i pogardy wymiany despektów, inwektyw, obelg. Ktokolwiek decyduje się w tej sprawie zabrać głos, musi się liczyć, że zaleje go fala wrogości ze strony tych, którzy pozycjonują się na drugim krańcu spektrum. Jeśli zaś ów ktoś sam się wystarczająco wyraźnie nie chce opowiedzieć tu albo tam – może być pewien, że również, właśnie za to, zostanie brutalnie skrytykowany.

Oczywiście, na dłuższą metę działa to niszcząco nie tylko na jakość życia publicznego, ale w pierwszej kolejności na jakość naszego myślenia, reagowania i argumentowania. Funkcjonowanie pod terrorem internetowego tłumu, który rzuca się natychmiast do ataku, kiedy tylko próbujemy coś poddać głębszej refleksji lub zniuansować, czemuś spokojnie i z bliska się przyjrzeć – sprawia, że z biegiem czasu, z lęku przed osaczeniem, hejtem i wykluczeniem, dla świętego, paradoksalnie, spokoju, zaczynamy nie tylko mówić, ale i myśleć to, co potencjalnie nie narazi nas na bolesne retorsje. Ten opłakany proces – systematycznego zaniku zdolności do wytrzymywania komplikacji oraz rozwoju intensywnej potrzeby opisywania świata w spolaryzowanych, czarno-białych kategoriach – rozgrywa się przecież nie od dzisiaj. W dyskusjach wokół sprawy izraelsko-palestyńskiej nabiera jednak jeszcze dodatkowego, tragicznego wymiaru.

Bo też i tragizm jest czymś, co bodaj najpełniej charakteryzuje istotę tej kwestii. A zarazem wobec tragizmu jesteśmy współcześnie najbardziej bezradni – nie chcemy go widzieć, nie chcemy go znać, nie przyjmujemy jego istnienia do wiadomości. W polu złożonym z zer i jedynek, z czerni i bieli, niebezpieczeństwo tragizmu – czyli sytuacji bez satysfakcjonującego wyjścia, przeciwieństwo opcji *win-win* – wydaje się zażegnane. Dlatego obraz świata programowany przez dzisiejszą masową kulturę w ogóle czegoś takiego nie uwzględnia.

Tymczasem tutaj – no właśnie – mamy ten tragizm w pełnej krasie. A wraz z nim moralną komplikację, która sprawia, że każdy w zasadzie wyrazisty sąd trzeba natychmiast opatrywać jakimś mniej lub bardziej istotnym „ale". Rozumiejąc cierpienie, emocje i postawę zwykłych Palestyńczyków, nie sposób w najdrobniejszym nawet stopniu popierać bestialskiego, podszytego dżihadem terroryzmu Hamasu. Rozumiejąc prawo Izraela do samoobrony – a przede wszystkim uznając prawo państwa Izrael do istnienia, to bowiem rzecz tutaj fundamentalna, także w wymiarze cywilizacyjnym – nie sposób usprawiedliwiać towarzyszącej temu masakry niewinnych cywilów, w tym, w ogromnej liczbie, dzieci (nawet przyjmując, że za ich śmierć, przynajmniej częściowo, odpowiada Hamas, który od dawna używa ludzi jako żywych tarcz). Wreszcie – znając choćby pobieżnie historię tamtej ziemi, politycznych machinacji, sporów, konfliktów, dramatów, przemocy, nie sposób obstawiać wykładni, która sto procent racji przyznaje wyłącznie jednej stronie.

Ale ta sytuacja moralnej i politycznej złożoności, w jakiej się znajdujemy – ze świadomością, na dodatek, że ma to również szerszy sens, i że jest elementem jakichś wielkoskalowych przetasowań politycznych – odzwierciedla jakąś jeszcze inną, głębszą i bardziej ogólną prawdę. Jak ją wyrazić? Może tak: z epoki, w której wydawało się nam, że mamy – jako ludzie – zdolność do tworzenia w umysłach zadowalającej reprezentacji świata, i że nasze religie, filozofie, systemy moralne dają nam tutaj efektywne narzędzia orientacji, wkroczyliśmy już dawno w epokę, w której okazało się to w dużej mierze iluzją. Przy czym nie chodzi mi o żaden relatywizm – kategorie „dobra" i „zła", „prawdy" i „kłamstwa" potrzebne są dziś bardziej niż kiedykolwiek, a z powodu ich dekonstrukcji czy dewaluacji zdarzył się niejeden kryzys. Chodzi tylko o uznanie, że adekwatne zastosowanie tych kategorii wymaga kolosalnego wysiłku, namysłu, czasu, powagi i poruszania się krok po kroku w gąszczu nieznanego. Słowem, wymaga tego wszystkiego, czego nam właśnie dzisiaj bardzo brakuje – również dlatego, że sami to sobie odebraliśmy.

To zresztą też jest składowa tragizmu, o którym wcześniej była tu mowa. Zwłaszcza że na tym pragnieniu uproszczeń, wzmożeniu i polaryzacji, łatwo żerują ci, którzy doskonale wiedzą, w jakie struny uderzyć, żeby naszymi ślepymi emocjami pokierować zgodnie z własnym interesem. ©

WIARA

OPOWIASTKI BIBLIJNE

Wiedza pomagająca dostrzegać niuanse Pisma Świętego nie zagraża wierze. Pozwala natomiast obnażać błędy takich książek, jak „Chrześcijaństwo. Amoralna religia".

PAWEŁ RAKOWSKI SJ

Niemal dwa tysiące lat historii chrześcijaństwa jest dla wierzących chrześcijan źródłem zarówno duchowego bogactwa, jak też historycznego obciążenia, błogosławieństwem i przekleństwem. W ciągu tego czasu wydarzyło się tyle dobra i zła wokół głoszonej Ewangelii, że można z tego czerpać niezmierzone pokłady inspiracji, jak też oskarżeń. Genezę zła w chrześcijaństwie zdecydował się wyjaśnić Artur Nowak w rozmowie z Ireneuszem Ziemińskim, w wydanej właśnie książce „Chrześcijaństwo. Amoralna religia".

Skąd zło wśród wyznawców Chrystusa? Według autorów czarne karty dziejów chrześcijaństwa „nie były wypaczeniem nauki Jezusa, lecz wynikały z wiernego jej stosowania przez ludzi Kościoła". Ta zaskakująca teza zakłada, że nauka o miłości bliźniego, o miłosierdziu czy o śmierci Jezusa na krzyżu nie jest o dobrym Bogu, lecz o tyranie. „Nie bluźnię, tylko bronię Boga przed bluźnierstwami obecnymi w niektórych religiach, przypisujących mu rozmaite nieprawości" – zapewnia prof. Ziemiński. Zobaczmy.

Książkę czyta się szybko z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że ma formę rozmowy, a nie naukowego wywodu. Po drugie dlatego, że jest zbudowana na uproszczeniach, stereotypowych interpretacjach, chwytliwych skrótach myślowych i szybko stawianych tezach, którym brak uzasadnienia w krytycznie, a nie tylko dosłownie lub powierzchownie czytanych tekstach biblijnych. Dla badaczy biblijnych, obytych w niuansach starożytnych tekstów, jest to lektura nużąca. Natomiast może być atrakcyjna dla tych, którym z trudem przyszłoby utrzymanie złożonego obrazu Boga, Jezusa oraz Jego nauczania, jaki znajdujemy w tekstach biblijnych. By zorientować się w metodzie autorów, wystarczy zatrzymać się przy kilku komentowanych fragmentach.

Miłosierdzie ponad kultem

Książka promuje tezę, że miłość bliźniego oraz miłość nieprzyjaciół jest przewrotnym nauczaniem, które nie ma wiele wspólnego z troską o drugiego człowieka, a jedynie z oddaniem czci Bogu. Z przypowieści o dobrym Samarytaninie autorzy wyciągają wniosek, że między przykazaniem miłości Boga i człowieka jest konflikt, ponieważ zarówno kapłan, jak i lewita postawili na pierwszym miejscu spełnienie religijnego nakazu (który jest dany od Boga). Bojąc się nieczystości, kapłan nie zbliża się do zranionego człowieka, ponieważ gdyby okazało się, że jest martwy, nie mógłby spełnić swojej służby w świątyni jerozolimskiej – którą to świątynię Ziemiński utożsamia z miłością do Boga.

Myli się jednak już na tym etapie czytania tej przypowieści – wydarzenie ma miejsce na drodze łączącej Jerozolimę z Jerychem, która schodzi w stronę Jerycha. Choć kapłanów obowiązywały zakazy dotykania ciał, to jednak jest wyraźnie zaznaczone, że ów kapłan schodził (*katabaino*), zatem zakończył swoją służbę w świątyni i prawdopodobnie wracał z Jerozolimy do swojego domu do Jerycha. A lewici nie podlegali tym samym prawom czystości, co kapłani. Zatem ta przypowieść nie jest „modelowym obrazem (...) konfliktu między przykazaniem miłości Boga a przykazaniem miłości bliźniego", jak interpretuje to Ziemiński.

W tej przypowieści Jezus porusza temat przynależności do wspólnoty i niewygodnego pytania o to, „kim jest bliźni" (Łk 10, 29). Samarytanie i Żydzi byli wrogami, wybranie w tej przypowieści Samarytanina zamiast Izraelity dotykało bolesnego tematu konfliktu i nienawiści między zwaśnionymi wspólnotami – Samarytanin z przypowieści potrafił zdystansować się wobec konfliktu z Izraelitami, aby pomóc zranionemu człowiekowi. Przy okazji, takie rozumienie tej przypowieści stoi w napięciu z inną tezą głoszoną przez prof. Ziemińskiego, jakoby Jezus budował ekskluzywną wspólnotę. Tymczasem Jezus w tym, jak i innych miejscach ewangelii tę ekskluzywność rozsadza. Ta sama przypowieść, ponadto, jest też dobrym przykładem, ↦

AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

Jezus na fresku z XI w. w katedrze Sweti Cchoweli. Mccheta, Gruzja, 28 września 2023 r.

IC
XC

↦ jak właściwie rozumieć miłość nieprzyjaciół, którą autorzy omawianej książki uważają za wyjątkowo okrutną naukę Jezusa, sprzeczną ze współczesnym rozumieniem relacji międzyludzkich – prawem do samoobrony czy stawiania granic. Przy tej okazji przywołują wojnę w Ukrainie i niemożność spełnienia miłości nieprzyjaciół wobec Rosjan.

Wróg pozostaje wrogiem

Czym jest miłość nieprzyjaciół? Może najpierw – czym właściwie jest miłość? I tutaj dochodzimy do niezauważalnego na pierwszy rzut oka konfliktu między współczesnym a starożytnym rozumieniem słów. Choć używamy tych samych, mogą mieć różne znaczenie. Dziś miłość to przede wszystkim uniwersalne uczucie – popkultura to wyraźnie podkreśliła. Tymczasem miłość nieprzyjaciół, o której czytamy w ewangelii, związana jest z aktywnym działaniem wspierającym drugiego człowieka dla jego dobra, gdy cierpi lub gdy jego życie jest zagrożone – bez względu na to, co się do tego człowieka czuje. Miłość ta dzieje się między konkretnymi ludźmi, w konkretnych miejscach i warunkach. Samarytanin, który pomógł pobitemu, był poruszony jego cierpieniem, ale nie znaczy, że kochał go jak swoich najbliższych. Pomógł mu i zaraz poszedł, po odejściu nie zmieniło się wiele – nadal pochodzili z wrogich sobie narodów, a mimo to życie zostało ocalone. Więcej, jego wróg nie był uzbrojony, nie zagrażał jego życiu – leżał bezbronny i konający na drodze.

Jest zauważalna różnica między tą sytuacją a taką, gdy staje się wobec wroga trzymającego w ręku broń. Miłość nieprzyjaciół nie wyklucza stawiania granic, przecież Jezus po tym, jak został uderzony podczas przesłuchania, zapytał sługę: „dlaczego mnie bijesz?" (J 18, 22-23). Miłość nieprzyjaciół nie wyklucza również samoobrony, gdy zagrożone jest życie.

Wracając jeszcze do wątku rzekomego konfliktu między miłością do Boga a miłością bliźniego, czytamy w rozmowie: „To jest właśnie najbardziej dramatyczny punkt tej historii, świadczący o tym, że jeśli rzeczywiście na pierwszym miejscu postawimy Boga – jeśli rytuały religijne będą dla nas najważniejsze – to troska o naszych cierpiących bliźnich zejdzie na dalszy plan". To nieprawda, że zawsze pierwsze są tzw. obowiązki religijne wobec Boga, a dopiero później wobec człowieka. W przypadku zagrożenia życia wszystkie przepisy Prawa były zawieszone dla jego ratowania. Przypomina o tym nie tylko przypowieść Jezusa, ale i Jego działalność – uzdrawiał w szabat, pozwalał zrywać kłosy, gdy uczniowie byli głodni.

Jezus w swoim nauczaniu nie podważa Tory, ale wyraźnie rozstrzyga sporne interpretacje – stąd Jego ożywiony spór z faryzeuszami, uczonymi w Piśmie czy saduceuszami. Nieprawdą jest, że „liczne historie ewangeliczne wskazują, że pałał raczej nienawiścią do faryzeuszy i saduceuszy, niż wybaczał im podstępy, fałsz i obłudę". Z przykrością należy stwierdzić, że prof. Ziemiński jest słabo zaznajomiony ze złożonym tematem sporów religijnych wewnątrz judaizmu, które były wtedy czymś naturalnym. Paradoksalnie Jezus, wchodząc z faryzeuszami w spór dotyczący rozumienia Pism, podkreślał tym samym, że byli dla Niego bliskimi partnerami do namysłu nad sercem judaizmu, jakim jest Tora.

Czy Abraham chciał zabić syna?

Według prof. Ziemińskiego okrucieństwo Boga jest w szczególny sposób wyrażone w śmierci Jezusa: „Krzyżowa ofiara, interpretowana teologicznie, jest jednym z najkrwawszych i najokrutniejszych mitów religijnych w dziejach, gdyż Bóg czyni to, czego starotestamentalny Jahwe żądał od Abrahama – zabija swojego niewinnego i jedynego syna. Tej zbrodni nie da się usprawiedliwić. Jest wzorcowym przykładem zła, nikomu przecież nie wolno mordować niewinnych dzieci. Trudno w tej sytuacji uznać chrześcijaństwo za religię moralnie lepszą od innych, choćby od judaizmu czy islamu, skoro przypisuje się w niej Bogu czyn będący oczywistym złem".

Najpierw zapytajmy: czy Bóg rzeczywiście żądał od Abrahama zabicia syna? Czy Abraham jest niemoralnym ojcem, ponieważ chciał złożyć w ofierze syna? Czy tak samo okrutny jest Bóg, kiedy przyjmuje niewinną ofiarę swojego syna na krzyżu? Powolna lektura tekstów biblijnych nie pozwala nam tak jednoznacznie odpowiedzieć na te pytania, jak robi to Ziemiński. Problematyczna do zrozumienia dla egzegetów jest prośba, jaką Bóg wypowiada do Abrahama ze względu na dwuznaczność wyrażenia „*weha'alehu sham le'olah*". Można ją rozumieć tak, jak zostało to przetłumaczone na język polski: „i tam złóż go w ofierze", ale również jako: „wnieś go tam na ofiarę" w znaczeniu, że miał go zaprowadzić na górę, aby razem złożyli ofiarę Bogu.

Być może próba, jaką otrzymał od Boga Abraham, nie polegała na tym, czy złożyć w ofierze syna, ale jaką dać odpowiedź na dwuznacznie wyrażoną prośbę. Co wybierze Abraham? Uważna lektura dalszej części tego opowiadania wskazuje, że do ostatniej chwili nie wiadomo, co Abraham faktycznie zamierza zrobić, a jego nielogiczne działanie (osiodłał osła, przywołał sługi i syna, a na końcu dopiero zaczął rąbać drzewo każąc pozostałym czekać) może wyrażać jego wewnętrzną

OGŁOSZENIE

W jedenastą rocznicę śmierci

prof. Jacka Woźniakowskiego

będziemy się modlić w Jego intencji
i w intencji spraw Jemu bliskich
w kościele św. Marka w Krakowie,
w piątek, 24 listopada
o godzinie 16:00
podczas Mszy św., którą odprawi
ks. prof. Robert Woźniak.

Później zapraszamy na ul. Pijarską 5,
gdzie pod tablicą pamiątkową
zapalimy świece.

Róża Thun, Henryk Woźniakowski

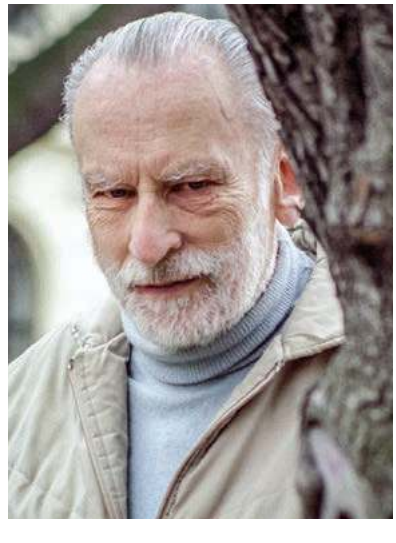

rozterkę. Kiedy już docierają do miejsca, z którego Abraham z Izaakiem ruszą na wzgórze, zostawia sługi i zapewnia ich: „ja zaś i chłopiec pójdziemy tam, aby oddać pokłon Bogu, a potem wrócimy do was” – mógł ukryć przed sługami swój zamiar, ale i sam mógł nadal mieć nadzieję, że nie będzie tej ofiary z syna składał i razem z nim wróci. Narrator tego opowiadania spowalnia całą akcję, buduje napięcie, skupiając się na każdym geście Abrahama, który w końcu podnosi rękę z nożem na syna – wtedy Bóg, głosem anioła, zatrzymuje go, jednoznacznie wskazując, że nie chciał ofiary z syna. Choć narrator mówi, że Abraham podniósł rękę, aby zabić syna, to anioł zawołał do niego: nic mu nie rób. Można więc pytać dalej: czy Abraham w ogóle miał zamiar zabić Izaaka? A może chciał go tylko zranić, aby uniemożliwić złożenie z niego ofiary? Ostatecznie składa ofiarę z barana, symbolizującego ojcostwo.

Artur Nowak komentuje to opowiadanie tak: „Jako prawnik i praktykujący adwokat nie mam żadnych wątpliwości, że – pomijając oczywisty wymiar karny tej sceny – taki model wychowawczy musiałby się spotkać z pozbawieniem władzy rodzicielskiej, bo to jest po prostu okrucieństwo. Powiem więcej, gdyby jacyś biegli wzięli ten kazus na warsztat, to ja bym się nie zdziwił, gdyby orzekli, że ktoś tu ma poważny problem zdrowotny”. Anachronizmem jest mierzyć poprzednie pokolenia współczesnymi standardami. Aby dojść tu, gdzie jesteśmy, poprzednie pokolenia potrzebowały przejść między innymi przez takie historie jak ta z Abrahamem i Izaakiem, która jest opowiadaniem przełomowym w tamtym czasie. Oto jednoznacznie wyrażony jest zakaz ofiar z dzieci. Bóg, jak się okazuje, takich ofiar nie żąda. Paradoksalnie, to opowiadanie o odkrywaniu Boga, który okazuje się nie być wcale okrutnym. Co w takim razie z ofiarą Jezusa na krzyżu?

Świadomość Jezusa

Wbrew temu, co mówi Ziemiński, to nie Bóg zabija Jezusa, ale ludzie. Choć tradycja widzi zapowiedź ofiary krzyżowej w niedoszłej ofierze Izaaka, to nie można zapomnieć, że nie jest to porównanie jeden do jeden. Jezus, w przeciwieństwie do Izaaka, jest dorosłym, samodzielnie myślącym, wolnym człowiekiem, zdającym sobie sprawę, jakie konsekwencje może

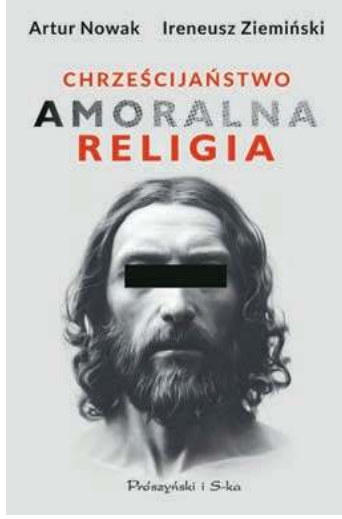

Artur Nowak, Ireneusz Ziemiński
CHRZEŚCIJAŃSTWO. AMORALNA RELIGIA
Prószyński i S-ka 2023

wywołać głoszenie Królestwa Bożego pod rzymską okupacją i publiczne wskazywanie siebie jako oczekiwanego mesjasza. Podobnie jak Abraham, również Jezus jest poddawany próbie, ale polega ona na czym innym – czy pozostanie do końca wierny swojej misji, nawet jeśli miałaby się zakończyć tak jak misja Jana Chrzciciela, czyli skazaniem na śmierć.

Czy Bóg żąda takiej ofiary od Jezusa? A może nie było innego wyjścia? Czy jest tyranem, ponieważ pozwala zabić własnego syna? Kim jest zatem wtedy, kiedy wskrzesza Go z martwych? Może tak jak przy historii Abrahama i Izaaka, gdzie dochodzi do jasnego powiedzenia: dość ofiar z dzieci – tak przy ofierze na krzyżu mamy jasny sygnał od Boga: żadnych ofiar? Może tak należy rozumieć prośbę modlitwy, której nauczył nas Jezus: „nie poddawaj nas próbie” (powszechnie tłumaczonej jako: „nie wódź nas na pokuszenie”), ponieważ Jezus wziął ją w całości na siebie?

Pod tezę

Szybkie i chwytliwe puenty w rozmowie Artura Nowaka i prof. Ireneusza Ziemińskiego nie są wynikiem uczciwej akademickiej analizy. Tezy stawiane w książce są oparte na powierzchownej lekturze biblijnej i dopasowane do podjętego z góry założenia, że genezą zła w chrześcijaństwie jest okrutne nauczanie Jezusa. Ziemiński nie tyle broni Boga przed przypisywanymi mu nieprawościami, ile wzmacnia taki Jego obraz.

Jednak budowany tam obraz Boga okrutnego nie klei się w całość. Wystarczy wrzucić pytanie o wolność człowieka i argumentacja autorów w wielu miejscach zaczyna się sypać. Czy gdyby Bóg ingerował w złe decyzje ludzi, czy to nie wtedy okazałby się tyranem? Gdyby zareagował na śmierć syna podczas jego krzyżowania, czy to nie wtedy okazałby brak szacunku do ludzkiej wolności – nawet jeśli wybiera ona zło? Reakcją Boga na zabicie syna było wskrzeszenie go z martwych, o czym w tej rozmowie wiele nie usłyszymy. Skoro istnienie zła wśród chrześcijan ma swoje źródła w nauczaniu Jezusa, to co jest zatem źródłem dziejącego się wśród chrześcijan dobra?

Mam obawy, że katoliccy czytelnicy książki nie zostali wyposażeni w szkolnym procesie katechetycznym w narzędzia, które pozwoliłyby im zmierzyć się z głoszonymi w niej wątpliwymi tezami. Pomimo wielu lat badań nad biblijnymi tekstami w świecie akademickim, wiedza ta ciągle nie przebija się do szerszej świadomości wspólnoty rzymskokatolickiej w Polsce. Odnoszę wręcz wrażenie, że to, czego uczy się dziś na studiach biblijnych, jest widziane jako zagrożenie dla pobożnej wiary ludzi, którzy przykładowo mogą przyjąć ze zgorszeniem fakt, że wiele ze słów Jezusa w tekstach ewangelii nie było przez Niego wypowiedzianych i są autorstwa pierwszej wspólnoty chrześcijan. Ilu współczesnych katolików i katoliczek w Polsce było zaznajomionych na religii w szkole z krytyką tekstu biblijnego, czyli z takim czytaniem Biblii, które obejmuje analizę, ocenę i interpretację tekstu na poziomie literackim?

Choć do straconych lat edukacji katechetycznej nie da się wrócić, to jednak można dziś samemu szukać dobrej literatury biblijnej. Na rynku polskim wartą polecenia książką jest „Jezus z Nazaretu. Czego chciał i kim był” Gerharda Lohfinka, rzetelnego egzegety biblijnego. Między innymi tam znajdziemy szersze omówienie przedstawionej w artykule miłości nieprzyjaciół. Klasyczną propozycją jest również twórczość nieżyjącej już Anny Świderkówny, współcześnie natomiast na portalu YouTube kompetentnie przygotowane komentarze nagrywa m.in. Marcin Majewski. To oczywiście tylko kilka propozycji, które zdecydowanie bardziej zasługują na uwagę czytelników niż omawiana tu książka.

© PAWEŁ RAKOWSKI SJ

Finansowy bat na Kościół

MARCIN CHODUŃ

Świeccy dysponujący funduszami z podatku kościelnego w szwajcarskim kantonie Lucerny zagrozili biskupowi, że wstrzymają połowę pieniędzy, jeśli kuria nie podejmie dochodzenia w sprawie nadużyć seksualnych wśród duchownych.

Reprezentujący świeckie struktury Synod Rzymskokatolickiego Kościoła Regionalnego Kantonu Lucerna 8 listopada przyjął uchwałę, w której żąda od biskupa Bazylei (Lucerna należy do diecezji bazylejskiej) zorganizowania niezależnego dochodzenia przez pozakościelny organ; utworzenia poza strukturami kościelnymi niezależnego biura rzecznika praw obywatelskich, do którego ofiary będą mogły zgłaszać swoje przypadki; zaprzestania niszczenia akt księży oskarżonych o przestępstwa; doprowadzenia do otwarcia archiwów nuncjatury w Bernie oraz porzucenia „antyżyciowej i homofobicznej moralności seksualnej" (chodzi o to, by prywatne związki pracowników kościelnych nie miały wpływ na ich zatrudnienie). Synod powoła komisję, która będzie monitorować działania biskupa, zobowiązując go do składania jej dwa razy w roku sprawozdań. W przypadku niewypełnienia żądań, część pieniędzy z podatku kościelnego zostanie w 2024 r. wstrzymana.

Jak to możliwe, że świeccy w Szwajcarii dysponują finansowym „biczem" na biskupów?

Alpejska republika jest zsekularyzowana, ale religia jest w niej zdominowana przez państwo, które uznaje jedynie świeckie formy organizacji Kościoła. Owe twory instytucjonalne są tworzone przez państwo i zorganizowane zgodnie z jego demokratycznymi zasadami. Zarządzają one dochodami z podatków pobieranych od wiernych. – Konferencja Episkopatu Szwajcarii (SBK), która jest odpowiedzialna za stronę duszpasterską, i świecka Centralna Konferencja Rzymskokatolicka (RKZ), która opiekuje się kościelnymi finansami, ściśle ze sobą kooperują – objaśnia Nicole Büchel, rzeczniczka diecezji Chur. – Jako katolicy uważamy jednak, że władzę nad Kościołem w Szwajcarii sprawuje zasadniczo przewodniczący Konferencji Episkopatu Szwajcarii, ponieważ tak zwane Kościoły kantonalne i ich struktury nie są organami ani instytucjami uznawanymi przez Watykan.

Mimo wszystko Lucerna właśnie pokazała, że świeccy w Kościele Szwajcarii w przeciwieństwie do katolików z innych Kościołów lokalnych dysponują sporą siłą nacisku na hierarchię.

Wierzchołek góry lodowej

Wszystko zaczęło się od pilotażowego projektu Wydziału Historii Uniwersytetu w Zurychu, którego wyniki zostały opublikowane 12 września tego roku. Było to pierwsze badanie przypadków nadużyć seksualnych w szwajcarskim Kościele od połowy XX. Obejmowało ono cały kraj: uwzględniono w nim nie tylko diecezje i zakony we wszystkich regionach językowych Szwajcarii, ale również świeckie struktury gmin kościelnych (*Kirchgemeinde*) oraz ich związki w formie Kościołów kantonalnych (*Kantonalkirchen*). Zleceniodawcami raportu zuryskiego uniwersytetu, opracowanego pod kierownictwem profesorek Moniki Dommann i Marietty Meier, były właśnie Konferencja Episkopatu Szwajcarii (SBK) oraz Centralna Konferencja Rzymskokatolicka (RKZ) wraz z Konferencją Zakonów i Innych Wspólnot Życia Konsekrowanego (KOVOS).

Obraz, który się z niego wyłania, nie pozostawia złudzeń: Szwajcaria nie jest niestety wyjątkiem od niechlubnej reguły. Również w kraju Helwetów nadużycia seksualne były ignorowane i tuszowane przez dziesięciolecia, a interesy Kościoła i jego dostojników zostały postawione ponad dobrem i ochroną wiernych.

Jedną z najbardziej poruszających historii jest przypadek księdza G.A. Ten szwajcarski duchowny został w latach 60. minionego wieku dwukrotnie skazany na karę więzienia za wielokrotne wykorzystywanie seksualne dzieci. Jak reagowali przełożeni? Najzwyczajniej w świecie przenosili go z parafii do parafii, gdzie oczywiście nadal miał kontakt z dziećmi. Więcej: niedługo po wyjściu z więzienia G.A. został proboszczem i w tym charakterze pracował do końca życia, czyli jeszcze przez prawie czterdzieści lat, w różnych szwajcarskich parafiach.

Okazuje się jednak, że przypadek księdza G.A. nie jest wyjątkiem. W trakcie kwerendy diecezjalnych archiwów zuryscy badacze zidentyfikowali 1002 przypadki nadużyć seksualnych (wiele z nich trwało latami i miało systematyczny charakter), 510 oskarżonych i 921 ofiar. W 39 proc. przypadków ofiarami były kobiety, a w prawie 56 proc. mężczyźni. Akty wykorzystywania seksualnego w 74 proc. dotyczyły nieletnich (począwszy od niemowląt, na młodzieży w wieku dojrzewania skończywszy), a 14 proc. stanowiły ofiary dorosłe. W 12 proc. nie można było jednoznacznie określić wieku poszkodowanych.

Jeśli chodzi o miejsca, w których dochodziło do nadużyć, to zespół badawczy wymienia w raporcie trzy „przestrzenie społeczne". Największa liczba przypadków

MASSIMIGLIANO MIGLIORATO / EAST NEWS

Przewodniczący szwajcarskiego episkopatu, biskup Felix Gmür podczas mszy za rekrutów Szwajcarskiej Gwardii Królewskiej. Watykan, 6 maja 2017 r.

– ponad 50 proc. – miała miejsce w ramach pracy duszpasterskiej (spowiedź, opieka nad ministrantami, nauczanie religii oraz działalność księży w dziecięcych i młodzieżowych stowarzyszeniach). Kolejnych 30 proc. ocenionych czynów zostało popełnionych w katolickich domach, szkołach, internatach i podobnych instytucjach. Trzecim obszarem były zakony i nowe wspólnoty oraz ruchy duchowe (nieco poniżej 2 proc. ocenianych przypadków).

Należy jednak pamiętać, że w statystykach kościelnych rejestrowane były tylko te przypadki, które zostały zgłoszone bezpośrednio władzom kościelnym lub państwowym. Choć i od tej zasady były wyjątki – wedle badaczek istnieją również częściowe dowody na to, że raporty osób poszkodowanych nie były konsekwentnie rejestrowane na piśmie i że nie wszystkie raporty trafiły do archiwów. Co więcej, wiele przypadków nie zostało zapewne w ogóle zgłoszonych – taka jest bowiem natura tego rodzaju przestępstw i ich wpływu na ofiary. Diecezjalne archiwa są zatem pełne luk – badaczki z zuryskiego uniwersytetu uważają dlatego zgodnie, że udokumentowane zdarzenia to jedynie wierzchołek góry lodowej.

I wskazują znowu na sprawę księdza G.A. Znalezione akta sądowe, które dokumentują seksualne wykorzystanie 67 dzieci, odnoszą się tylko do okresu sześciu lat jego duszpasterskiej posługi w latach 60. XX wieku. A przecież duchowny ten pracował w różnych szwajcarskich parafiach jeszcze przez czterdzieści lat. „To, co wydarzyło się w ciągu tych lat i czy miały tam miejsce przypadki wykorzystywania seksualnego, pozostaje niejasne w świetle dostępnych źródeł” – czytamy w raporcie.

Nietykalni

Taki stan rzeczy ma zapewne związek ze znaczącą pozycją, jaką Kościół katolicki do niedawna miał w społeczeństwie szwajcarskim. Jeszcze w latach 70. XX wieku księża jako „przedstawiciele Boga” byli dla wielu wierzących nietykalni – nawet w przypadku poważnych przestępstw. Często ludzie z najbliższego otoczenia wywierali presję na ofiary, aby nie wyjawiały one doznanych cierpień. W jednej z parafii w Valais w latach 70. 27 dzieci zeznawało przeciwko księdzu R.G., który przyznał się do popełnionych czynów. Jednak tylko dwie matki były skłonne wystąpić publicznie jako oskarżycielki posiłkowe. W wiosce doszło ostatecznie na tym tle do konfliktu. Większość parafian wywierała naciski na matki i ich dzieci, aby wycofały swoje oskarżenia.

Kolejną trudnością w ustaleniu faktycznej skali nadużyć seksualnych w szwajcarskim Kościele jest fakt, że prawie wszystkie diecezje – z wyjątkiem Bazylei – zniszczyły swoje dokumenty. W większości przypadków zrobiły to zresztą zgodnie z prawem kanonicznym. Jego zapisy (Kanon 489) zawierają bowiem wymóg, że akta personalne księży oskarżonych o „sprawy karne w postępowaniu moralnym” mają zostać zniszczone po dziesięciu latach.

Gotowość szwajcarskich hierarchów do trzymania się litery prawa była jednak zdecydowanie wybiórcza. Z raportu wynika, że w przeszłości unikali oni wszczęcia postępowań karnych wobec sprawców nadużyć, co stanowiło świadome naruszenie zapisów prawnych – wymóg podjęcia takich kroków został bowiem zapisany w prawie kanonicznym w 1917 r. Sposób myślenia szwajcarskich biskupów oddaje list, który jeden z bazylejskich kanoników napisał w 1968 r. do księdza oskarżonego o molestowanie seksualne: „Sprawa musiałaby zostać zgłoszona do Rzymu zgodnie z prawem kanonicznym. Zwykle tego nie robimy, aby księża mogli być łatwiej wykorzystywani po odbyciu kary”.

Klimat ukrywania

Zasadnicza zmiana w tym podejściu dokonała się dopiero na początku XXI wieku. Powodem były nie tylko coraz liczniejsze skandale związane z postępowaniem Kościoła w sprawach nadużyć, ale przede wszystkim nowe prawo ustanowione przez Jana Pawła II. W wydanym w 2001 r. liście apostolskim „Sacramentorum sanctitatis tutela” papież zarządził jurysdykcję Stolicy Apostolskiej nad wszystkimi przypadkami wykorzystania seksualnego małoletnich i nałożył na krajowe episkopaty obowiązek ich zgłaszania do Kongregacji Nauki Wiary.

W nawiązaniu do tych nowych przepisów szwajcarscy biskupi zadeklarowali zamiar przeciwdziałania „klimatowi ukrywania”. W 2002 r. wydali pierwsze ogólnokrajowe wytyczne dotyczące zapobiegania i postępowania w przypadkach nadużyć seksualnych. Jednocześnie powołali komitet ekspertów, który miał stanowić ciało doradcze oraz sprawować funkcje kontrolne. W kolejnych latach szwajcarskie diecezje powołały ponadto do życia niezależne komisje, do których mogą się zwrócić osoby poszkodowane. W 2016 r. został też utworzony fundusz zadośćuczynienia za przypadki nadużyć, które uległy przedawnieniu. ↦

↦ Do tej pory poszkodowanym wypłacono około dwóch milionów franków.

Pomimo tych działań nie brakuje opinii, że w dochodzeniach prowadzonych w sprawach nadużyć seksualnych pojawiały się błędy. Również wśród szwajcarskich hierarchów. Przewodniczący Konferencji Episkopatu Szwajcarii, biskup Bazylei Felix Gmür, wyznał niedawno, że w trakcie postępowań zbyt mocno skupiał się na ich prawidłowym prowadzeniu pod względem prawnym, w znacznym stopniu tracąc z oczu perspektywę ofiary.

Watykan interweniuje

Sytuacją w szwajcarskim Kościele zaniepokoił się papież Franciszek. Konferencja Biskupów Szwajcarii potwierdziła niedawno, że Stolica Apostolska wszczęła w tym roku dochodzenia przeciwko sześciu szwajcarskim biskupom (czterej nadal pełnią swoje funkcje, a dwóch przeszło już na emeryturę). Są oskarżeni o tuszowanie nadużyć, a wobec jednego z nich prowadzone jest także wstępne dochodzenie w celu ustalenia, czy on sam dopuścił się napaści seksualnej. Chodzi o Jeana Césara Scarcellę, członka Konferencji Episkopatu Szwajcarii, opata klasztoru Augustianów Kanoników Regularnych w Saint-Maurice, najstarszego opactwa zachodniego świata. Na razie nie podano, o jakie dokładnie czyny Scarcella jest podejrzany, jednak w szwajcarskiej prasie pojawiają się informacje, że chodzi o molestowanie nastolatka. Do czasu zakończenia śledztwa duchowny zawiesił urząd.

Ogólnokościelny sąd

Jedną z reform podjętych przez szwajcarskich biskupów ma być utworzenie ogólnokościelnego sądu karnego i dyscyplinarnego. Prawo kanoniczne nie przewiduje takiej instytucji – władza sądzenia leży całkowicie w gestii biskupów diecezjalnych. Taki sąd stałby niejako ponad nimi. Dlatego episkopat szwajcarski musiał zwrócić się do Watykanu o pozwolenie. 14 i 15 listopada przedstawiciele episkopatu przeprowadzili rozmowy z Franciszkiem i jego współpracownikami na temat ustanowienia krajowego sądu karnego i dyscyplinarnego, zabezpieczenia akt związanych z przypadkami nadużyć, a także dostępu do archiwów kościelnych. Uzyskano wstępną zgodę.

Jak taki sąd miałby wyglądać? – W naszej ocenie sąd kościelny powinien podejmować działania dopiero po zakończeniu postępowania cywilnego, ponieważ możliwości dochodzeniowe i dowodowe świeckich organów dochodzeniowych i prokuratorskich są znacznie bardziej wydajne – tłumaczy Nicole Büchel.

Wzorem ma być Francja – w kraju tym od stycznia tego roku działa pierwszy ogólnokrajowy *tribunal canonique*, czyli kanoniczny sąd karny. Zasiada w nim trzynastu sędziów – ośmiu księży i pięcioro świeckich, w tym cztery kobiety. Zasady jego funkcjonowania zostały ściśle ustalone ze Stolicą Apostolską – trybunał ów zajmuje się wszelkiego rodzaju naruszeniami prawa kanonicznego. Wyjątek stanowią przestępstwa seksualne przeciwko nieletnim, które nadal pozostają w gestii watykańskiej Dykasterii Nauki Wiary. Watykan zastrzegł sobie również prawo do składania skarg kanonicznych przeciwko biskupom. Stolica Apostolska może ponadto odesłać sprawy karne do francuskiego sądu. Sądem odwoławczym dla wyroków francuskiego trybunału jest Watykański Sąd Apelacyjny, czyli Rota Rzymska.

Ustanowienie kanonicznego sądu karnego dla całej Francji zostało zalecone przez Komisję Sauvé, niezależny od Kościoła organ, który w październiku 2021 r. opublikował raport na temat przypadków nadużyć w katolickim Kościele we Francji.

Dalsze badania

Praca zespołu badawczego uniwersytetu w Zurychu ma być w najbliższych latach kontynuowana. Badacze chcą dotrzeć do dokumentów z katolickich instytucji opiekuńczych, które w dotychczasowym badaniu nie zostały uwzględnione. To samo dotyczy zgromadzeń zakonnych oraz innych wspólnot i ruchów katolickich – ich archiwa zostały udostępnione dotąd jedynie w niewielkim zakresie. Można się zatem spodziewać, że liczba ujawnionych nadużyć seksualnych w Szwajcarii wkrótce wzrośnie. A kościelny sąd karny i dyscyplinarny, który niebawem zostanie powołany, będzie mieć zapewne dużo pracy.

© MARCIN CHODUŃ

Współpraca: ARTUR SPORNIAK

REKLAMA

Uciekinierzy – ostatnia powieść Ulfa Starka!

Dziadek chce uciec ze szpitala, by po raz ostatni odwiedzić swój dom na wyspie, gdzie spędził wiele lat życia. Ten szalony pomysł pomaga mu zrealizować jego wnuczek. Czego mały Gottfrid dowie się o swoim dziadku Gottfridzie podczas tej ryzykownej eskapady?

Opowieść o sentymentalnej wyprawie napisana przez mistrzowsko żonglującego humorem i powagą Ulfa Starka, a zilustrowana przez Kitty Crowther, belgijską laureatkę nagrody ALMA (Astrid Lindgren Memorial Award).

dziadek i wnuczek

wspólna wyprawa

humor i powaga

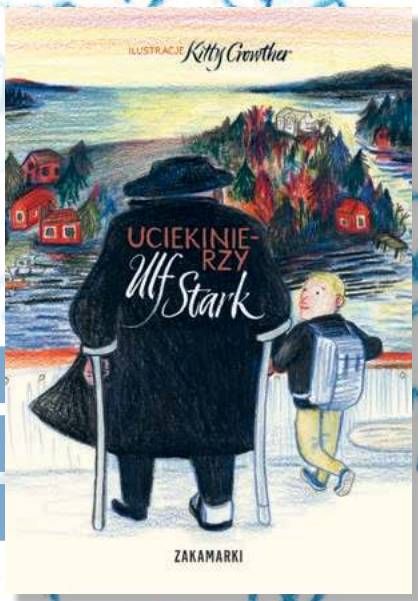

zakamarki.pl

Bardzo dobre ryzyko

JULIA OSĘKA, UCZESTNICZKA SYNODU O SYNODALNOŚCI:

Fascynujące jest śledzenie przemian Kościoła w jego tożsamości i tego, jaki wpływ mają na to kobiety.

ARCHIWUM PRYWATNE

JULIA OSĘKA (22 lata) pochodzi z diecezji siedleckiej. Studentka fizyki i teologii na jezuickim Uniwersytecie św. Józefa w Filadelfii. Jest jedyną stypendystką fizyki w prestiżowym programie im. Johna P. McNulty'ego na tym uniwersytecie, w ramach którego przyznawane są stypendia kobietom w dziedzinach STEM. Delegatka Ameryki Północnej na Synod o synodalności.

PAULINA MODEL: Jak to się stało, że 22-letnia Julka, która jest przyszłą fizyczką i teolożką, została matką synodalną?

JULIA OSĘKA: Wszystko zaczęło się od tego, że przesłuchałam na jezuickiej stronie AMDG podkast zatytułowany „Synodalność zaczyna się od kawy" z siostrą Nathalie Becquart, która jest podsekretarzem Synodu. Akurat sprzątałam mieszkanie i ujęło mnie to, że siostra mówiła o synodalności jako o czymś do zrobienia dla każdego – dla mnie też. Dotknęło mnie to także na poziomie duchowym – miałam poczucie, że to jest nam potrzebne w Kościele. Potrzebuję kaw z ludźmi i przestrzeni, w której mogę swobodnie podzielić się moim doświadczeniem Kościoła, porozmawiać i budować Kościół w atmosferze „teraz", „dzisiaj", a nie czekać, aż będę miała wszystkie prawa i przywileje.

Później podczas konsultacji synodalnych powstał SCHEAP (Synodalność w wyższym szkolnictwie katolickim w archidiecezji filadelfijskiej) – forum spotkań ze studentami z różnych uniwersytetów i z naszym arcybiskupem Nelsonem Perezem. Podzieliliśmy się tam na małe grupy i rozmawialiśmy. Wspomniałam o tych kawach synodalnych i potem dostałam maila od naszego arcybiskupa, który mnie zaprosił właśnie na kawę. Na początku mojego drugiego roku studiów dostałam maila, że arcybiskup Perez chciałby, żebym była reprezentantką archidiecezji filadelfijskiej na etapie kontynentalnym Ameryki Północnej. Dostawałam kolejne maile z Konferencji Episkopatu Stanów Zjednoczonych, np. czy mogłabym przejrzeć draft syntezy kontynentalnej i podesłać moje komentarze. Na koniec przyszedł mail, że papież Franciszek chciałby, żebym była na synodzie i mnie zaprasza.

Jakie doświadczenia w Kościele były szczególnie ważne dla Ciebie do przekazania przy okrągłych synodalnych stołach?

To, o czym młodzi ludzie rozmawiają, gdy znajdują przestrzeń otwartą na wszystkie doświadczenia, a nie tylko te „katolicko-poprawne". Jednym z takich bliskich mi tematów są osoby LGBT+ w Kościele. Szczególnie osoby młode, bo z nimi się przyjaźnię. To, w jaki sposób Kościół ich przyjmuje, lub też wyklucza ze społeczności, np. poprzez język, który jest używany chociażby w Katechizmie.

Była to także kwestia kobiet w Kościele. W mojej społeczności bardzo żywe jest pytanie o diakonat kobiet. Wyjechałam z Synodu z szerszą perspektywą, w której można pytać o włączenie kobiet do święceń na każdym poziomie: dlaczego tak nie jest? Dlaczego pytamy tylko o diakonat kobiet, w sytuacji gdy mamy wspólną i równą godność chrztu? Dlaczego funkcjonuje w Kościele taka nierówność?

Kościół przenikają trzy poważne struktury: patriarchat, klerykalizm i hierarchiczność. Patriarchat jest zły, klerykalizm jest straszny i papież Franciszek też ↦

↦ jasno o tym mówi, ale hierarchia w Kościele nie jest czymś w sposób oczywisty złym. Przemyślenie tych spraw może przynieść dobre rzeczy.

Wróciłaś z odpowiedzią, czemu wciąż funkcjonujemy w strukturach, z których przynajmniej część jest ograniczająca?

Nie, nie znalazłam na to odpowiedzi. Nie wiem, dlaczego funkcjonujemy w takich strukturach, ale wiem, że powinniśmy coś z tym zrobić. Myślę też, że nie musimy wiedzieć, dlaczego tak jest, żeby to przerwać.

W Synodzie uczestniczyło tylko 70 osób niebędących biskupami, a jedynie 15 proc. uczestniczek to kobiety. Czy taki rozkład sił pozwalał na adekwatny namysł nad Kościołem?

Mówiąc krótko – nie. Myślę, że gdyby biskupi, którzy uczestniczyli w rzymskim zgromadzeniu, byli aktywnymi uczestnikami etapów lokalnych i kontynentalnych, to byłoby mniej problemów. Ponieważ spotkania lokalne były dużo bardziej inkluzywne, więc gdyby ci biskupi rzeczywiście tam byli głosem ludzi ze swojej diecezji, byłoby inaczej. Niestety, wielu z nich uczyło się np. rozmowy w Duchu Świętym dopiero w Auli Pawła VI, co dużo też mówi o tym, jak bardzo byli niezaangażowani na wcześniejszych etapach. Więc skład tego Synodu nieadekwatnie oddawał to, czym Kościół żyje teraz. Był np. tylko jeden stały diakon. Ale to się będzie zmieniać, co napawa mnie nadzieją.

Gdy siedziałaś przy jednym z okrągłych stołów w Auli Pawła VI z innymi kobietami i mężczyznami różnych stanów, czułaś się tak samo wysłuchana jak np. biskupi czy starsze od Ciebie osoby?

Tak, czułam się tak samo wysłuchana. Nie było żadnego momentu, w którym czułam, by moje doświadczenie, czy to, czym się dzielę, było umniejszone. Ten format spotkania i metodologia Synodu rzeczywiście pozwoliły na to, żebyśmy siebie wysłuchali na równych zasadach. Rozkład małych grup był taki, że w każdej z nich uczestniczyła przynajmniej jedna kobieta, co zmieniało w ogóle atmosferę konwersacji.

Zostańmy przy kobietach w takim razie. Czy miałaś wrażenie, że Wasza obecność wpływa na obradujących?

Jestem przekonana, że obecność kobiet na zgromadzeniu synodalnym miała duży wpływ na dynamikę spotkania. I mówię to dlatego, że słyszałam to od różnych ludzi, także od mężczyzn. Siedziałam przy stole, którego tematem była rola kobiet w Kościele – także przy nim kobiety były mniejszością. A jednak usłyszałam tam głosy mężczyzn: „Jest mi wstyd teraz rozmawiać o kobietach, bo w przeszłości rozmawiałem o kobietach bez kobiet. Jest mi wstyd, że Kościół tak postępował. A teraz siedzę tutaj, widzę was przy tym stole i chcę współtworzyć z wami Kościół. Wreszcie kobiety też są tutaj!". Po takich reakcjach mogę powiedzieć, że obecność kobiet miała bardzo duży wpływ na sposób, w jaki rozmawialiśmy o nich. Miało to też wpływ na to, jak wygląda końcowa synteza.

Stereotypem byłoby stwierdzenie, że matki synodalne wniosły wrażliwość i relacyjność, a ojcowie decyzyjność i jasność myślenia. Więc skoro nie tędy trop, to co wniosła Wasza obecność?

Doświadczenie kobiet, którego mężczyźni nie mają. To ważne, bo papież Franciszek lubi mówić o wrażliwości kobiety i o tym, że Kościół jest kobietą. Szczerze mówiąc, nie jestem wielką fanką takiego języka. Za to jestem fanką spotykania się ludzi z różną tożsamością: kardynała ze studentką, siostry zakonnej z mężczyzną homoseksualnym. Takie spotkania są wzbogacające, o czym m.in. mówił dominikanin Timothy Radcliffe na rekolekcjach przed Synodem. O tym, że nasza tożsamość zmienia się pod wpływem relacji, którą nawiązujemy z drugim człowiekiem. To też dla mnie jest niesamowicie ciekawa perspektywa patrzenia na Kościół: jaka jest tożsamość Kościoła dzisiaj? Jakie relacje mają wpływ na tożsamość naszego Kościoła? I jak nowe relacje – chociażby zaproszenie kobiet na Synod Biskupów – zmieniają tożsamość Kościoła? Myślę, że w tej chwili nie pora, by mówić o większej wrażliwości, mistycyzmie czy jakiś innych jeszcze przymiotnikach, które kobiety wnoszą do Ko-

REKLAMA x2

NAGRODA ZNAKU I HESTII IM. KS. JÓZEFA TISCHNERA

ZAPRASZAMY DO UDZIAŁU W GALI

30 LISTOPADA 2023 O GODZ. 18.00
W NOWOHUCKIM CENTRUM KULTURY
AL. JANA PAWŁA II 232, KRAKÓW

Bezpłatne wejściówki do odbioru:
» w kasach NCK
» w recepcji Radia Kraków
» oraz do pobrania na stronie: kbfbilety.krakow.pl

PROWADZENIE:
MATEUSZ JANICKI
WYKŁAD TISCHNEROWSKI WYGŁOSI:
TOMASZ STAWISZYŃSKI

OPRAWA ARTYSTYCZNA:
WOJCIECH KLAG,
JAKUB OLMA,
DAWID TOŚ
(PROF. LEON OLEJNICZAK POSM II ST. W KRAKOWIE)

ORGANIZATORZY NAGRODY: Fundacja Znak znak
WSPÓŁORGANIZATOR GALI: nowohuckie centrum kultury
PARTNERZY: Radio Kraków Tygodnik Powszechny znak księgarnia kbf: Kraków Miasto Literatury UNESCO Compare Bookstore

ścioła. Fascynujące natomiast jest śledzenie przemian Kościoła w jego tożsamości, i tego, jaki wpływ na to mają kobiety oraz ich relacje z innymi osobami w Kościele.

Miałaś jakieś szczególnie ożywcze albo ciekawe spotkania podczas Synodu?

Miałam same ożywcze i ciekawe spotkania! Szczerze mówiąc, większość była bardzo osobista, dlatego trudno o nich opowiadać... ale dobrze, podam przykład. Jedna z małych grup bardzo mnie zbudowała. Uczestniczyło w niej dwóch niemieckich biskupów: Stefan Oster i Franz-Josef Overbeck – pierwszy jest bardzo konserwatywny, drugi bardzo postępowy. Niesamowite wrażenie na mnie robiło to, jak oni odnosili się do siebie – w jak przyjacielski, ciepły, wręcz braterski sposób! Uradowana byłam też tym, jak rozmawiali ze mną. Choć od razu przyznam, że moje poglądy różnią się od tych, które ma biskup Oster, siedział on obok mnie i to był najlepszy sąsiad, którego miałam podczas całego zgromadzenia!

Wspomniałaś o tym jednym diakonie stałym – kogo jeszcze zabrakło przy okrągłych stołach?

Szerokim echem odbiło się w Kościele amerykańskim to, że spośród wszystkich uczestników Synodu nikt otwarcie nie mówił o sobie, że należy do osób LGBT+. Niektóre media twierdziły, że nie było ich reprezentacji. Jednak ona była. Fakt, że ktoś otwarcie się nie określił, nie znaczy, że nie było tam takich osób.

Brakowało więcej ludzi młodych. Czasami czułam, że mam tak dużo do przekazania moich doświadczeń, a o podobnych mówiły jeszcze może ze dwie inne osoby w całej auli. W Synodzie uczestniczyło tylko dwoje studentów: Wyatt (19 lat) jest ze Stanów Zjednoczonych, i ja, Polka z urodzenia i studentka międzynarodowa w USA. On był najmłodszym uczestnikiem, a ja najmłodszą uczestniczką Synodu.

Z Ameryki Północnej zabrakło przy okrągłych stołach rdzennych mieszkańców. Były jednak osoby rdzenne z Australii.

Nie było także sióstr klauzurowych. Myślę, że takie kobiety też wniosłyby ciekawą perspektywę synodalności. Czytałam, że siostry klauzurowe wspierają Synod w modlitwie. Super, ale mogłyby też być zaproszone do uczestniczenia w Synodzie tak aktywnie, jak inni ludzie.

Skoro ten Synod był inny niż wcześniejsze, czy jego perspektywa też jest inna?

Taką mam nadzieję. Nie wiem, gdzie on nas zaprowadzi. Nie wiem też, jaka powstanie adhortacja. Ale z mojej perspektywy owoce tego Synodu nie ograniczają się tylko do tego, co papież Franciszek opublikuje. One są już widoczne choćby w tym, że w Synod zaangażowało się tak dużo lokalnych wspólnot. Myślę, że żaden inny synod czegoś takiego nie zrobił.

Ojciec Radcliffe powiedział, że Kościół teraz jest w 11-miesięcznej ciąży. Nie jestem zachwycona tym sformułowaniem, ale zgadzam się z tym, co on dalej powiedział – że mamy teraz wrócić do naszych wspólnot i dzielić się doświadczeniem tego miesiąca przy okrągłych stołach i rozmowy w Duchu Świętym. Myślę, że to może przynieść dużo większe owoce niż dokumenty końcowe.

Czy to nie jest duże ryzyko – ludzie się zaangażowali, a może się okazać, że nic z ich wysiłku nie przełoży się na życie?

Z jednej strony myślę, że to duże ryzyko: być zawiedzionym. Ja właśnie tego teraz doświadczam, synteza końcowa jest dla mnie źródłem dużego zawodu. Chciałabym, żeby chociaż język tego dokumentu był inny.

Nie spodziewam się też, że w tym stuleciu doczekamy się kobiet biskupek. Ale myślę, że możemy doświadczyć za naszego życia przemiany tożsamości Kościoła, która będzie też od środka zmieniać sposób, w jaki Kościół się wyraża. Papież Franciszek powiedział: „Módlcie się, żebym zawsze miał siłę trwać w kryzysie" – bardzo sobie te słowa wzięłam do serca po tym miesiącu.

Tak, zaproszenie ludzi świeckich do tak wielkiej rzeczy jest bardzo ryzykowne. Ryzykujemy smutek i rozczarowanie, ale ryzykujemy też otwarcie się na spontaniczne działanie Ducha Świętego w nas jako ludziach Kościoła. I myślę, że to jest bardzo dobre ryzyko.

© Rozmawiała PAULINA MODEL

Jedna z najważniejszych książek z dziedziny duchowości, które napisano w języku polskim.

WIEŹ
WYDAWNICTWO.WIEZ.PL

Intrygująca przez swą szczerość, wnikająca głęboko i odpowiedzialna, bo budująca most ku drugiemu i drugiej, nie zaś wznosząca granice. Świadectwo wiary nie obronnej, lecz otwartej, zakorzenionej, ale nie ograniczającej, dojrzałej – lecz nie zaprzestającej poszukiwań.

WOJCIECH BONOWICZ

Smak Tygodnika

Paweł Bravo stałym autorem „Tygodnika Powszechnego” został w 2011 roku. Był m.in. kierownikiem działu krajowego, ale jego obecność na łamach i poza nimi przekracza tematyczne granice.

Bravo w „Tygodniku” to cotygodniowe felietony w rubryce **Smaki**, przepisy kulinarne z darmowego **newslettera Tygodnik Smaków** oraz wysyłane co dwa tygodnie autorskie newslettery premium z cyklu **„Paweł Bravo: jedzenie i wino”**, które otrzymują Patronki i Patroni Fundacji Tygodnika w serwisie Patronite.

Dziennikarskiego fachu uczył się u Andrzeja Woyciechowskiego w Radiu Zet, po czym po kilkuletniej przerwie na pracę w Fundacji Batorego powrócił do zawodu – najpierw jako redaktor tygodnika książkowego „Latarnik”, potem jako dziennikarz działu kultury „Gazety Wyborczej”. W latach 2001-2004 redaktor działu angielskiego w tygodniku „Forum”. W latach 2007-2011 zastępca redaktora dodatku „Plus Minus” w „Rzeczpospolitej”. Od lat zajmuje się też winem, jako dziennikarz i krytyk, a ostatnio także aktywnie w jednym z wine barów na krakowskim Kazimierzu.

Przypominamy to wszystko nie bez powodu. Z radością przyjęliśmy informację, że 14 października nasz autor odebrał Nagrodę im. Leopolda Staffa za książkę „Czekolada i kapuśniak”, na którą składają się teksty publikowanie w „Tygodniku”.

W wygłoszonej na cześć laureata laudacji Tessa Capponi-Borawska mówiła: „W kalejdoskopie wnikliwych obserwacji, wspomnień z nostalgiczną nutą i sugestywnych opisów, Paweł Bravo zabiera nas w świat drobnych przyjemności codziennego życia, wśród których jest kuchnia, ta prawdziwa, bez zjawisk mody czy trendów. Smaki, zapachy są tutaj autentyczne i bezpretensjonalne. (...) Potrzebujemy takich tekstów – czytelnych, ciekawych i, **powiedzmy sobie szczerze, smacznych**”.

TYGODNIK POWSZECHNY

CZEKOLADA I KAPUŚNIAK.
Felietony do czytania przy zagniataniu masy na ciasto albo karmelizowaniu cebuli. Kup nagrodzoną książkę:

TYGODNIK SMAKÓW.
Zapisz się na newsletter, aby odbierać cotygodniowe przepisy kulinarne Pawła Bravo

PAWEŁ BRAVO: JEDZENIE I WINO.
Zostań Patronem Fundacji Tygodnika w serwisie Patronite, by odbierać autorski newsletter premium

SMAKI.
Czytaj jedyne takie felietony, które są jednocześnie kulinarne, społeczne i filozoficzne. Co środę w „Tygodniku Powszechnym” i na **www.TygodnikPowszechny.pl**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. GRAŻYNA MAKARA

ZUZANNA

Radzik:
Moje zwiastowanie

Idę pokłonić się ulubionym obrazom. Przyszło mi do głowy, że to właśnie zrobię z wolnym popołudniem, że jeśli na coś mam ochotę, to właśnie na to. Tak sobie powiedziałam, jakby to była pielgrzymka. Jest jednak w galeriach i muzeach coś ze świątyń, czasem nawet więcej zadumy, medytacji, szarpnięcia duszy, niż można dostać w niejednym kościele. Zatem pielgrzymka do londyńskiej Galerii Narodowej, niech będzie.

Wchodzę i spaceruję bez ładu. Tu nie trzeba porządku, każdy kierunek jest dobry, każda sala ważna uwagi. Nagle zalewają mnie wspomnienia z upalnego lata, jednych z pierwszych studenckich wakacji jeszcze przed wejściem do Unii Europejskiej. Wyprawa autokarem, spanie na podłodze u kuzyna, sto funtów w kieszeni. Bułka i szpinak na kolacje, bo na tyle starczało. Czasem zupa z kurczaka w tureckim barze. Wszystko to, byle pojechać i łyknąć trochę świata. Bardziej gapić się na niego, niż go smakować. Ale zawsze.

W tej ekonomii taniego, studenckiego oswajania świata kluczowe okazały się wtedy państwowe muzea. Darmowe. Przez to można było do nich wracać, smakować powoli, niekoniecznie na raz, w zmęczeniu i wyciskając jak najwięcej, tylko bardziej kontemplacyjnie. National Gallery akurat była na mojej przesiadkowej trasie, więc czasem zatrzymywałam się tam dla zabicia czasu. Wchodziłam na godzinę do jednej sali albo jeszcze raz szłam do konkretnego obrazu. Luksusowo. I teraz wróciły te rożne pobyty i zachwyty, krążyłam po salach, jakbym łapała wspomnienia. Niemal spotykając siebie dwudziestoletnią, zapatrzoną w to, co wtedy najbardziej zwracało uwagę. Jak otwarty tunel czasu, nagły, niespodziewany kontakt z sobą sprzed lat.

Z tamtych zachwytów pamiętałam najbardziej jeden, nieplanowany. Przed „Zwiastowaniem" Fra Filippa Lippiego. Do dziś nie wiem, czemu, bo ostatecznie to zwiastowanie jest jak wszystkie inne: anioł, Maryja, gołąb w promieniu, łuki budynku, ogród, lilia i książka w dłoni. Co tu można wymyślić innego? A jednak pamiętam, że zatrzymałam się przed nim biegnąc do jakiegoś innego, ważnego obrazu i wsiąkłam. Musiała tu wtedy stać ławeczka, ale może nie pamiętam dokładnie. Wiem tylko, że kontemplowanie tego statycznego, spokojnego obrazu – z aniołem i Maryją zawstydzonymi nieco, ostrożnymi wobec siebie – stało się dla mnie zwrotem w religijnym stosunku do Marii z Nazaretu. Ta nieprzestraszona, spokojna, ale zdecydowana postać otworzyła jakąś nową ścieżkę w myśleniu o Matce Boskiej, która wcześniej wydawała mi się tak nużąco nijaka. Stojąc tam czy siedząc wyprowadziłam sobie z jej wyrazu twarzy swoją pierwszą feministyczną mariologię. Zrodziła ją zgoda na jej twarzy i to kluczowe „tak", które widzimy, choć go nie słychać.

Inspirowanie feministycznej teologii pewnie nie było planem Fra Filippo. Może potrzebowałam po prostu pretekstu. Choć pamiętam to tak, jakby obraz mnie wciągnął w nowe myślenie, może po prostu wcześniej się nad tym nie zastanawiałam. Może nawet nie widziałam zbyt wielu dobrych obrazów, które pokazywały tę scenę. Czy możliwe jest, żeby wprawa malarza, zachwyt nad subtelnym napięciem sceny poprowadził myśl?

Zatem wracam do galerii, chodząc znów niby bez celu, ale ostatecznie chcę znowu znaleźć się przed tym obrazem. Jego pocztówkowa kopia przeprowadzała się ze mną wielokrotnie, wyblakła od stania na regale, już nie pamiętam właściwych kolorów. Nie liczę na taki medytacyjno-teologiczny moment jak kiedyś. Pielgrzymuję, do początków własnego dorastania w teologizowaniu. Wracam do nieopierzonej studentki, która skończyła pierwszy rok teologii i stała tu z zachwytem i bez pojęcia o tylu sprawach.

Stoję przed obrazem, ale wiem, że moje teologiczne dziś szczęśliwie składa się nie tylko z samotnego rozmyślania, a z sieci teologiczno-feministycznych splotów z inspirującymi teologizującymi kobietami, z koleżeństwa i przyjaźni z nimi. Z kolacji, podczas której Ursula opowiada o swoich badaniach i dyscyplinuje mnie w rozeznawaniu własnych ścieżek. Z entuzjazmu, w jakim z nieodłącznym kieliszkiem prosecco z Tiną snujemy wspólne projekty, analizujemy politykę synodu i zwierzamy się sobie z tego, gdzie jest nasza wiara i jak nam na tych feministycznych marginesach katolicyzmu. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Podkastu Tygodnika Powszechnego słucha już ponad **80 000** osób.

Dziękujemy!

dołącz!

STRATEGICZNY WIRAŻ ARMENII

Przegrana wojna, trwający konflikt z Azerbejdżanem i zdrada ze strony Rosji: Ormianie stoją przed największym wyzwaniem od momentu odzyskania niepodległości.

WOJCIECH KONOŃCZUK Z ERYWANIA

Erywań może zaskoczyć. Różnobarwne miasto, wzniesione z tufu, kamienia wulkanicznego, tętni życiem i tryska światłami. Na każdym kroku restauracje i kawiarnie o wysmakowanym wystroju, których nagromadzenie sprawia, iż miasto miałoby spore szanse w rywalizacji o miano najbardziej rozrywkowej stolicy Kaukazu Południowego.

Na ulicach uwagę zwracają też wielkie reklamy znakomitych ormiańskich koniaków, które zazdrośni Francuzi kazali nazywać brandy. A także szybko rozwijającego się, ciekawego winiarstwa, w którym Europa może się niebawem rozsmakować. Niemiłym zdziwieniem są za to ceny, które nie odbiegają od tych zachodnioeuropejskich. Choć przecież armeński produkt krajowy brutto na głowę mieszkańca jest niemal czterokrotnie niższy od polskiego.

ZEMSTA WCIĄŻ ŻYWA | Zanurzając się w milionowym Erywaniu, nie sposób natomiast zauważyć – w każdym razie nie od razu – że dwa miesiące temu Ormianie ponieśli jedną z najbardziej bolesnych porażek w swej długiej historii. 19 września armia azerbejdżańska przeprowadziła niespodziewany atak na Górski Karabach, istniejące od ponad trzech dekad ormiańskie parapaństwo. Świat uznawał je *de iure* za część Azerbejdżanu, ale znajdowało się pod kontrolą miejscowych Ormian. Już po jednym dniu walk stało się jasne, że zwycięstwo Azerów będzie błyskawiczne, a klęska Ormian spektakularna.

W ciągu kolejnych kilkunastu dni niemal cała ponad stutysięczna populacja karabaskich Ormian uciekła do Armenii z obawy przed wrogimi wojskami. Rządzący w Baku mogli rozłożyć ręce i zapewniać, że przecież nikt ich nie wyganiał, i że wszyscy, którzy nie mają na sumieniu zbrodni wojennych, mogą zostać przykładnymi obywatelami Azerbejdżanu. Jednak Ormianie nie mają odrobiny zaufania do swoich sąsiadów. Pamięć o antyormiańskich pogromach sprzed trzech dekad pozostaje silna, a propaganda azerbejdżańska od lat kształtuje wyjątkowo negatywny, wręcz nienawistny wizerunek Ormian.

Nie pomagają też doniesienia, że azerbejdżańscy żołnierze noszą naszywki z wizerunkiem Envera Paszy – jednego z organizatorów ludobójstwa Ormian w Turcji w 1915 r. – oraz z napisem „Nie uciekaj, Ormianinie, i tak umrzesz z wyczerpania" (to nawiązanie do ich ówczesnego losu). Zarazem Ormianie są świadomi, że podczas zwycięskiej dla nich wojny z przełomu lat 80. i 90. XX wieku sami wygnali 750 tys. Azerów z ich domów. W tych stronach zemsta jest pojęciem niezwykle żywotnym.

AZEROWIE TRIUMFUJĄ | W połowie października prezydent Ilham Alijew, ubrany w mundur wojskowy, ukląkł przed flagą azerbejdżańską w centrum pustego już Stepanakertu (dla Azerów: Chankendi), karabaskiej stolicy. Jednak jego deklaracja, że cele zostały osiągnięte, nie oddaje rzeczywistości. Wygląda bowiem na to, że odzyskanie Karabachu wcale nie kończy konfliktu.

Baku, niesione sukcesami, nie zamierza na nich poprzestać i domaga się od

ABACA PRESS / FORUM

Symbol ormiańskiej klęski: prezydent Ilham Alijew wciąga na maszt flagę Azerbejdżanu w centrum Stepanakertu/Chankendi, stolicy Karabachu. 15 października 2023 r.

Armenii prawa do swobodnego korzystania z „korytarza" przez region Zangezur, który oddziela terytorium Azerbejdżanu właściwego od Nachiczewanu – azerbejdżańskiej eksklawy, wciśniętej między Armenię, Iran i Turcję. Dla Alijewa ma to również wymiar symboliczny: jego ojciec urodził się w Nachiczewanie.

– Sytuacja nieustannie się pogarsza – słyszę od wysokiego rangą armeńskiego urzędnika. Z jego słów wyłania się obraz rozpaczliwej sytuacji jego kraju. Wprawdzie premier Nikol Paszynian deklaruje, że Armenia ma niezachwianą wolę, by podpisać traktat pokojowy z Azerbejdżanem, który zakładałby wzajemne uznanie integralności terytorialnej, ustalenie przebiegu granicy i odblokowanie regionalnych sieci drogowych. Jednak Azerbejdżan, przekonany o swej sile, próbuje grać bezkompromisowo o pełną stawkę i zmusić Erywań do bolesnych koncesji – zwłaszcza wymusić wspomniany eksterytorialny „korytarz" przez południową Armenię.

Azerowie cieszą się przy tym wsparciem Turcji, a dodatkowo udało się im zapewnić poparcie Rosji. To zaś oznacza strategiczne „trzęsienie ziemi" na Kaukazie Południowym.

ZDRADA ROSJAN | Aby zrozumieć znaczenie tego, co się właśnie wydarzyło, trzeba pamiętać, że od ponad 30 lat Ormianie budowali swoją politykę zagraniczną i bezpieczeństwa w oparciu o sojusz z Rosją. Była ona postrzegana jako tradycyjny obrońca i gwarant armeńskiej niepodległości. Dziś to przeszłość.

Pierwszą wyrwą w niezachwianym wcześniej zaufaniu do Moskwy była jesień 2020 r. Wówczas to, po trwającej 44 dni wojnie, siły azerbejdżańskie odzyskały część Karabachu i tereny wokół niego, okupowane wcześniej przez Ormian. Rosyjski sojusznik nie kiwnął palcem ani wtedy, ani później, gdy Azerbejdżan atakował terytorium Armenii, aż w końcu odzyskał cały Karabach. Wśród Ormian pojawiło się poczucie, że Kreml ich zdradził.

↦

↦ – Rosja przestała być wiarygodnym partnerem. Musimy przeorientować nasze państwo na Zachód – słyszę od kolejnych rozmówców w Erywaniu. Nikt już nie ma złudzeń, że ich kraj został pozostawiony sam sobie. A jeśli ktoś uważa, że to polskim przekleństwem było położenie geograficzne, powinien zerknąć na mapę Armenii. Obok dwóch tradycyjnych wrogów (Turcja, Azerbejdżan), jednego sąsiada neutralnego (Gruzja) i drugiego sprzyjającego, ale bez nadmiernego zaangażowania (Iran), okazuje się, że wcześniejszy sojusznik (Rosja) właśnie zdradził.

Przypadek relacji armeńsko-rosyjskich mógłby służyć jako nauczka, że uzależnienie od jednego sojusznika może okazać się pułapką. W ostatnich trzech dekadach Ormianie oddali Rosji wszystkie „srebra rodowe" swojej gospodarki – od kolei po sieć gazową. Przyjęli na swoim terytorium rosyjską bazę wojskową i byli sojusznikiem Moskwy w ramach Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym, czyli swoistego „postsowieckiego NATO". Zarazem zrezygnowali z rozwijania stosunków z Zachodem. Wszystko dlatego, że mieli nadzieję, iż Rosja doceni ich wierność, a w razie potrzeby lojalnie przybędzie na pomoc. Spektakularnie się pomylili.

O CO GRA KREML | Dokonujące się w regionie odwrócenie sojuszy pewnie nie byłoby możliwe w takim stopniu, gdyby nie rosyjska agresja przeciw Ukrainie. Wzrost asertywności Azerbejdżanu jest pokłosiem słabości Rosji, która nie jest w stanie wygrać wojny z Ukrainą, a głęboki kryzys w jej relacjach z Zachodem sprawia, że potrzebuje co najmniej życzliwej neutralności ze strony Turcji. Ma to jednak swoją cenę.

To również wojna z Ukrainą sprawia, że Kreml jest dziś zainteresowany – tak jak Azerbejdżan – stworzeniem „korytarza" zangezurskiego. Umożliwiłby on bowiem utworzenie nowej trasy transportu towarów między Turcją a Rosją – w tym także, a może przede wszystkim, tych objętych zachodnimi sankcjami.

Dobrym pretekstem dla Kremla, aby uderzać w Erywań, jest tutaj fakt, że premierem Armenii jest Paszynian. Jego postać i jego rząd właściwie od początku nie wzbudzały rosyjskiego zaufania. Moskwa tradycyjnie nie chce mieć partnerów prowadzących niezależną politykę, woli zależnych od siebie wasali. Maria Zacharowa, rzeczniczka rosyjskiego MSZ, ujęła to słowami: „Próby siedzenia na dwóch krzesłach jeszcze nikomu nie przyniosły korzyści". Na dwóch – czyli na „krzesłach" rosyjskim i zachodnim.

> Kryzys w relacjach z Moskwą popycha Armenię w stronę Europy. Nie jest jednak jasne, **jak Unia będzie chciała na te ambicje odpowiedzieć.**

Rosja nie przejmuje się tym, że Ormianie, do niedawna jeden z najbardziej prorosyjskich narodów świata, zupełnie się w niej odkochali. O ile dekadę temu 83 proc. z nich uważało Federację Rosyjską za kluczowego sojusznika, o tyle teraz wynik ten spadł na łeb, na szyję. Nic jednak nie wskazuje, by w Moskwie ktokolwiek zaprzątał sobie tym głowę. Rosja gra z silniejszymi, a słabszymi, zależnymi i usłużnymi pogardza. Aż dziwne, że Ormianie nie odrobili wcześniej tej lekcji historii.

NADZIEJA W EUROPIE | Próbują teraz szukać pomocy w Europie, bo innej alternatywy właściwie nie mają. Erywań chciałby, aby działająca już w regionie unijna cywilna misja obserwacyjna została rozbudowana. Im więcej oczu na miejscu, tym większa szansa na stabilność w regionie. Oczekują również, że Unia Europejska otworzy swój rynek na armeński eksport. Zniesienie przez Brukselę bariery celnej dla Ukrainy ma tu służyć jako modelowe rozwiązanie.

Głęboki kryzys w relacjach z Moskwą będzie więc popychać Armenię w stronę Europy. Choć na razie nie jest jasne, w jakim stopniu Unia, mająca aż nadto innych problemów, będzie chciała na te ambicje odpowiedzieć.

Największą nadzieją Ormian i zarazem największym lobbystą na rzecz Armenii jest Francja, gdzie mieszka półmilionowa ormiańska diaspora. W ostatnich miesiącach Paryż mocno zaangażował się po stronie Erywania, włącznie z dostawami sprzętu wojskowego. Francuscy politycy nie wahali się też nazwać eksodusu Ormian z Karabachu „poważnym przestępstwem [Azerbejdżanu], które nie może pozostać bez odpowiedzi".

Otwarte pozostaje jednak pytanie, w jakim stopniu aktywność władz nad Sekwaną to tylko ukłon wobec własnego ormiańskiego elektoratu, a na ile wynika ona ze strategicznych interesów Francji (gdy to drugie może przesądzić o naprawdę poważnym zaangażowaniu się na Kaukazie Południowym).

MOMENT EGZYSTENCJALNY | Sytuację Armenii można dziś porównać do życia u podnóża czynnego wulkanu z nadzieją, że jednak nie wybuchnie.

Erywań optymistycznie liczy na porozumienie z Baku i podpisanie traktatu o normalizacji dwustronnych relacji. Wydaje się jednak, że Azerbejdżan przekonany jest o własnej przewadze, która pozwoli mu wymusić na Ormianach dalsze ustępstwa. Możliwe, że także z pomocą swej armii.

Na wszelki wypadek Unia Europejska wysyła sygnały, że naruszenie przez Azerbejdżan integralności terytorialnej Armenii nie pozostanie bez odpowiedzi. Według przecieków do mediów sekretarz stanu USA Antony Blinken ostrzegł, że Baku może dokonać inwazji na Armenię. Prawdą jest, że Azerowie pałają chęcią zemsty za liczne upokorzenia ze strony Ormian w latach 90. Prezydent Alijew potrafi publicznie nazwać ziemie Armenii „zachodnim Azerbejdżanem" i grozić, że „korytarz" przez Zangezur powstanie „niezależnie od tego, czy Erywań tego chce, czy nie".

Ormianie zdają sobie sprawę z egzystencjalnego charakteru momentu, w którym się znaleźli. Dla nich najważniejsze jest dziś przetrwanie. Ale gdy słyszę, że „przez trzy tysiące lat radziliśmy sobie z imperialnymi sąsiadami, to poradzimy sobie i teraz", trudno nie mieć wrażenia, iż to zaklinanie rzeczywistości. Na szczęście są też głosy, by wyciągnąć wnioski ze strategicznych błędów ostatniego trzydziestolecia.

Przed Armenią wyjątkowo niebezpieczny wiraż. Jeśli coś wiadomo na pewno, to tylko tyle, że na jego końcu nic nie będzie takie, jak wcześniej.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

Autor jest dyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia, stale współpracuje z „TP".

Książę, który chciał służyć

PATRYCJA BUKALSKA

Był jednym z ostatnich już europejskich polityków, w których życie wpisały się główne momenty historii XX w.

MICHAL CIZEK / AFP / EAST NEWS

Karel Schwarzenberg i dziennikarze podczas wyborów parlamentarnych. Praga, 9 października 2021 r.

Karel Jan Nepomuk Josef Norbert Bedřich Antonín Vratislav Menas książę ze Schwarzenbergów – tak brzmiało pełne jego nazwisko – był siódmym tego imienia. Pochodził z arystokratycznej rodziny o niemieckich korzeniach, której rodowód sięgał średniowiecza. Wśród wcześniejszych Karelów roiło się od polityków i wojskowych; jednym z nich był austriacki marszałek, który rozbił wojska Napoleona pod Lipskiem.

„NASZ NARÓD" | Wraz z nadejściem XX wieku świat Schwarzenbergów miał zmieniać się coraz gwałtowniej. Gdy w 1938 r. Hitler zniszczył Czechosłowację, odmówili przyjęcia obywatelstwa III Rzeczy. Musieli opuścić rodzinny zamek Orlík i stracili majątek. Po wojnie wrócili, ale tylko na chwilę – gdy w 1948 r. władzę przejęli komuniści, znów musieli odejść z Orlíka. Wyjechali niedaleko, do Austrii.

Karel miał wtedy 11 lat. Po latach opowiadał, że to okres II wojny światowej ukształtował go jako czeskiego patriotę. Wspominał ojca w mundurze czechosłowackiej armii. I jak potem, po wojnie, ludzie przechodzili na drugą stronę ulicy, by nie musieć mówić mu „dzień dobry".

We wspomnieniach mówił o znaczeniu pochodzenia, tak często mu wypominanego. W końcu katolik, a tym bardziej z germańskimi korzeniami, wywołuje w Czechach mało przychylne skojarzenia. Opowiadał: „Szlachcic był członkiem zbrojnej drużyny władcy, ale z drugiej strony był za swoich poddanych odpowiedzialny i musiał ich bronić. Ta odpowiedzialność była i jest dla nas najważniejsza. Całe wychowanie moich rodziców prowadziło do odpowiedzialności za nasz naród".

U BOKU HAVLA | Nasz, czyli czeski. Bo nigdy nie stracił swej czeskiej tożsamości. Nie zapomniał też, co jest jego powinnością. Jego późniejszy partyjny kolega Miroslav Kalousek mówi, że Karel cały życie służył: „Często mi powtarzał proste zdanie: trzeba służyć. Nie tylko tak mówił, on tak żył".

Schwarzenberg więc służył. W 1968 r., gdy po upadku Praskiej Wiosny wielu intelektualistów opuściło Czechosłowację, mogli liczyć na pomoc księcia. Wspierał też Solidarność Polsko-Czechosłowacką. W jego zamku koło bawarskiej miejscowości Scheinfeld powstał Czechosłowacki Ośrodek Dokumentacyjny, gromadzący podziemne wydawnictwa i dokumenty. W 1984 r. został przewodniczącym Międzynarodowego Helsińskiego Komitetu Praw Człowieka.

Po Aksamitnej Rewolucji i upadku komunizmu wrócił do ojczyzny – tym razem na dobre. Opowiadał, że dopiero gdy 29 grudnia 1989 r. Václav Havel został prezydentem, zrozumiał, że zmiany są trwałe. Wkrótce został szefem kancelarii prezydenckiej Havla, a jego znajomości otwierały nowym demokratycznym władzom drzwi na całym świecie.

„WYGRAŁO KŁAMSTWO" | W 2004 r. został senatorem, a później dwukrotnie szefem MSZ. Wspólnie z Kalouskiem założył partię TOP09, która weszła do rządu.

W 2013 r. w Czechach odbyły się pierwsze bezpośrednie wybory prezydenckie (wcześniej głowę państwa wybierał parlament). Schwarzenberg wszedł do drugiej tury, razem z byłym premierem Milošem Zemanem. Różnica głosów między nimi była minimalna, jednak potem, w drugiej turze, książę przegrał już wyraźnie.

W kampanii wyciągnięto toksyczny w Czechach temat tzw. dekretów Beneša, na mocy których po 1945 r. wysiedlono z kraju Niemców. Emocje wokół nich nadal są w Czechach żywe. Pojawiły się sugestie, że książę jest zwolennikiem ich unieważnienia, a jego ojciec współpracował z nazistami. „Wybory wygrało kłamstwo" – stwierdził wtedy Schwarzenberg.

Można wyliczyć długą listę funkcji, jakie sprawował po 1989 r. Oraz to, co zrobił wcześniej dla opozycji antykomunistycznej – rzeczy wielkie, jak wspomniany Ośrodek, ale też drobne, choć z ludzkiego punktu widzenia istotne. Tygodnik „Respekt" przypomina, że książę kupił za własne pieniądze garnitury dla niektórych członków czechosłowackiej delegacji przed spotkaniem u królowej Elżbiety II w 1990 r. Wywodzącym się z podziemia politykom wciąż zdarzało się nosić swetry i kurtki z demobilu.

„LEŚNIK I HOTELARZ" | Jednak to, co chyba było najważniejsze, to jego wiara we współpracę krajów Europy Środkowej, w ich miejsce w europejskiej polityce. I oddanie ojczyźnie, z której został wygnany, a do której wrócił tak naturalnie, jakby nigdy jej nie opuszczał. Dzięki jego głosowi – księcia, który w rubryce „zawód" wpisywał przekornie „leśnik i hotelarz" – czeski głos był w świecie lepiej słyszalny.

28 października na praskim Hradzie syn Karela Schwarzenberga odebrał w imieniu ojca najwyższe czeskie odznaczenie, Order Lwa Białego. On sam nie był już w stanie tego zrobić, od pewnego czasu chorował. Zmarł 11 listopada w wieku 85 lat, otoczony rodziną. ©℗

ANDREY RUDAKOV / GETTY IMAGES

Żołnierze Bundeswehry podczas wspólnych z armią litewską ćwiczeń, które poprzedziły szczyt NATO w Wilnie. Pabradė, 25 czerwca 2023 r.

Niemiec na Litwie to już nie okupant

TOMASZ OTOCKI Z WILNA

Gdy w języku niektórych polskich polityków słowo „niemiecki" używane jest dziś jak obelga, Litwini szykują się do przyjęcia niemieckiego kontyngentu wojskowego. Ma ich bronić przed zakusami Putina.

To nie jest zwykłe blokowisko, ono kiedyś dostało nagrodę leninowską za zgrabną architekturę – tłumaczy mi Felix Ackermann, niemiecki historyk i dziennikarz o polskich korzeniach, który znaczną część życia spędził w Wilnie.

Ackermann w 2018 r. wydał po niemiecku krytyczną książkę „Moje litewskie prawo jazdy", a na Wilnie i na polemikach z Litwinami – także gdy chodzi o ich zaangażowanie w czasy sowieckie – zjadł zęby. Wspominamy właśnie ulicę Erfurcką, istniejącą na wileńskich Leszczyniakach (lit. *Lazdynai*) od czasów Leonida Breżniewa.

W 1972 r. Erfurt i Wilno zostały miastami partnerskimi, nic nadzwyczajnego, po prostu sowiecki standard (drugie co do wielkości litewskie miasto, Kowno, na partnera wybrało sobie Białystok). Musiała się zatem pojawić w mieście ulica Erfurcka, podobnie jak prestiżowa restauracja Erfurtas. „»Erfurtas« (...) błyszczał ekskluzywnym wnętrzem, najlepszą obsługą, najwyższej klasy specjalistycznymi daniami kuchni niemieckiej oraz orkiestrą, która gromadziła gości i znanych piosenkarzy popowych" – pisał w 2020 r. litewski portal LRT.

Ulica Niemiecka

Komunistyczna NRD, inaczej niż Niemcy Zachodnie, uznawała aneksję krajów bałtyckich przez Związek Sowiecki, a w 1973 r. litewską republikę odwiedził Erich Honecker, przywódca NRD. – Z powodów politycznych partnerem Wilna nie mógł być Berlin Wschodni, to było zarezerwowane dla Moskwy, Wilno traktowano po prostu jako sowieckie województwo – precyzuje Felix Ackermann.

W Wilnie to nie jest jedyny ślad niemiecki w nazwach ulic. Od czasów średniowiecza istnieje w mieście ulica Niemiecka (*Vokiečių gatvė*), przy której znajduje się obecnie kościół luterański, wydział politologii, a także mnóstwo modnych kawiarni. Jest o wiele piękniejsza od Erfurckiej. W czasie II wojny światowej *Deutsche Strasse* pokazała swój złowrogi wymiar. Tak jak w Warszawie ulica Chłodna, tutaj ulica Niemiecka rozdzielała dwa getta wileńskie: duże i małe. Była świadkiem niejednej tragicznej chwili.

Felix Ackermann zdenerwował się podwójnie na mera Remigijusa Šimašiusa, gdy ten zaczął po mieście wieszać tabliczki z dwujęzycznymi nazwami ulic. *Vokiečių gatvė* została znów *Deutsche Strasse*, na tabliczce wyryto napis szwabachą, a także umieszczono orła Republiki Federalnej. Felix był zdegustowany. – Po pierwsze, raziło mnie pisanie gotykiem po tym wszystkim, co stało się w wieku XX. Po drugie, niemieccy mieszkańcy Wilna nie mieli nic wspólnego z państwem, które powstało w 1949 r.

Nie rozmawiamy o przeszłości

Dziś jednak przeszłość nie jest głównym tematem rozmów litewsko-niemieckich. Polskiej walki o reparacje wojenne tutaj

się raczej nie rozumie – choć jednocześnie nie krytykuje, bo Polska od 2016 r. jest ważnym partnerem politycznym. W czasie II wojny światowej głównym okupantem Litwy był Związek Sowiecki, który pozbawił kraj niepodległości aż do 1991 r. Niemców zawsze osądzano ulgowo, choć są odpowiedzialni za Holokaust, a więc zniknięcie wielowiekowej spuścizny Litwaków, litewskich Żydów. Także sporo Litwinów w czasie wojny trafiło do obozu koncentracyjnego Stutthof, jednak wiedza na ten temat jest w kraju raczej mizerna.

Gdy kończyła się epoka sowiecka (trwała pięć dekad, okupacja niemiecka – trzy lata), profesor Kęstutis Masiulis, z wykształcenia fizyk, miał 34 lata. Idealny czas, by zacząć coś nowego w życiu. W 1991 r. wstąpił do Litewskiego Związku Liberałów, zaczął karierę polityczną. Dziś jest posłem do litewskiego Sejmu z ramienia konserwatystów.

– Ogólnie rzecz biorąc, Litwini postrzegają Niemcy bardzo przychylnie. Według badań jest to drugi, po Polsce, najlepiej oceniany kraj – wskazuje w rozmowie z „Tygodnikiem" Masiulis, od kilku lat przewodniczący parlamentarnej grupy litewsko-niemieckiej. Faktycznie, z badań przeprowadzonych przez agencję „Baltijos tyrimai" na zlecenie litewskich mediów publicznych wynika, że mieszkańcy Litwy najbardziej pozytywnie oceniają relacje z Polską (90 proc.), Niemcami (82 proc.) oraz Ukrainą (70 proc.).

Zmiana w relacjach

Dobrych stosunków nie zachwiała zmiana rządu w Niemczech na koalicję lewicowo-liberalną. Choć w Wilnie rządząca prawica zawsze preferowała chadecję, bo socjaldemokratyczna SPD kojarzyła się z budową gazociągu Nord Stream, zainicjowanego przez ówczesnego kanclerza Gerharda Schrödera w 2005 r., a także z bliskimi związkami wielu polityków SPD z Kremlem (na czele z tymże Schröderem, który po odejściu z urzędu został rosyjskim lobbystą).

– Zmiana w relacjach niemiecko-litewskich nastąpiła nie po odejściu kanclerz Angeli Merkel jesienią 2021 r., lecz wkrótce potem, po ataku Rosji na Ukrainę, i w związku z przyznaniem się Niemiec do błędów w wieloletnich stosunkach z Moskwą – podkreśla Kęstutis Masiulis. – Niejeden niemiecki polityk, zarówno publicznie, jak i nieformalnie, przyznał, że Litwa słusznie ostrzegała nieustannie przed imperialnymi ambicjami Rosji.

Po tym, jak po 24 lutego 2022 r. kanclerz Olaf Scholz ogłosił z trybuny Bundestagu nastanie *Zeitenwende* – dosłownie: epokowej zmiany – w polityce zagranicznej i bezpieczeństwa, w Niemczech tematem dyskusji oraz deklarowanej troski polityków stały się własne zdolności obronne i stan armii. Jednocześnie Berlin znacznie bardziej niż dotąd zaangażował się we wspólne bezpieczeństwo krajów NATO.

Siłą rzeczy uwaga musiała skupić się tutaj na Litwie – na mocy decyzji, które Sojusz podjął po 2014 r., po aneksji Krymu i rozpętaniu przez Rosję wojny w Donbasie, w trzech krajach bałtyckich powstały wielonarodowe NATO-owskie grupy bojowe, każda w sile wzmocnionego batalionu (i stacjonujące tam rotacyjnie). Za grupę bojową stacjonującą na Litwie odpowiedzialność wzięły Niemcy, wystawiając większość żołnierzy i sprzętu wchodzącego w jej skład.

Niemiecka *Zeitenwende* cieszy zresztą polityków nie tylko nad Wilią, ale także nad Zatoką Ryską i Fińską.

Mentalność startupowa

Od lat w pozytywnym kierunku idą relacje gospodarcze obu krajów.

Gdy w 2018 r. spotykałem się z ówczesnym wicemerem Kowna, a dziś ministrem kultury Simonasem Kairysem, nie rozmawialiśmy o kwestiach teatru czy kina, lecz o sprawach bardziej przyziemnych, czyli inwestycjach w regionie kowieńskim. – Mamy inwestycje z Niemiec, wokół Kowna istnieje wolna strefa ekonomiczna, gdzie inwestują Hella czy Continental – mówił mi Kairys. Firma Hella to producent oświetlenia i elektroniki samochodowej, zaś Continental – opon dla samochodów osobowych oraz użytkowych.

Teraz pytam przedstawicielkę Niemiecko-Bałtyckiej Izby Handlowej (AHK), z siedzibą w Rydze (oba miasta rywalizują o względy Niemiec), jak wyglądają gospodarcze relacje Berlina i Wilna. – Dzięki inwestycjom takich firm jak Hella i Continental, a także Bär Cargolift oraz Mikron, Litwa rozwinęła się w hub branży motoryzacyjnej. To wyróżnia ją na tle pozostałych dwóch państw bałtyckich – mówi „Tygodnikowi" Līva Melbārzde, rzeczniczka prasowa izby (znów dla uzupełnienia: Bär Cargolift to jeden z największych producentów wind załadowczych w Europie).

Gdy pytam o plany inwestycyjne, przedstawicielka AHK zasłania się klauzulą poufności, jednak wskazuje: niemieckie firmy nadal interesują się Litwą pomimo rosnących tutaj kosztów pracy, wysokich cen energii i braku dostatecznej liczby wykwalifikowanych pracowników.

– Litwa utwierdziła się w reputacji kraju z wysoko wykwalifikowaną kadrą zarządzającą, dobrą infrastrukturą i mentalnością startupową – dodaje Melbārzde. Zresztą Litwini od jakiegoś czasu inwestują także w Niemczech, przykładami są takie spółki jak Vinted, Transfer Go, Trafi czy Nord Security. A więc głównie branża IT i transportowa.

Lidl nasz ulubiony

– Dziś Litwinom Niemcy kojarzą się przede wszystkim z supermarketami sieci Lidl, a nie z II wojną światową – z sarkazmem przyznaje Felix Ackermann.

Obaj uznajemy, że to chyba dobrze, choć historia XX wieku jest dla nas ważna. À propos Lidla: na Litwie obecnie działa 68 sklepów tej marki. Gdy otwierano pierwsze z nich w 2016 r., było to dla wielu ludzi przeżycie prawie mistyczne. Niektórzy klienci fotografowali się z egzotycznymi owocami, kupionymi po bardzo korzystnych cenach.

Sklepy na Litwie uchodzą bowiem za tradycyjnie drogie. Na pewno w supermarketach nie jest tak tanio jak w Polsce, o czym świadczą także regularne wyjazdy Litwinów na zakupy do Suwałk i Białegostoku.

Markety Lidl kojarzą się Litwinom nie tylko z przystępnością cenową, ale także z innowacyjnością. Jak reklamowały media w zeszłym roku, podczas otwarcia kolejnego sklepu „posadzono 41 drzew i 108 krzewów, a w najbliższej przyszłości (...) zostanie zainstalowana stacja ładowania samochodów elektrycznych. W przyszłości planowana jest instalacja paneli słonecznych na dachu tego sklepu". Litwa łaknie „niemieckiego postępu" jak kania dżdżu.

Solidna niemiecka brygada

Wkrótce relacje litewsko-niemieckie wejdą na jeszcze wyższy poziom, a to nie tyle dzięki gospodarce, lecz dzięki żołnierzom Bundeswehry. ↦

Zgodnie z listopadowym komunikatem Ministerstwa Obrony Niemiec, którym kieruje Boris Pistorius (z SPD, ale z zupełnie innego świata niż były kanclerz Schröder), na Litwę mają zostać przeniesione: 122. Batalion Grenadierów Pancernych (tj. piechoty zmechanizowanej), obecnie stacjonujący w bawarskiej miejscowości Oberviechtach, a także 203. Batalion Pancerny (czołgi leopard), który obecnie ma koszary w miasteczku Augustdorf (Nadrenia Północna-Westfalia). Taką rekomendację wydał generalny inspektor Bundeswehry.

Razem ze stacjonującą już na Litwie wspomnianą grupą bojową NATO te trzy jednostki utworzą tam trzon brygady pancernej. W ten sposób po raz pierwszy w historii Bundeswehry duża jednostka bojowa będzie na stałe stacjonować za granicą.

Zanim kilka tygodni temu pojawił się ów oficjalny komunikat, pod koniec czerwca tego roku – na kilka tygodni przed szczytem NATO w Wilnie – minister Pistorius wraz z sekretarzem generalnym NATO Jensem Stoltenbergiem przyjechali na Litwę, gdzie w międzyczasie miały miejsce wspólne ćwiczenia Bundeswehry i wojsk litewskich pod kryptonimem „Griffin Storm".

Jak podkreślali w swojej analizie pracownicy Ośrodka Studiów Wschodnich Justyna Gotkowska i Jakub Graca, „w ich ramach Bundeswehra przerzuciła na Litwę w ciągu około sześciu dni siły w liczbie 1 tys. żołnierzy oraz ponad 300 jednostek sprzętu z 41. Brygady Zmechanizowanej z Meklemburgii-Pomorza Przedniego. W trakcie konferencji prasowej na litewskim poligonie w Podbrodziu, w której wzięli udział Stoltenberg i prezydent Litwy Gitanas Nausėda, minister Pistorius zadeklarował, że Niemcy są gotowe na rozmieszczenie na stałe na Litwie »solidnej« brygady w sile ok. 4 tys. żołnierzy".

Sprawy nabierają przyspieszenia

Konkretne już postanowienia z ostatnich tygodni są konsekwencją deklaracji politycznej, która zapadła rok wcześniej. Pod wrażeniem rosyjskiej napaści na Ukrainę obie strony wydały wtedy deklarację, w której zgodziły się, że Niemcy, niezależnie od dowodzenia wspomnianą wielonarodową grupą bojową NATO, wydzielą specjalną brygadę do obrony Litwy.

Doszło jednak do sporu między oboma krajami, jak tę deklarację zrealizować. „Berlin trzymał się do tej pory interpretacji, że większa część tej brygady będzie na stałe stacjonować w RFN. Z kolei Wilno obstawało przy interpretacji o stałym rozmieszczeniu niemieckich sił na Litwie, co jest zbieżne z tym, co zapowiedział na konferencji prasowej Pistorius" – pisali analitycy OSW. I konkludowali, że koniec końców „Litwa odniosła tym samym istotne zwycięstwo w krytycznie ważnej dla siebie kwestii, nawet jeśli realizacja postanowień nie będzie możliwa w krótkim czasie".

Nie wszystko jest jednak takie proste. O tym, że Litwa nie jest w stanie obecnie przyjąć żołnierzy niemieckich z powodów czysto prozaiczno-technicznych, mówi otwarcie profesor Marius Laurinavičius, analityk ds. bezpieczeństwa i Rosji. „Mówiąc o perspektywie krótkoterminowej, to rozlokowanie brygady na Litwie jest niemożliwe (...) zwyczajnie dlatego, że Litwa po prostu do tego nie jest przygotowana" – oceniał Laurinavičius w rozmowie z „Kurierem Wileńskim" w marcu tego roku.

Teraz sprawy nabrały przyspieszenia. Choć, jak można przeczytać w komunikacie niemieckiego ministerstwa obrony, „relokacja batalionów nastąpi w nadchodzących latach, po ustaleniu wymagań infrastrukturalnych i logistycznych". We wrześniu jeden z niemieckich portali ogłaszał: „Wielu żołnierzy Bundeswehry nie ma ochoty jechać na Litwę". Niemiecko-litewska grupa robocza pracuje teraz nad zapewnieniem atrakcyjnych warunków służby.

„Doceniamy przywództwo Niemiec"

– Niemcy są strategicznym partnerem Litwy wraz ze Stanami Zjednoczonymi, Polską i krajami skandynawskimi. Nie ma sporów międzynarodowych, które zakłócałyby nasze stosunki. Nasze kraje jednoczą wspólne wartości, jakimi są demokracja, prawa człowieka i bezpieczeństwo. Litwa szczególnie docenia i wspiera przywództwo Niemiec w Unii Europejskiej – deklaruje w rozmowie z „Tygodnikiem" poseł Kęstutis Masiulis.

Stosunki nie są złe także w wymiarze kulturalnym, choć Berlin nie promuje tak silnie kultury niemieckiej na Litwie, jak na przykład Instytut Polski w Wilnie kultury polskiej.

– Niemcy wolą działać ostrożniej, dlatego bardzo często skupiają się nie na promocji samych siebie, lecz wartości demokratycznych, praw człowieka czy walce o wolną Białoruś – mówi Felix Ackermann. Dlatego raczej nie doczekamy się pomnika Goethego pod siedzibą ambasady niemieckiej.

– No, ale Goethe nie był z Wilna, inaczej niż Mickiewicz – uśmiecha się Ackermann.

© TOMASZ OTOCKI

TP TYGODNIK CZYTELNIKÓW

Mikołaj dla dzieci polskich i ukraińskich

Organizujemy Mikołaja dla najmłodszych z rodzin polskich i ukraińskich, z Krakowa oraz z Ukrainy – bardzo prosimy o Wasze wsparcie!
Nasza fundacja Dobro Zawsze Wraca organizuje zbiórkę prezentów dla dzieci z Ukrainy mieszkających w Krakowie i okolicy, dla dzieci z polskich ubogich rodzin i dzieci niepełnosprawnych. Będziemy też wysyłać prezenty na Ukrainę.
Mikołaja organizujemy w tradycjach polskiej, ukraińskiej i holenderskiej.
Będziemy mieć też trzech Mikołajów w strojach tradycyjnych dla każdego kraju (nawiązanie do holenderskiej tradycji wynika stąd, że mamy duże wsparcie od przyjaciół z Holandii, którzy od początku inwazji pomagają Ukrainie i często u nas goszczą; chcemy przybliżyć dzieciom także zwyczaje holenderskie).
Bardzo zależy nam, by uzbierać jak najwięcej prezentów takich jak: kolorowanki, kredki, pluszaki, gry, puzzle, zabawki, słodycze i inne rzeczy, które sprawią radość dzieciom w każdym wieku.

Będziemy wdzięczni za Waszą pomoc!

Pozdrawiam serdecznie
AGNIESZKA SZYLUK, prezeska fundacji Dobro Zawsze Wraca
Punkt zbiórki: ul. Łagiewnicka 54, 30-417, Kraków.
Paczkomat: KRA01M | Telefon: 534 333 953

WALTER CISCO / UNIVERSAL HISTORY ARCHIVE / GETTY IMAGES

Prezydent John F. Kennedy na kilka minut przed zamachem. Teksas, 22 listopada 1963 r.

Sześć sekund, które wstrząsnęły Ameryką

MARTA ZDZIEBORSKA

Choć od zamachu na prezydenta Kennedy'ego mija 60 lat, w USA nie słabną spekulacje na ten temat. Świadek, były agent Secret Service, przedstawił właśnie swoją wersję wydarzeń.

Paul Landis, który tamtego dnia, 22 listopada 1963 r., ochraniał towarzyszącą prezydentowi pierwszą damę Jacqueline Kennedy, przerwał milczenie na jesieni życia. W wieku 88 lat opublikował książkę pod wymownym tytułem „The Final Witness" („Ostatni świadek"). Rekonstruuje w niej szczegółowo przebieg wizyty pary prezydenckiej w Teksasie.

John Fitzgerald Kennedy, prezydent z ramienia Partii Demokratycznej, przyjechał wówczas do tego tradycyjnie republikańskiego stanu, aby ułatwić sobie walkę o reelekcję w wyborach prezydenckich w 1964 r. i zażegnać konflikty wśród teksańskich Demokratów. Gdy w dniu zamachu 46-letni Kennedy przemierzał ulice Dallas, Landis jechał tuż za prezydencką limuzyną – stał na prawym bocznym schodku samochodu eskorty.

Były ochroniarz wspomina dziś, że przez większość trasy z lotniska do centrum miasta skanował wzrokiem tłum gapiów w poszukiwaniu zachowań odbiegających od normy. Jako 28-letni agent Secret Service stosował się do reguł wpojonych mu podczas szkoleń.

Tamtego dnia nie zostały jednak spełnione podstawowe standardy bezpieczeństwa. Chcąc mieć jak najlepszy dostęp do wyborców, Kennedy zażądał przejazdu limuzyną z otwartym dachem i nie życzył sobie, aby na jej tylnym schodku stali ochroniarze. W aucie prócz pary prezydenckiej jechał gubernator Teksasu John Connally Jr. oraz jego żona Nellie.

Trzy kule

Gdy o godzinie 12.30 Landis usłyszał pierwszy huk, od razu pomyślał, że musi pochodzić z karabinu z nabojami o dużej mocy. W książce tłumaczy, że znał się na tym, bo w dzieciństwie często chodził z ojcem na polowania. Gonitwę myśli agenta przerwał trzeci strzał i lecąca w jego kierunku chmura krwi zmieszanej z kawałkami tkanki i mózgu Kennedy'ego. Ochroniarzowi udało się zrobić unik.

Według ustaleń komisji śledczej – nazwanej komisją Warrena, a powołanej przez prezydenta Lyndona B. Johnsona, następcę Kennedy'ego – za zamachem stał jeden człowiek. Lee Harvey Oswald, 24-letni były żołnierz marines, miał strzelać z szóstego piętra pobliskiej składnicy podręczników, gdy prezydencki samochód wjeżdżał na Dealey Plaza.

Komisja ustaliła, że Oswald wystrzelił trzy kule z karabinu Carcano kaliber 6,5 mm. Pierwsza chybiła. Druga trafiła Kennedy'ego od tyłu w szyję i wyleciała pod krtanią. Następnie ten sam pocisk wbił się w plecy siedzącego na przednim fotelu gubernatora – roztrzaskał mu przednie żebro, wyleciał z przodu klatki piersiowej, ranił go w prawy nadgarstek i utkwił w lewym udzie. Trzecia kula trafiła Kennedy'ego w głowę i roztrzaskała ją. Pół godziny później w szpitalu Parkland Memorial oficjalnie stwierdzono zgon prezydenta.

Badający okoliczności zamachu śledczy napisali w raporcie, że drugą kulę, która trafiła obu polityków, znaleziono na szpitalnych noszach gubernatora Connally'ego. Nie udało się wówczas ustalić, w jaki sposób się tam znalazła. Śledczy uznali, że musiała wypaść z jego uda w trakcie, gdy lekarze ratowali mu życie (co zakończyło się pomyślnie).

Szybka decyzja

Niemal sześć dekad po opublikowaniu raportu komisji Warrena Paul Landis wkłada kij w mrowisko. Na kartach swojej książki twierdzi, że to on znalazł pamiętną drugą kulę, i to nie na terenie szpitala, ale na tylnym siedzeniu prezydenckiej limuzyny – tuż po zabraniu ciała ↦

↦ Kennedy'ego i po tym, jak pierwsza dama wyszła z auta.

Landis przekonuje, że schował wtedy pocisk do kieszeni płaszcza, a następnie położył go na noszach prezydenta w szpitalu. „Na miejscu nie było nikogo, kto zabezpieczyłby miejsce zdarzenia. Wszyscy agenci byli skupieni na prezydencie". A był to przecież, zaznacza, ważny materiał dowodowy. „Nie chciałem, by zniknął, albo żeby się zagubił. Powiedziałem sobie wtedy: Paul, musisz podjąć decyzję" – twierdzi dziś Landis w rozmowie z dziennikiem „New York Times". Tłumaczy, że chciał przekazać kulę personelowi szpitala, ale odruchowo położył ją na noszach prezydenta.

Były agent Secret Service dywaguje przy tym, że być może znaleziony przez niego pocisk wcale nie przeszył Kennedy'ego na wylot w pobliżu krtani i nie poleciał w kierunku gubernatora, jak ustalili śledczy, lecz utknął w plecach prezydenta, a następnie wypadł, zanim wyjęto jego ciało z auta.

Dwie komisje

W zalewie informacji i spekulacji dotyczących zamachu na JFK (jak w skrócie nazywa się Kennedy'ego) twierdzenie Landisa, iż znalazł kulę w prezydenckiej limuzynie, może wydać się drobnym i nieistotnym szczegółem. Jednak nie dla tych, którzy od dekad podważają „teorię jednej kuli", którą przyjęli śledczy z komisji Warrena.

Choć lekarze ustalili, że jeden strzał mógł wywołać jednocześnie tak wiele obrażeń u prezydenta oraz u gubernatora, to sceptycy do dziś zastanawiają się, jakim cudem znaleziony pocisk był w niemal nienaruszonym stanie. Tym bardziej że pokonał 38-centymetrową drogę przez ludzkie tkanki, złamał dwie kości i przebił się w sumie przez piętnaście warstw ubrania.

Żadne wydarzenie w historii USA nie spowodowało takiego wysypu teorii spiskowych, jak zamach na JFK. **Do dziś poświęcono mu 40 tysięcy książek.**

Gdyby okazało się, że Connally został raniony inną kulą niż Kennedy, wówczas lec w gruzach mogłoby założenie, iż za zamachem stała jedna osoba. Oswald nie miałby bowiem dość czasu na przeładowanie. Na słynnym amatorskim 26-sekundowym filmie, który w chwili zamachu nagrał mieszkaniec Dallas Abraham Zapruder, widać, że prezydent i gubernator zareagowali na strzał w odstępie zaledwie sekundy. Według ustaleń komisji Warrena na przeładowanie broni i ponowny strzał Oswald potrzebowałby 2,3 sekundy.

Wątpliwości związane z ustaleniami komisji Warrena doprowadziły w 1976 r. do wszczęcia kolejnego śledztwa. Członkowie Komisji Izby Reprezentantów ds. Zabójstw, posiłkując się nagraniem policji z Dallas, nie wykluczyli, że w kierunku prezydenckiej limuzyny mogły paść cztery strzały oddane przez dwóch zamachowców. Drugi sprawca miałby celować zza drewnianego płotu na pagórku nieopodal trasy przejazdu. Komisja, opierając się na akustycznej analizie ulicznego nagrania policji z rejonu Dealey Plaza, uznała, że do zamachu prawdopodobnie doszło w wyniku spisku. Jednak analizę nagrania podważyło potem Federalne Biuro Śledcze (FBI).

„Wiele konsekwencji"

Krytycy nie zostawiają na Landisie suchej nitki. Zarzucają mu, że zbyt długo zwlekał z wyjawieniem potencjalnie istotnych informacji. A także, że jego wspomnienia są sprzeczne z pisemnymi oświadczeniami, które złożył tydzień po zamachu. Nie wspomniał w nich ani słowem o kuli rzekomo znalezionej w limuzynie. Landis utrzymywał też wówczas, że nie wszedł na salę szpitalną, gdzie leżał prezydent.

Sceptycznie do jego wspomnień podchodzi m.in. Clint Hill, który w chwili zamachu wyskoczył z samochodu eskorty i rzucił się na parę prezydencką, by osłonić ją przed kolejnymi strzałami. Według Hilla relacja dawnego kolegi „nie trzyma się kupy". Twierdzi, że jeszcze w 2014 r. odradzał mu wychodzenie przed szereg. „Wiele konsekwencji" – napisał dwuznacznie w mailu do Landisa (mail został zarchiwizowany).

Z kolei Gerald Posner, autor książki „Sprawa zamknięta. Lee Harvey Oswald i zabójstwo JFK" powątpiewa w pamięć Landisa sześć dekad po zamachu. Dziennikarz powołuje się też na relacje świadków, którzy byli przy prezydencie w sali szpitalnej. Ponoć żaden z nich nie wspomina, by widział tam Landisa. „Nawet jeśli założymy, że Landis mówi prawdę, może to najwyżej oznaczać, iż znaleziona przez niego kula wypadła z ciała gubernatora w limuzynie, a nie na noszach w szpitalu" – ocenia Posner w rozmowie z „New York Timesem".

Dlaczego milczałem

Paul Landis się broni: utrzymuje, że nieścisłości w jego pisemnym oświadczeniach wynikały ze zmęczenia i szoku tuż po zamachu. Jak twierdzi, przez pięć dni po śmierci prezydenta Kennedy'ego niemal nie zmrużył oka, towarzysząc pierwszej damie w najtrudniejszych chwilach. Był obok niej, gdy przez dziewięć godzin czekała na wyniki sekcji zwłok męża, i gdy żegnała go podczas pogrzebu na cmentarzu Arlington pod Waszyngtonem.

W rozmowie z „New York Timesem" były agent Secret Service wyjawia, że przez długi czas nie mógł przestać odtwarzać w pamięci widoku eksplodującej głowy prezydenta. Landis odszedł z Secret Service zaledwie pół roku po zamachu i ponoć unikał potem czytania jakichkolwiek publikacji o okolicznościach śmierci JFK. Jak twierdzi, dopiero w 2014 r. odkrył, że ustalenia raportu Warrena są sprzeczne z jego wspomnieniami. Nie chciał jednak wtedy zabierać

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Sanoku pod sygn. akt I Ns 291/21 toczy się postępowanie z wniosku Małgorzaty Wolińskiej o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Walerii Wolińskiej z domu Twardzicka, córce Józefa i Marii, urodzonej 20 maja 2012 r. w Ostrowie, zmarłej 22 marca 1985 r. w Sanoku, przed śmiercią zamieszkałej w Trepczy.

Wzywa się spadkobierców zmarłej, aby w terminie 6 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili swój udział w postępowaniu i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w stwierdzeniu nabycia spadku.

publicznie głosu, bo obawiał się grożących mu konsekwencji za zabranie kuli z miejsca zdarzenia. Ostatecznie podzielił się swoją historią z byłym dyrektorem Secret Service Lewisem C. Merlettim, który pomógł mu znaleźć wydawcę.

Cała masa teorii

Po przeczytaniu książki Landisa jednego jestem pewna: jego wspomnienia podsycą nadzieje zwolenników wszelkiej maści teorii spiskowych, którzy próbują dowieść, że za śmiercią Kennedy'ego stał cały sztab ludzi.

W roli winnych zamachu obsadzano już m.in. następcę zmarłego prezydenta, wspomnianego Lyndona B. Johnsona, amerykańskich wojskowych i CIA, Sowietów, kubański rząd i (dla odmiany) kubańską opozycję. Ta ostatnia miałaby zawiązać spisek, bo była wściekła na Kennedy'ego, że wstrzymał dla niej wsparcie podczas desantu w Zatoce Świń w 1961 r. (oponenci Fidela Castro podjęli tam, przy wsparciu CIA, zbrojną próbę obalenia komunistycznego dyktatora).

Pojawiały się też jeszcze bardziej fantastyczne hipotezy. Insynuowano, że za śmierć JFK odpowiada ojciec obecnego teksańskiego senatora Teda Cruza, który rzekomo rozdawał z Oswaldem procastrowskie ulotki w Nowym Orleanie. Na listę podejrzanych wciągnięto też mężczyznę, który w dniu zamachu, w pełnym słońcu, stał z parasolem wzdłuż trasy przejazdu prezydenckiej kolumny. Spekulowano, że wystrzelił on w kierunku Kennedy'ego strzałkę ze środkiem paraliżującym, aby unieruchomić szyję prezydenta i ułatwić Oswaldowi strzał.

40 tysięcy książek

Mężczyzna ten, zidentyfikowany jako Louie Steven Witt, zeznał po 15 latach przed kongresową komisją śledczą, że miał ze sobą czarny parasol, bo... chciał zrobić na złość Kennedy'emu. Jego ojciec, Joseph Kennedy, był bowiem wcześniej zwolennikiem brytyjskiego premiera Neville'a Chamberlaina i jego polityki ustępstw wobec Hitlera, a znakiem rozpoznawczym Chamberlaina był właśnie parasol...

Żadne wydarzenie polityczne w Stanach nie przyczyniło się do takiego wysypu teorii spiskowych, jak zamach na JFK. Jego śmierci poświęcono do dziś ok. 40 tys. książek, wśród których nie zabrakło coraz bardziej pokrętnych hipotez dotyczących 22 listopada 1963 r.

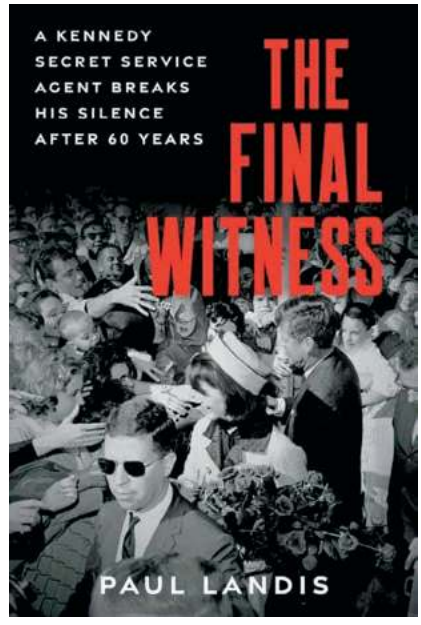

Na okładce książki Paula Landisa wydawca wykorzystał zdjęcie zrobione 22 listopada 1963 r. na lotnisku w Dallas: Landis, młody agent Secret Service (na pierwszym planie), towarzyszy parze prezydenckiej

Jak mówi cytowany przez BBC Peter Ling, amerykanista z Nottingham University, sprawę utrudnia fakt, że Lee Harvey Oswald nie stanął przed sądem i świat nigdy nie usłyszał jego wersji. Zginął dwa dni po zamachu z rąk Jacka Ruby'ego, właściciela nocnego klubu w Dallas. Ruby strzelił do Oswalda w policyjnym podziemnym garażu, gdy ten na oczach dziennikarzy zmierzał do wozu mającego przewieźć go do innego więzienia.

Utajnione akta

Ponad połowa Amerykanów przekonana jest, że rząd federalny zatuszował prawdę dotyczącą zamachu – tak wynikało z sondażu przeprowadzonego w 2018 r. przez telewizję CBS. Jeszcze pięć lat wcześniej 61 proc. ankietowanych wyrażało pogląd, że JFK zginął w wyniku spisku. Z kolei na początku lat 80. XX w. tego zdania było aż 80 proc. respondentów.

Amerykanów nie zdołały uspokoić miliony odtajnionych dokumentów, zebranych przez komisję Warrena i komisję Izby Reprezentantów ds. Zabójstw. Zbiorowe rozliczanie się z tragedią z roku 1963 trwa: kolejne tysiące dokumentów dotyczących zamachu odtajniły w ostatnich latach administracje Trumpa i Bidena. Krytycy zarzucają im jednak, że na wniosek CIA i FBI wstrzymano ujawnienie niektórych archiwaliów (jako powód podaje się ochronę żyjących jeszcze informatorów służb i ochronę metod przez nie stosowanych).

Teraz, przed 60. rocznicą zamachu, serwis telewizji CNN przypomina o publikacji historyka CIA Davida Robarge'a. W odtajnionym materiale z 2005 r. przyznał on, że John McCone, szef CIA w latach 1961-65, a także inni ważni oficerowie Agencji zataili przed komisją Warrena kluczowe informacje. Jak tę, że CIA przez lata planowała zamach na Fidela Castro, co mogłoby sprowokować pytania, czy Oswald mógł mieć wspólników na Kubie.

„Chciałbym cofnąć czas"

W wywiadzie dla „New York Timesa" Paul Landis podkreślał, że do tej pory wierzył, iż Oswald działał w pojedynkę, i że wydając swoją książkę, nie chciał podgrzewać kolejnych teorii spiskowych. W przeciwieństwie do swego kolegi Clinta Hilla, który został w Secret Service aż do 1975 r., Landis rzadko zabierał głos w sprawie zamachu. Nie został nawet zaproszony do złożenia zeznań przed komisją Warrena.

Z jego książki dowiadujemy się teraz, że po rzuceniu kariery w Secret Service próbował m.in. sił jako agent nieruchomości, prowadził firmę produkującą reklamy telewizyjne i malował domy. Jeszcze w 2016 r., gdy pracował jako ochroniarz w lokalnym muzeum w Cleveland, przyznał w rozmowie z prasą, że najbardziej żałuje odejścia z Secret Service.

„Gdybym otrzymał na czas pomoc psychologiczną, to bym został" – powiedział wtedy Paul Landis, który dla rodziny Kennedych pracował przez trzy lata. Najpierw służył jako ochroniarz ich dzieci, a potem towarzyszył pierwszej damie podczas jej podróży. Był przy niej także w drodze do szpitala w Otis Air Force Base, gdzie przedwcześnie urodziła syna Patricka – chłopczyk zmarł po 39 godzinach w wyniku zaburzeń oddychania. W książce wspomina, że w dniu zamachu na JFK dopiero pierwszy raz jechał w prezydenckiej kolumnie.

Te niecałe sześć sekund pomiędzy pierwszym a ostatnim strzałem wstrząsnęły nie tylko Ameryką, ale naznaczyły także całe jego życie.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press".

MATERIAŁY, KTÓRE ZMIENIĄ ŚWIAT

POLSCY BADACZE PRACUJĄ NAD FUNDAMENTAMI TECHNOLOGII PRZYSZŁOŚCI

Centrum MagTop powstało w ramach programu Międzynarodowe Agendy Badawcze Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, finansowanego ze środków pochodzących z funduszy europejskich z programu Inteligentny Rozwój (POIR). Ośrodek współtworzą prof. dr hab. Tomasz Wojtowicz i światowej sławy materiałoznawca prof. dr hab. Tomasz Dietl, który pełni funkcję dyrektora.

O niewielu naukowcach mówi się, że stworzyli nową gałąź nauki. Pan stworzył spintronikę półprzewodnikową.

PROF. DR HAB. TOMASZ DIETL: Odkrycia przypisuje się jednej osobie bądź wąskiemu gronu, bo tak jest prościej. Do powstania spintroniki półprzewodnikowej przyczyniła się jednak duża grupa ludzi, nie tylko profesorowie David Awschalom i Hideo Ohno, z którymi otrzymałem nagrodę Europejskiego Towarzystwa Fizycznego. Klasyczna spintronika, która wykorzystuje materiały metaliczne, jest już szeroko wykorzystywana w pamięciach magnetycznych, jak twarde dyski. Jej półprzewodnikowa odmiana ma zastosowania bardziej niszowe, np. w metrologii kwantowej, ale należy pamiętać, że sukces rynkowy pojawia się zwykle około 30 lat po odkryciach fizyków.

MICHAŁ JĘDRAK / MATERIAŁ PRSOWY

PROF. TOMASZ DIETL, *fizyk, dyrektor Międzynarodowego Centrum Badawczego MagTop w Instytucie Fizyki PAN, specjalizuje się w fizyce i zastosowaniach półprzewodników topologicznych, magnetycznych i nadprzewodzących. Ostatnio opracował teorię kwantowego spinowego zjawiska Halla.*

Wydaje się, że jest mało dziedzin tak dobrze rozpoznanych, jak magnetyzm. Czy jest tu jeszcze coś do odkrycia?

Magnetyzm jest jednym z pierwszych odkrytych przez ludzkość zjawisk, których zrozumienie wymagało rozwoju teorii kwantowej w pierwszych dekadach XX w. Chińczycy wykorzystywali kompas do nawigacji już tysiąc lat temu. Pierwsze silniki elektryczne pojawiły się w latach 30. XIX w., ale możliwość ich zastosowania w samochodach wiąże się z opracowaniem w ostatnich latach silniejszych magnesów. Magnetyczny zapis informacji też jest stosowany od dawna, bo nagrywanie głosu za pomocą nośników magnetycznych opracowano już na początku XX w. Postęp polega tutaj na nowych metodach odczytu i zapisu informacji, lepszych materiałach, co, łącznie z postępem miniaturyzacji, pozwala zapisać teraz kilkadziesiąt filmów na calowym krążku.

Tylko że wraz z miniaturyzacją rośnie poziom komplikacji.

Który powoduje, że tempo miniaturyzacji spowalnia. Postęp, który mimo to obserwujemy, zawdzięczamy m.in. nowym materiałom (np. zastąpieniu tlenku krzemu tlenkiem hafnu), ale też rozszerzeniu typów nośników informacji. Obok elektronów wykorzystujemy fotony, czyli światło, a obok ładunku elektrycznego – moment magnetyczny, czyli spin elektronu, a także strumień pola magnetycznego. Duże możliwości wiążą się ze zmianami w architekturze komputerowej. Ta, z której korzystamy, została stworzona przez Johna von Neumanna w czasie II wojny światowej. W zasadzie nie zmieniono jej w fundamentalny sposób aż do dziś, choć wiemy, że mogą istnieć inne możliwe architektury oraz zasady wykonywania obliczeń, jak choćby w komputerach kwantowych.

Ale czy potrzebujemy coraz większych mocy obliczeniowych?

Tak, nie tylko dla rozrywki, ale również do projektowania nowych leków lub skuteczniejszego przewidywania pogody. Wielkim wyzwaniem, wymagającym stosowania metod sztucznej inteligencji (uczenia maszynowego), jest twórcze wykorzystanie morza danych, jakie zgromadziliśmy, np. do zautomatyzowanej diagnozy w czasie rzeczywistym podczas badania metodami rezonansu magnetycznego czy ultrasonografii.

W tym kontekście istotny problem to rosnący udział szeroko pojętych technologii informacyjno-komunikacyjnych, w tym centrów danych oraz kopalni bitcoinów, w globalnym zużyciu energii, sięgającym obecnie 5 proc. Jednym z kierunków postępu jest stworzenie urządzeń o takich samych mocach obliczeniowych i pamięciach, jak te wykorzystywane współcześnie w notebookach i telefonach, ale jednocześnie tak efektywnych, że mogłyby być zasilane światłem czy wszechobecnymi szumami elektromagnetycznymi. Drugi kierunek to rozwój komputerów kwantowych, które nie tylko byłyby wydajniejsze energetycznie, ale mogłyby rozwiązywać problemy, z którymi nie radzą sobie komputery klasyczne.

Co powoduje, że zbudowane dotychczas komputery kwantowe są zbyt małe do praktycznych zastosowań?

Niedawno odkryto, że możliwość opisu wielu zjawisk w urządzeniach elektronicznych pojęciami klasycznymi (np. równoczesny opis położenia elektronu i jego prędkości) wynika z faktu, że ewolucja kwantowa jest zaburzona przez szumy elektromagnetyczne, pochodzące także od np. termicznych drgań atomów. Poszukujemy więc materiałów, w których nośniki informacji nie wchodzą w interakcje z otoczeniem i dzięki temu ich zachowanie jest kwantowe. I właśnie materiały topologiczne dają taką szansę.

Czym właściwie są materiały topologiczne?

Geometria mówi nam, jak obliczyć pole kwadratu, a jak trójkąta. Topologia to nauka, która zajmuje się właściwościami, które nie zależą od geometrii – z punktu widzenia topologii kwadrat, trójkąt i bułka są identyczne, ale obwarzanek już nie, bo z bułki nie można zrobić obwarzanka, nie niszcząc jej. Istotne jest to, że obwarzanek ma jedną dziurę, a bułka żadnej. Podobnie można spojrzeć na tzw. wstęgę Möbiusa. Zwykła wstęga to obręcz, a wstęga Möbiusa jest sklejona po przekręceniu i nie można z niej zrobić obręczy, należy do innej klasy topologicznej.

Kiedy myślimy o zapisie informacji przy pomocy momentów magnetycznych, możemy wyobrazić sobie dwa stany: jeden, w którym te spiny [momenty pędu cząstek – red.] układają się jak na obręczy, i drugi, w którym układają się jak na wstędze Möbiusa. Ten drugi układ jest dużo stabilniejszy, dzięki czemu zapis jest trwały nawet

MATERIAŁ PARTNERA

wtedy, gdy sam obiekt jest dużo mniejszy. Takie układy topologiczne mogą być nowym nośnikiem danych, ale mogą też służyć do przetwarzania informacji.

Istnieje także klasa materiałów, w których istnieją dodatkowe stany elektronowe na powierzchni, niezależnie od kształtu próbki, a więc mają charakter topologiczny. Ponieważ odkształcenie, wywołane np. termicznym ruchem atomów, nie wpływa na te stany, oddziałują one słabo z otoczeniem. Oznacza to, że możemy zbudować półprzewodnik, po którego powierzchni elektrony poruszają się niemal bez strat. To bardzo ciekawe z punktu widzenia zarówno zużycia energii, jak i budowy komputerów kwantowych.

Jak w takim razie przełożyć to na faktyczne zastosowanie?

Obiekty, które mają odpowiednie właściwości topologiczne i mogłyby stanowić nowy nośnik informacji w komputerach kwantowych, to tzw. fermiony Majorany. Fermionami są na przykład elektrony i pozytony. Majorana to włoski fizyk. Opracował on równanie, z którego wynikało, że mogą istnieć cząstki, które są swoimi własnymi antycząstkami. Chociaż nie znaleziono ich jako cząstek elementarnych, powinny one istnieć w pewnej klasie nadprzewodników jako obiekty topologiczne, a więc odporne na zaburzenia. Cząstek Majorany w nadprzewodnikach poszukuje kilkadziesiąt laboratoriów. Mamy sytuację podobną do wyścigu, jaki toczył się o znalezienie cząstki Higgsa.

Własności topologiczne mają już jednak praktyczne zastosowania, na przykład w metrologii. Dziś podstawowe jednostki miar są określane nie za pomocą fizycznych obiektów, ale za pomocą stałych fizycznych. Metr, sekunda czy kilogram są definiowane poprzez odwołanie się do m.in. prędkości światła, wartości ładunku elektronu czy stałej Plancka. Bezstratny ruch elektronów w stanach topologicznych powoduje, że w pewnych warunkach opór elektryczny zależy jedynie od stosunku stałej Plancka do kwadratu ładunku. W ten sposób, łącznie ze zjawiskiem Josephsona w złączach nadprzewodzących można zbudować wzorce jednostek elektrycznych (wolt, amper, om) oraz kilograma.

Warto dodać, że postęp w metrologii, w tym dokładności pomiaru czasu, pozwala nam na określanie naszego położenia z dokładnością 10 m, wykorzystując zegary atomowe na satelitach GPS.

Gdybyśmy mieli spojrzeć 10 lat w przyszłość, gdzie znajdziemy materiały, nad którymi obecnie pracujecie w MagTop?

Podam trzy przykłady, a zainteresowanych szerszą informacją odsyłam do strony internetowej, gdzie opisujemy szczegółowo ponad 25 osiągnięć. Po pierwsze, jesteśmy w wyścigu o znalezienie majoran dla potrzeb informatyki kwantowej. Poszukujemy ich w tzw. nanodrucie kwantowym.

Druga nowa rzecz, którą MagTop podejmuje, to wykorzystanie jako topologicznych nośników informacji wirów w nadprzewodnikach. W tej chwili grupa, która się tym zajmuje, jest w stanie kontrolować pojedyncze wiry. To bardzo ciekawe, bo tak skonstruowana elektronika działa w bardzo niskich temperaturach i jest obiecująca ze względu na oszczędności energii.

Współpracujemy z firmą, która specjalizuje się w czujnikach podczerwieni i wykorzystuje materiały, które w pewnych warunkach są topologiczne. Oni sami nie wykorzystują jak dotąd tych właściwości, ale wspólnie przygotowujemy ciekawy patent. Detektory podczerwieni wymagają schładzania. Tymczasem materiały, nad którymi pracujemy, mogą wykorzystywać zjawisko termoelektryczne do obniżania temperatury. Można więc zbudować czujnik, który jednocześnie wykrywa promieniowanie podczerwone i sam się chłodzi. I to może pojawić się najszybciej w produkcie rynkowym.

Czy w takie badania warto inwestować właśnie w Polsce?

Na całym świecie trwa poszukiwanie talentów. To globalny wyścig o to, kto zgromadzi u siebie więcej mądrych ludzi. Polska często takie talenty traciła. Temu trzeba przeciwdziałać na dwa sposoby. Po pierwsze przez stworzenie bardzo dobrych warunków do pracy dla polskich uczonych. Druga metoda to ściąganie talentów z zagranicy. Ideą Międzynarodowych Agend Badawczych było otworzyć polskie uczelnie i laboratoria na większą liczbę przybyszów z zagranicy. I to się powiodło, u nas pracują naukowcy z 13 krajów.

Program MAB ma także na celu zmiany metod zarządzania nauką. Decyzje o zatrudnianiu szefów grup podejmuje nie nasza instytucja ani Instytut Fizyki PAN, ale Międzynarodowy Komitet Naukowy, więc wybór dokonywany jest obiektywnie i wyłącznie w oparciu o kwalifikacje kandydatów.

Kolejną istotną kwestią jest przybliżenie nauki do przemysłu nowych technologii. Kluczowym elementem programu była konieczność nawiązania takiej współpracy i to w naszym przypadku się udało.

Istotne jest też, że programy MAB są rozpisane na wiele lat. To pozwala na stworzenie masy krytycznej naukowców, którzy zajmują się danym zagadnieniem.

Czy jednak mamy szansę skorzystać na takich badaniach, skoro dziś większość przemysłu wysokich technologii to koncerny amerykańskie albo japońskie?

Niedawno polska firma Scope Fluidics sprzedała swoją technologię do USA za 170 mln dol. Oczywiście nie mamy polskiego Samsunga, choć Korea Południowa jest podobnej wielkości do Polski, można by sobie więc wyobrazić, że powinniśmy mieć podobną firmę. Potrzebny jest ogromny wysiłek naukowców i inżynierów, by tę sytuację odwrócić, ale myślę, że Polska już dokonała ogromnego postępu i można patrzeć optymistycznie w przyszłość. ©

Program Międzynarodowe Agendy Badawcze jest realizowany przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej ze środków funduszy strukturalnych w ramach Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój (POIR) 2014–2020, Działanie 4.3. Międzynarodowe Agendy Badawcze.

Więcej o wynikach badań z polskich laboratoriów w raporcie pt. „Nauka w czasach przemian. Jak badania finansowane z Funduszy Europejskich pomagają chronić nas przed globalnymi zagrożeniami i wykorzystywać historyczne szanse”: **www.fnp.org.pl**

HISTORIA

KRĄG FELCZAKA

Był kurierem, więźniem i naukowcem. Oraz wychowawcą: u schyłku PRL ukształtował poglądy licznej grupy ludzi. Minęło 30 lat od jego śmierci, a oni wciąż identyfikują się jako jego uczniowie.

JACEK TARAN

Gdy słyszą pytanie o Wacława Felczaka, odpowiadają podobnie, choć zupełnie od siebie niezależnie: „Był dla nas kompasem moralnym". „Autorytetem". „Wzorem człowieka i historyka". Oraz, wyjątkowo zgodnie: „On nas ukształtował". Jego dawni studenci, którzy niekiedy stali się także jego przyjaciółmi.

Etap pierwszy: kurier

Historykiem chciał być zawsze, ale długo nie było mu to dane.

Wacław Felczak, niemal rówieśnik niepodległej Polski (rocznik 1916), studiował historię w Poznaniu – i tam zaczęła się jego fascynacja dziejami Węgier. W 1938 r. trafił do Budapesztu, by tam przygotować pracę doktorską. Wybuch II wojny światowej zastaje 23-latka w rodzinnych Golbicach koło Łęczycy. Nie zostaje zmobilizowany, za to po klęsce wrześniowej nawiązuje kontakt z tworzącym się podziemiem – i to określi całe jego życie.

Dostaje zadanie: zorganizować w Budapeszcie placówkę łączności z władzami polskimi na uchodźstwie. Szybko awansuje na koordynatora kurierów: organizuje ich pracę, a także sam wiele razy bierze udział w misjach. Przewozi rozkazy, dokumenty, gotówkę. Budapeszt odgrywa rolę szczególną: tędy przechodzi większość poczty do oraz z okupowanego kraju. On odpowiada za jej bezpieczeństwo.

W 1941 r. zostaje aresztowany, ale po wstawiennictwie węgierskich naukowców opuszcza więzienie. Na przełomie 1941/42 r. organizuje nowy system łączności. W 1944 r. tworzy kolejny szlak między Warszawą a Londynem. Aresztowany latem 1944 r. przez policję węgierską, ucieka, skacząc z okna aresztu. Przy okazji łamie nogę, po czym przez dwie doby czołga się, by dotrzeć do kryjówki na Słowacji (utykać będzie do końca życia). Stąd dostaje się do Polski, przez kilka tygodni walczy w Gorcach w szeregach AK, po czym wraca do służby kurierskiej.

Po wojnie zostaje w konspiracji. Historyk Henryk Wereszycki, który przyjmie go na asystenturę w latach 50., będzie mówić o nim: „Wacio jak wszedł do konspiracji, to nigdy z niej nie wyszedł".

Etap drugi: więzień

We wrześniu 1945 r. dociera do Londynu, gdzie zdaje raport polskim władzom z likwidacji Państwa Podziemnego. I nadal kursuje między Zachodem a pogrążającą się w sowietyzacji Polską. W międzyczasie na Sorbonie powraca do pisania pracy doktorskiej. Gdy jednak władze na uchodźstwie zgłaszają potrzebę budowy nowej siatki łączności z krajem, idzie znów przez zielone granice do Polski.

Podejmuje się misji niemożliwych, których nikt podjąć się nie chce. W sierpniu 1946 r. przywozi do Polski pieniądze dla kierownika Delegatury MSW w Krakowie Mieczysława Pszona (potem redaktora „Tygodnika") i organizuje siatkę łączności Warszawa-Paryż-Londyn. W listopadzie 1946 r. znów jest w Londynie, w grudniu znowu w Polsce. Ukrywa się do marca 1947 r., po czym wraca na Zachód, gdzie próbuje kontynuować doktorat.

W 1948 r. na prośbę przyjaciela Tadeusza Chciuka „Celta" organizuje przerzut jego rodziny na Zachód. Wtedy też z Felczakiem kontaktuje się przebywający już poza Polską prezes PSL Stanisław Mikołajczyk. Prosi go o zorganizowanie przerzutu na Zachód działaczy PSL, którym grozi więzienie. Felczak sam jest już wtedy poszukiwany przez bezpiekę.

Grupę działaczy PSL ma osobiście przejąć w Czechosłowacji od kurierów z Polski. To już się nie udaje, wszystkich zatrzymuje czechosłowacka bezpieka. Felczak podejmuje próbę ucieczki i znów łamię nogę. Tym razem nie ma szczęścia.

W lutym 1949 r. zostaje przekazany Urzędowi Bezpieczeństwa. Czekają go przesłuchania. Torturowany, zachowuje jasność umysłu i niezłomność. Ze śledczymi prowadzi grę, by skierować ich podejrzenia na ślepe tory, a samemu jak najwięcej się od nich dowiedzieć.

Skazany na dożywocie, wyrok odsiaduje w mających złą sławę więzieniach w Rawiczu i Wronkach.

Na mocy ogłoszonej przez komunistów amnestii jego wyrok zostaje zmniejszony do 12 lat. W październiku 1956 r. ze względów zdrowotnych dostaje roczną przerwę w odbywaniu kary. Do więzienia już nie wraca. W 1957 r. kwalifikacja zarzucanych mu czynów zostaje zmieniona i kara uznana za odbytą.

Etap trzeci: historyk

Jego przyjaciel Andrzej Rozmarynowicz zaprasza go do Krakowa. W liście pisze mu: „Mam wolny pokój (...) możesz zostać, jak długo zapragniesz. Organizuje się Tygodnik Powszechny. Może tam znalazłbyś miejsce?".

KONRAD K. POLLESCH / ARCHIWUM NAUKI PAN I PAU

Wacław Felczak (z lewej), Henryk Wereszycki i Elżbieta Orman w mieszkaniu Wereszyckich. Kraków, ok. 1990 r.

Felczak jest wtedy 42-letnim magistrem, schorowanym, o siwych włosach i wyglądzie starca. Z „Tygodnikiem" współpracuje sporadycznie, publikując teksty, m.in. wspomnienia z Węgier. Losy zawodowe i naukowe wiąże z UJ – na swojego asystenta przyjmuje go profesor Wereszycki w Katedrze Historii Powszechnej Nowożytnej i Najnowszej.

Przyjęcie do pracy byłego więźnia politycznego, magistra bez dorobku naukowego, było uniwersytecką sensacją i aktem odwagi ze strony Wereszyckiego. Postawił wówczas Felczakowi warunek: rezygnacja z działalności politycznej. Felczak słowa dotrzymywał aż do lat 80., kiedy włączył się w działania opozycji demokratycznej.

Przez cały ten okres, aż do 1989 r., pozostaje w kręgu zainteresowań bezpieki. Jest śledzony, podsłuchiwany. Wielokrotnie utrudnia mu się wyjazdy na Węgry, blokuje jego awans naukowy. Nad Dunaj zaczyna wyjeżdżać częściej dopiero w drugiej połowie lat 70. – i, jak się okaże, odegra tam istotną rolę w formowaniu się demokratycznej opozycji, która w 1989 r. przejmie władzę na Węgrzech.

Jego pisemny dorobek naukowy nie jest imponujący pod względem liczby artykułów czy książek. Pisanie nie przychodziło mu łatwo, był skrupulatny w kwerendach, w poszukiwaniach w archiwach. Dodatkowym utrudnieniem, a może jednym z ważniejszych, była ↦

↦ konieczność kompromisu z cenzurą, co nie mieściło się w jego naturze.

Jego pasją były bardziej wykłady, opowieści o historii. Wychował sobie grono uczniów, studentów, często z innych wydziałów, którzy tłumnie przychodzili na jego zajęcia.

Seminaria, które prowadził, często miały ciąg dalszy w krakowskich kawiarniach. Zapraszał studentów do „Noworola", Wierzynka czy w latach późniejszych do klubu Feniks. Tak powstał nieformalny „klub Felczaka", w którym – przy węgierskim winie i w kłębach papierosowego dymu – tworzyła się więź i relacja mistrz-uczeń.

Elżbieta Orman: – Dużo palił, ale papierosy też były eleganckie, o ładnym zapachu.

Etap czwarty: wychowawca

Dziś to oni przechowują o nim pamięć.

Prof. Elżbieta Orman, historyczka PAN i redaktorka Polskiego Słownika Biograficznego, była jego seminarzystką, a później współpracowniczką i przyjaciółką. – Ukształtował mnie jako historyka, wskazywał kierunki, inspirował – mówi „Tygodnikowi".

Janusz Pezda, dziś profesor i historyk UJ, wówczas student, a pod koniec życia również opiekun Felczaka, opowiada: – Kiedyś jako szef koła naukowego studentów historii poprosiłem go o wykład na temat powstania listopadowego. Profesor zaczął mówić jednak o „szpitalu", jak nazywał więzienia, w których przebywał. Opowiadał, że uratowała go wiara, że to stan przejściowy. Mówił o strasznych przesłuchaniach, o oblewaniu zimną wodą przy wybitym oknie. Przypominał opowieści starszych więźniów, którzy ostrzegali, że jak zacznie słyszeć dzwony, stojąc 24 godziny na nogach oblewany wodą, to znak, że traci zmysły.

– Opowiadał też – dodaje prof. Pezda – jak kiedyś przypadkowo zobaczył swoje odbicie w lustrze i nie rozpoznał się. Stał przed nim siwy, zgarbiony starzec. Tak zmieniło go więzienie.

Christoph von Marschall, dziś znany niemiecki dziennikarz, uczył się wtedy na UJ i był studentem Felczaka od października 1983 r. do końca roku 1984. Mówi „Tygodnikowi": – Seminaria z nim to była wyspa wolności w ówczesnej Polsce. Każdy mógł bez obaw powiedzieć, co myśli. Nie krytykował, nie oceniał poglądów. Wiedzieliśmy o jego przeszłości, że narażał życie w czasie wojny i później. Był dla mnie autorytetem, symbolem niezłomności. Dowodem, że nie można iść na kompromisy, układać się z władzą dla doraźnych korzyści. Niektórzy tak robili, ale on nigdy.

ARCHIWUM NAUKI PAN I PAU

Zdjęcie z karty informacyjnej w związku ze zwolnieniem Felczaka z więzienia. Wronki, 1956 r.

Felczak lubił też wspólne wędrówki po górach. Bartłomiej Sienkiewicz, dziś polityk Platformy Obywatelskiej, opowiada: – Nasz bliższy kontakt zaczął się, gdy wspólnie wspinaliśmy się w Tatrach. W domu w Zakopanem spaliśmy na strychu [chodzi zapewne o dom Jana Krzysztoniaka na Karpielówce koło Zakopanego – red.]. Miał tam sypialnię i gabinet, a my spaliśmy na podłodze. Jeździł tam często, dopóki zdrowie mu pozwalało.

– Mówił też o tym, za co pokochał Węgry – wspomina Sienkiewicz. – Dostrzegał w nich głęboki rys rozpaczy. Mówił, że są narodem samobójców. Ten gen autozagłady uważał za łącznik Węgrów i Polaków.

– W tych rozmowach zacierały się różnice wieku i hierarchii społecznych, traktował nas po partnersku – dodaje Sienkiewicz. – Miał w sobie ciepło i wyrozumiałość, która skłaniała nas do szczerości. Przy nim nie dało się udawać. Był kimś zupełnie osobnym, choćby na tle Instytutu Historii UJ. Był instytut i był Felczak.

Etap piąty: Fidesz

W latach 80. Felczak często wyjeżdża na Węgry. W 1987 r. w jednym z klubów studenckich w Budapeszcie wygłasza wykład o polskich doświadczeniach walk o wolność. Po wykładzie młody prawnik nazwiskiem Viktor Orbán prosi go o radę dotyczącą kierunków działania opozycji.

Felczak mówi: „Załóżcie partię polityczną. Może was wsadzą do więzienia, ale to już nie potrwa długo". W marcu 1988 r. Orbán wraz z kolegami zakłada Związek Młodych Demokratów Fidesz (w 1991 r. Felczak zostanie honorowym członkiem Fideszu).

Przyjaciele wspominają, że mimo częstych kontaktów i inspirujących dla Węgrów działań, Felczak nie zawsze miał dobre zdanie na temat działań węgierskich dysydentów. Elżbieta Orman pamięta jego opinie na ten temat: – Mówił, że opozycja węgierska jest błotnista jak jezioro Balaton. Nie chcę mówić, co sądziłby dziś o Orbánie. Byłby rozczarowany jego koniunkturalizmem.

Podczas wizyty w Budapeszcie w 2015 r., już po aneksji Krymu i rozpętaniu przez Rosję wojny w Donbasie, Putin złożył wieniec pod pomnikiem żołnierzy Armii Czerwonej. Na tym samym cmentarzu pochowani są żołnierze sowieccy pacyfikujący powstanie węgierskie w 1956 r. Felczak nie byłby tym zachwycony.

Etap szósty: w wolnej Polsce

W Instytucie Historii UJ utarło się tytułować Felczaka profesorem, choć jego nominacja była długo odkładana. Profesorem belwederskim zostaje dopiero w wolnej Polsce, dosłownie pod koniec życia. Nominację z rąk prezydenta Wałęsy odbiera 4 października 1993 r., a dwa dni potem trafia do szpitala, z którego już nie wraca. Data to symboliczna: dla Węgrów dzień żałoby narodowej, tego dnia w 1849 r. zamordowano 13 węgierskich generałów biorących udział w zrywie wolnościowym przeciw Austrii (symbolicznych dat będzie za chwilę więcej).

Ákos Engelmayer – węgierski historyk, w latach 1990-95 ambasador Węgier w Polsce i przyjaciel Felczaka – opowiada „Tygodnikowi" o przyjęciu, które wydano w ambasadzie węgierskiej na cześć profesora tuż po nominacji: – W pewnym momencie zaczął mówić słowa, po których zorientowaliśmy się, że to jego testament polityczny. Mówił, jak widzi współpracę polsko-węgierską, jak widzi przyszłość Europy. Opowiadał się za całkowitym odrzuceniem nacjonalizmów. Był twardym przeciwnikiem mieszania

Wacław Felczak podczas jednego z pierwszych wyjazdów na Węgry, 10 kwietnia 1939 r.

Wacław Felczak z Ewą Chciuk i jej córką po przerzuceniu rodziny Chciuków na Zachód. Austria, październik 1948 r.

ARCHIWUM NAUKI PAN I PAU X2

nacjonalizmu z patriotyzmem. Uważał, że tylko współpraca między narodami i zacieśnianie więzi może przynieść długoterminowe korzyści.

Do przemian po 1989 r. podchodził pragmatycznie. Bartłomiej Sienkiewicz wspomina jego troskę o przyszłość kraju: – Zastanawiał się, na czym oprze się gospodarka. Co zrobić z przestarzałym przemysłem, który jeszcze długo miał nie być konkurencyjny dla Zachodu. Miał świadomość, że niepodległość to nie tylko idea, ale też rzeczywistość ze wszystkimi problemami, które trzeba będzie rozwiązać. To było zaskakujące u kogoś, kto koncentrował się w swoim życiu zawodowym i naukowym na idei narodowej. Zapamiętałem to, bo zaskoczyła mnie ta troska o praktyczną przyszłość.

Do tego dołączyło się uczucie rozczarowania. Ubolewał nad brakiem rozliczenia zbrodni komunistycznych, postulował ogłoszenie „listy hańby" zawierającej nazwiska komunistycznych oprawców. Krytykował miałkość klasy politycznej.

W jednym z listów z 1989 r. do przyjaciela Tadeusza Chciuka pisał: „Nieuczciwość, niedbałość i chamstwo stały się cechami nagminnymi". W innym, wysłanym dwa lata później po wyborach z 1991 r.: „Społeczeństwo zobojętniałe (...) niedojrzałe do rozwiązywania prawdziwych problemów, pozbawione przywódców z prawdziwego zdarzenia. Trzódka się rozsypała, z braku bacy wymądrzają się juhasi, a jeden głupszy od drugiego. Kampania wyborcza w telewizji to istny horror głupoty, złej woli i zarozumialstwa".

■■■

Umiera 23 października 1993 r. To znów dzień dla Węgrów symboliczny: rocznica wybuchu powstania w 1956 r.

Zostaje pochowany na zakopiańskim cmentarzu na Pęksowym Brzyzku. Podczas pogrzebu Stanisław Marusarz – olimpijczyk i podkomendny Felczaka z czasów wojny – umiera na zawał serca w czasie odczytywania mowy pożegnalnej. Osuwa się w ramiona Engelmayera.

– To było tak silne, symboliczne przeżycie – wspomina Engelmayer. – Tatry zaszły mgłą i chmurami, a Marusarz padł prosto w moje objęcia. Nie wytrzymał wzruszenia. To dla nas wszystkich było pożegnanie jednego z najważniejszych przyjaciół.

– Kiedy dziś przyjeżdżam do Krakowa, dla mnie już nie jest to ten sam Kraków, co za życia Felczaka – dodaje Engelmayer. – On był wizjonerem, potrafił przewidywać kierunki rozwoju polityki, podpowiadać rozwiązania. W 1990 r. na spotkaniu po pierwszych wolnych wyborach na Węgrzech, w obecności pierwszego premiera po upadku komunizmu Józsefa Antalla, powiedział, że głównym celem polityki Węgier powinno być dołączenie do NATO. W Polsce w oficjalnej polityce jeszcze się o tym nie mówiło. Myślę, że nie rozumiałby, co robi dziś Orbán. Wizyta węgierskiego ministra spraw zagranicznych na Białorusi w lutym tego roku to hańba dla Węgier. Chcę wierzyć, że Wacław Felczak myślałby tak samo.

©℗ JACEK TARAN

Korzystałem z książki Wojciecha Frazika „Emisariusz wolnej Polski – biografia polityczna Wacława Felczaka" oraz z artykułu Filipa Musiała „Misje Wacława Felczaka" („Tygodnik Powszechny" nr 9/2015).

MARCIN STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL / MATERIAŁ PARTNERA

Marta Madejska przy krosnach w Muzeum Fabryki w Manufakturze w Łodzi, 2018 r.

Troska i trwanie. Dwanaście lat przygody z archiwistyką społeczną w Łodzi

MARTA MADEJSKA

Archiwistyka społeczna może pomóc nam się nauczyć, jak być społecznością. Dokumenty nie tylko opowiadają historię, są przede wszystkim świadectwem życia.

MATERIAŁ PARTNERA

Ta opowieść wcale nie zaczyna się dwanaście lat temu w Łodzi. Być może zaczęła się na wiele lat przed moim urodzeniem, gdy moje przodkinie opowiadały swoim córkom o uciekaniu przed wojnami, wojennym okrucieństwie, pracy w lazarecie, dawnych sąsiadach, przyjaciółkach, zabawnych psach i krnąbrnych kotach, o których mówiło się u nas tak samo dużo jak o każdym innym zmarłym członku rodziny.

Dzisiaj już wiem, jak ważny jest każdy akt opowiadania i że uważne słuchanie może otwierać zasklepione dotąd ścieżki. Za zwyczajną anegdotą o chlebie albo o czerwonym sweterku, którą rodzina rozmówcy – jak jej się wydaje – zna już do znudzenia, mogą stać dużo większa historia lub nieprzepracowane doświadczenie. Czasami naprawdę wystarczy nie przerywać.

Przejazd i Nawrot

Cztery lata po mojej przeprowadzce do Łodzi przyłączyłam się do Stowarzyszenia Topografie. Był rok 2010 i rozpoczęliśmy nasz pierwszy projekt zbierania historii mówionych. Tę datę przyjmuję za początek archiwum społecznego, działającego oficjalnie od 2014 r. pod nazwą Cyfrowe Archiwum Łodzian Miastograf.pl. Mój pierwszy rozmówca był z rocznika 1919 i opowiadał mi o międzywojennej, wielokulturowej Łodzi, wspominanej przez pryzmat drobnych, lecz intensywnych fragmentów codzienności. Zapach ulicznego jedzenia, kupowanie śledzi od żydowskich sprzedawców, przewóz towaru ulicami Przejazd i Nawrot (dziś ta pierwsza nosi imię Tuwima, przez co zatarto pierwotny zamysł planistyczny), nieistniejące już synagogi (zburzone jesienią 1939 r.), krajobraz ówczesnych Bałut.

Stowarzyszenie Topografie, które powstało w 2007 r. jako organizacja studencka, miało za cel zapoznawać mieszkańców Łodzi z własnym miastem, którego przemysłowa historia rzadko mieści się w podręcznikach czy oficjalnych narracjach medialnych. Powstanie stowarzyszenia było aktem sprzeciwu wobec tego stanu rzeczy, a swoje zamierzenia realizowaliśmy za pomocą gier miejskich, projektów artystycznych, inicjatyw partycypacji społecznej czy festiwalu „Miastograf" (stąd ostateczna na-

zwa naszego archiwum). Wyszliśmy od działania opartego na eventach, na epizodycznych i efemerycznych projektach uzależnionych od zdobywanych (zwykle niewielkich) dotacji dla NGO. Zaczynaliśmy od nieustającej burzy mózgów, kreatywnego, ale często trudnego ścierania się wszystkich osobowości w to zaangażowanych, a po kilkunastu latach dojrzewania (zarówno organizacyjnego, jak i personalnego) dotarliśmy do momentu, kiedy jednymi z naszych najważniejszych zadań wydają się troska i trwanie – zapewnienie ciągłości naszej pracy i zabezpieczenie zebranych materiałów. Robimy to w sytuacji ciągłej niestabilności finansowej, na uboczu pracy etatowej, zleceń i życia prywatnego, w dobie coraz bardziej zaawansowanych możliwości cyfrowych, w świecie raptownie zmieniającym się i pogrążającym w rozmaitych kryzysach, w realiach odradzającego się, ale jednocześnie wyludniającego się miasta.

Z szuflady

Od momentu uruchomienia Cyfrowego Archiwum Łodzian Miastograf.pl systematycznie trafiają na ten portal fragmenty zebranych historii mówionych z projektów tematycznych dotyczących najstarszych łodzian i łodzianek, rzemieślników, ludzi kultury, biografii akademickich i robotniczych. Ponadto – całe kolekcje zdjęć przekazane nam przez konserwatora zabytków albo przez osoby prywatne, które pasjonowały się fotografią lub przestrzenią miejską. Niektóre zdjęcia zgromadzone na portalu chwytają rzeczywistość dosłownie na pięć minut przed wielkimi zmianami w strukturze miasta. Wszystkie elementy – wspomnienia i wizualia – są powiązane z mapą.

Od czasu powstania nasze archiwum rozrosło się do całej rodziny stron internetowych. Chociaż naszym marzeniem jest, aby wszystkie te portale tematyczne połączyć w jeden, nie pozwala na to specyfika finansowania takich projektów. W obecnym systemie liczy się tzw. efekt nowości, a nie – kontynuowanie i rozbudowywanie cz goś, co już istnieje. W efekcie popularyzujemy historię Łodzi nie tylko przez Miastograf, lecz także przez siostrzane portale: przez fabrykiprl.pl, opisujący przemysłowe dziedzictwo naszego miasta, refotografie.pl, gdzie można przejrzeć prawie 400 zestawień zdjęć wykonanych z tego samego miejsca na przestrzeni dziesiątek lat (autorem zdjęć współczesnych i animacji jest Stefan Brajter), oraz stronę popiotrkowskiej.pl, będącą audioprzewodnikiem po głównej ulicy Łodzi. Najnowszym dodatkiem do grupy medialnej naszego archiwum jest – uruchomiony w październiku 2022 r. – portal zabytkilodzi.pl, który w finalnej formie powinien się stać wirtualnym rejestrem łódzkich zabytków.

W POLSCE DZIAŁA PONAD 700 ARCHIWÓW SPOŁECZNYCH. Zajmują się gromadzeniem starych zdjęć, relacji historii mówionej czy dokumentów dotyczących lokalnej społeczności. Opracowują i udostępniają swoje zbiory, a Centrum Archiwistyki Społecznej wspiera ich w tych działaniach.

Po dwunastu latach działania mamy coraz więcej chętnych do opowiadania historii, które jeszcze dekadę temu dość powszechnie uznawano za nieważne i nieinteresujące. Coraz więcej osób decyduje się też na udostępnianie fotografii z prywatnych zasobów, a przecież jeszcze do niedawna takie zdjęcia uchodziły za banalną zawartość domowych szuflad. Dzisiaj można już powiedzieć, że nasze działanie ma jednocześnie wymiar symboliczny i praktyczny. Chcieliśmy uzupełnić białe plamy w opowieści o mieście, ale chyba się nie spodziewaliśmy, że uda się – razem z innymi organizacjami w Łodzi – uczestniczyć w przywracaniu zerwanych sieci społecznych.

Nie spodziewaliśmy się również, że okażemy się instancją pierwszego kontaktu i asystą archiwistyczną dla wielu osób, które żmudnie poszukują dokumentów z dawnych zakładów pracy do wyznaczenia stawki emerytalnej, gdyż losy archiwów zakładowych w chaosie prywatyzacji i likwidacji przemysłu były zawikłane i niejasne. Okazuje się, że możemy być bardzo praktycznym wsparciem tylko dlatego, że znamy historię danej fabryki i umiemy dotrzeć do spisów obecnych przechowawców akt.

A co, jeśli to zaginie?

Zadaję sobie to pytanie, ilekroć słyszę o pożarze w jakimś archiwum czy muzeum albo o aktach zalanych przez powódź. Wojna w Ukrainie uruchomiła w nas kolejny szereg refleksji dotyczących kruchości ludzi i rzeczy wobec działań zbrojnych, zwłaszcza wśród osób, które zajmowały się cywilną historią II wojny światowej.

Odpowiedź jest jednak nadspodziewanie prosta i konstruktywna – troska i trwanie przeciwdziałają rozpadowi w sposób uniwersalny i pozbawiony ram czasowych. Zbierane dzisiaj materiały i opowieści są ważne, ponieważ uczymy się z nich nie tylko o historii (w skali mikro i makro), lecz także po prostu o życiu. O jego meandrach, wahaniach między decyzyjnością i celowością działań a przypadkiem i niespodziewaną tragedią. Być może archiwistyka społeczna może pomóc nam w uczeniu się, jak być społecznością. ©

MARTA MADEJSKA – *z wykształcenia kulturoznawczyni, z zawodu kwerendzistka i asystentka muzealna, z pasji pisarka i redaktorka. W Łódzkim Stowarzyszeniu Inicjatyw Miejskich Topografie zajmuje się głównie projektami dotyczącymi archiwistyki społecznej i historii mówionej. Autorka książki reportażowej „Aleja Włókniarek" (Czarne, Wołowiec 2018).*

Autorski skrót eseju z „Podręcznika dla archiwistów społecznych", wydawca: Centrum Archiwistyki Społecznej, więcej na: **CAS.ORG.PL/PODRECZNIK**

centrum archiwistyki społecznej

Realizacja projektu pn. Publikacja podręcznika dla archiwistów społecznych. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

NAUKA

NIEPOKOJĄCO CZYSTA SZYBA

Wielu kierowców zauważa, że kiedyś na ich autach rozbijało się więcej owadów niż dziś. Solidna nauka wydaje się mówić to samo. Gdzie te owady i co możemy zrobić, żeby wróciły?

JUSTYNA KIERAT

EASAINT / STOCKIMO / ALAMY / BE&W

Owady są cichymi bohaterami w przyrodzie. Z efektów ich pracy korzystamy na co dzień, nie zawsze zdając sobie z tego sprawę. Jedna z ich bardziej znanych ról to zapylanie roślin, do którego przyczyniają się pszczoły, motyle (przede wszystkim nocne), muchówki, chrząszcze i wiele innych. Z pomocy zwierząt przy zapyleniu korzysta niemal 80 proc. żyjących w naszej strefie klimatycznej roślin okrytonasiennych. Owady żyjące w wodzie mogą służyć jako wskaźniki stopnia czystości wód (są to tak zwane bioindykatory), ale mogą też same na tę czystość wpływać.

Jednym z zagrożeń dla ekosystemów wodnych jest przenawożenie, czyli zbyt duża ilość znajdującej się w wodzie materii organicznej. Owady wodne, zjadając ją i wbudowując w swoje ciała, usuwają z toni jej nadmiar. Co więcej, jeśli są to gatunki spędzające tylko część swojego cyklu życiowego w wodzie, to wraz z wyjściem na ląd przenoszą tam zmagazynowane w swoim organizmie związki organiczne, a umierając, przyczyniają się do zwiększenia żyzności w innych ekosystemach.

Na lądzie ogromną rolę w przemieszczaniu materii organicznej odgrywają mrówki, których liczebność – według publikacji z czasopisma „PNAS" z 2022 r. – wynosi mniej więcej 20 biliardów osobników, a ich biomasa (innymi słowy, sumaryczna waga) jest większa niż biomasa wszystkich dzikich ssaków i ptaków łącznie. Mrówki użyźniają glebę, mieszając i wciągając pod ziemię inne bezkręgowce i rośliny, którymi się żywią.

Trudno byłoby nie docenić roli owadów jako pokarmu dla innych zwierząt. Szacuje się, że około 60 proc. ptaków ma w swej diecie owady. Jak twierdzi Michel Génard ze współpracownikami w opublikowanej w 2017 r. pracy, jeden osobnik sikory bogatki łapie średnio 12-23 g owadów, jeśli nie ma pod opieką potomstwa. Jeśli wychowuje pisklęta, to liczba ta może wzrosnąć aż do 34 g. W skali roku daje to ponad 6 kg owadów potrzebnych jednej sikorce.

Owady uchodzą za zwierzęta w większości pospolite, niezagrożone i jeśli wymagające jakichś zabiegów, to raczej zwalczania niż ochrony. Są oczywiście wyjątki. W Polsce 57 gatunków jest objętych ochroną ścisłą, a 106 – częściową i są wśród nich takie powszechnie znane (choć mniej powszechnie spotykane!) gatunki jak paź żeglarz, niepylak apollo czy jelonek rogacz. Co jednak z pozostałymi około 30 tys. znanych gatunków owadów żyjących w Polsce? W ostatnich latach naukowcy coraz bardziej zaczynają sobie uświadamiać, że sytuacja owadów, również tych dotychczas pospolitych, może być o wiele mniej optymistyczna, niż by się nam wydawało.

Ten glut na aucie

Mniej więcej na początku lat dwutysięcznych zaczęto opisywać tzw. „zjawisko czystej przedniej szyby samochodu": kierowcy zauważali, że coraz mniej owadów rozbija się o przednią szybę ich pojazdu. John Acorn, tropiąc na łamach „The American Entomologist" z 2016 r. początki zainteresowania tym zjawiskiem, dotarł do publikacji Marka Hostetlera z 1996 r., zatytułowanej „That Gunk on Your Car: A Unique Guide to the Insects of North America", czyli „Ten glut na twoim aucie: wyjątkowy przewodnik po owadach Ameryki Północnej".

Acorn w swoim felietonie podał w wątpliwość, czy na podstawie liczby owadów rozbijających się na samochodach można wysnuwać daleko idące wnioski na temat trendów ich populacji. Rzeczywiście, przypadkowe, niesystematyczne obserwacje bywają bardzo mylące. Możliwe są inne przyczyny powstania „efektu czystej szyby": być może samochody są dziś bardziej aerodynamiczne niż kiedyś? Również pamięć bywa zawodna, a w tym przypadku kierowcy nie porównywali bezpośrednio stanu obecnego z przeszłym, tylko stan obecny ze swoimi wspomnieniami. Chociaż przypadkowe obserwacje mogą być pierwszym krokiem do ważnych odkryć, do ich potwierdzenia potrzebne są jednak rzetelnie ↦

↦ zaprojektowane i przeprowadzone badania naukowe.

Największym echem, nie tylko w środowisku entomologów i ekologów, ale i wśród opinii publicznej, odbiły się dwie duże prace – pierwsza opublikowana w 2017 r. w „Plos One", a kolejna dwa lata później w „Nature". Choć tylko potwierdzały to, co wielu widziało lub przypuszczało, były uderzające z uwagi na swój rozmach oraz skalę udokumentowanych zmian. Zespół pod kierunkiem Caspara Hallmanna przez 27 lat mierzył biomasę owadów latających, łapiących się w specjalne pułapki, działające stale przez cały sezon, na terenie 63 obszarów chronionych w Niemczech. Ponad połowa powierzchni badawczych była badana jednokrotnie, żeby sam fakt masowego odławiania owadów przez wiele lat nie wpłynął negatywnie na ich liczebność. Na pozostałych prowadzono odłowy przez dwa, trzy lub cztery lata.

Następnie przeprowadzono analizę sprawdzającą, jak biomasa łapanych owadów zmieniała się z czasem. W analizie wzięto też pod uwagę wiele czynników mogących wpływać na wyniki, takich jak warunki pogodowe, skład gatunkowy roślin czy udział lasów i pól uprawnych w bezpośrednim otoczeniu miejsca badań. Okazało się, że w trakcie trwania badań biomasa łapanych owadów spadła o około 76 proc. Tempo zmniejszania się biomasy owadów było bardzo podobne, kiedy analizowano zmiany na powierzchniach badanych kilkukrotnie. To potwierdzało, że uzyskane wyniki nie są efektem tego, że w latach późniejszych z jakiegoś powodu wybierano uboższe powierzchnie niż na początku. Owadów latających rzeczywiście z czasem było coraz mniej.

Wyniki te były niepokojące nie tylko ze względu na skalę zaobserwowanego efektu, ale również na fakt, że badania prowadzono na obszarach chronionych. Jeśli w takich miejscach, w których negatywny wpływ działalności człowieka powinien być stosunkowo mały, było tak źle, to co może się dziać gdzie indziej?

Opublikowane dwa lata później przez zespół Sebastiana Seibolda badania trwały 9 lat i obejmowały 290 powierzchni badawczych – 140 w lasach i 150 na terenach otwartych. 110 spośród powierzchni leśnych było badanych trzykrotnie (w 2008, 2011 i 2014 r.), a wszystkie pozostałe – co roku. Zamiast rozstawiania całosezonowych pułapek jak w badaniach Hallmanna, tutaj łapano owady w siatki entomologiczne w czasie dwóch kontroli w roku. Badano wszystkie stawonogi (a więc, oprócz owadów, również np. pająki, kosarze czy wije) i odnotowywano nie tylko biomasę, ale również liczbę osobników i różnorodność gatunkową. Do analiz weszły dane o ponad milionie stawonogów.

EASAINT / STOCKIMO / ALAMY / BE&W

Niektóre owady giną dopiero, gdy zrównamy ich środowisko życia z ziemią.

Dla innych katastrofą jest już zmiana terminu koszenia trawy.

Podobnie jak w badaniach Hallmanna, udokumentowano zmniejszanie się populacji stawonogów w czasie. Na terenach otwartych biomasa spadła o 67 proc., liczba osobników – o 78 proc., a liczba gatunków – o 34 proc. W lasach było nieco lepiej, jednak liczba osobników i ich biomasa również się zmniejszały. Zauważono też, że tendencje spadkowe dotyczyły nie tylko gatunków rzadkich (najbardziej wrażliwych na negatywne wpływy czynników środowiskowych), ale dotknęły również tych pospolitych i licznych. Warto zauważyć, że u niektórych gatunków odnotowano przeciwny trend: w siedliskach leśnych niektórych pospolitych stawonogów (wśród nich – gatunków inwazyjnych) było coraz więcej.

Badania na lata

Prace Hallmanna i Seibolda odbiły się głośnym echem wśród zainteresowanych losami przyrody, jednak nie były to bynajmniej jedyne badania na temat liczebności owadów. Publikacji dokumentujących zmiany owadzich populacji jest całkiem sporo, a kolejne badania cały czas trwają. Ich wyniki wcale nie są jednoznaczne. Tempo i skala zmian liczebności owadów w poszczególnych rejonach świata, a także ich przyczyny, bywają przedmiotem gorących debat i kontrowersji. Rzetelne zbadanie trendów w populacjach owadów wcale nie jest tak łatwe, jak mogłoby się wydawać.

Już samo policzenie osobników na wielu powierzchniach i w różnym czasie, tak by dało się porównać ze sobą wyniki z poszczególnych liczeń, jest skomplikowanym przedsięwzięciem. Obecność owadów zmienia się bardzo mocno zarówno w ciągu roku, jak i w zależności od pory dnia i pogody, a nawet drobne różnice pomiędzy siedliskami mogą powodować, że będą w nich żyć inne gatunki. Populacje owadów mogą również doświadczać naturalnych fluktuacji liczebności – jej zmniejszenie nie zawsze jest sygnałem, że dzieje się coś złego, ale może być po prostu „owadzim niżem demograficznym", po którym nastąpi powrót do pierwotnego stanu. W efekcie z jednej strony można dopatrzeć się w badaniach trendu spadkowego, który w rzeczywistości wcale nie jest wymieraniem, a z drugiej – prawdziwe wymieranie może długo pozostać niezauważone.

Utrudnieniem w badaniach jest też konieczność prowadzenia porównywalnych obserwacji przez długi czas. Dobrej jakości danych sprzed 10, 50 czy 100 lat nie ma tak wiele (a im dalej cofamy się w czasie, tym o nie trudniej). Duże zainteresowanie problemem wymierania owadów w ostatnich latach spowodowało zainicjowanie różnych programów badawczych, jednak na ich wyniki będziemy musieli poczekać przynajmniej kilka czy kilkanaście lat. Może się okazać, że owady nie mają aż tyle czasu. Jeśli nie chcemy ryzykować, że za kilkanaście lat potwierdzimy ponad wszelką wątpliwość, że sytuacja jest poważna, ale jednocześnie nie będzie się już dało jej odwrócić,

trzeba działać już teraz. Jak trafnie ujęli to Matthew Forister i współautorzy w artykule opublikowanym w 2019 r. w „Conservation Science and Practice", wiemy wystarczająco dużo, by działać.

Nawet jeśli sytuacja owadów nie jest tak zła, jak obecnie uważamy, to ich ochrona z pewnością wyjdzie im na dobre. Ponieważ skuteczna ochrona owadów powinna polegać przede wszystkim na dbaniu o jakość ich siedlisk, to przy okazji skorzysta również dużo innych grup zwierząt i roślin, które odnotowują spadki swojej liczebności. Mówi się wręcz o „szóstym wielkim wymieraniu", co nawiązuje do poprzednich wielkich wymierań w historii Ziemi (w jednym z nich wyginęły dinozaury). Z kolei, jeśli czarne scenariusze kreślone przez badania Hallmanna i Seibolda się potwierdzą, to brak działań może prowadzić do tragicznych skutków.

Braki ciemności

Czynników, poprzez które człowiek negatywnie oddziałuje na owady, jest zaskakująco dużo. Gdyby spytać o nie entomologów, wśród odpowiedzi z pewnością na jednym z pierwszych miejsc pojawi się utrata i przekształcanie siedlisk. Pod tym hasłem kryje się spektrum zmian, od tak katastrofalnych jak zniszczenie fragmentu łąki czy lasu pod budowę drogi, zmianę charakteru danego siedliska np. poprzez zarastanie lasem cennych muraw kserotermicznych (czyli ciepło- i sucholubnych) czy zagospodarowanie terenu pod uprawy rolne, po pozornie drobne zmiany, takie jak „uporządkowanie" miejskiego parku poprzez zamianę dzikiej roślinności na nisko koszone trawniki i klomby z ozdobnymi kwiatami. Gatunki różnią się między sobą wrażliwością na zmiany środowiska. Dla niektórych dopiero zrównanie z ziemią miejsca, gdzie żyły, będzie oznaczać katastrofę. Inne ustąpią z zajmowanego przez siebie siedliska pod wpływem zmiany terminów koszenia czy wyginięcia kilku kluczowych dla nich gatunków roślin. Większość gatunków znajduje się gdzieś pomiędzy tymi dwiema skrajnymi możliwościami.

Zmiany klimatu oddziałują na całą przyrodę i trudno byłoby podejrzewać, że owady, zmiennocieplne organizmy tak bardzo uzależnione od warunków pogodowych i zmian pór roku, będą tutaj wyjątkiem. Rzeczywiście, udokumentowano wiele przykładów wpływu zmian klimatu na ich populacje. Gatunki zimnolubne zmieniają swoje zasięgi, przesuwając się bardziej na północ lub – w przypadku gatunków górskich – wyżej nad poziom morza. Jeśli z jakiegoś powodu (np. istnienia barier geograficznych lub słabych zdolności przemieszczania się) nie mogą tego zrobić, ich zasięgi się kurczą. Ścisłe do tej pory zależności pomiędzy różnymi gatunkami rozluźniają się, kiedy partnerzy interakcji, reagując różnie na zmiany temperatur, pojawiają się w różnym czasie w sezonie. Dotyczy to na przykład zapylaczy, których czas lotu może rozmijać się z czasem kwitnienia ich roślin pokarmowych.

Pestycydy są powszechnie używanymi środkami służącymi do zwalczania gatunków uznawanych za szkodniki. W rolnictwie jest wiele niepożądanych gatunków owadów i repertuar środków do ich zwalczania jest odpowiednio duży. Idealny pestycyd to taki, który zwalczałby jedynie gatunki, przeciw którym jest przeznaczony, w praktyce jednak pestycydy są o wiele mniej specyficzne. Oprócz powodowania natychmiastowej śmierci, mogą one – szczególnie w niższych dawkach – powodować negatywne efekty bez zabijania owada od razu: osłabiać odporność na patogeny, zaburzać koordynację czy pamięć. Często zapomina się też o tym, że nawet gatunki uznawane za szkodniki, a więc będące celem dla pestycydów, poza polem uprawnym czy magazynem z żywnością pełnią ważne funkcje przyrodnicze.

Wciąż jeszcze rzadko dostrzeganym, a mającym duże znaczenie negatywnym aspektem ludzkiej działalności jest tzw. zanieczyszczenie światłem. Coraz mniej jest obecnie obszarów, gdzie w nocy jest zupełnie ciemno – w rejonach silnie zurbanizowanych znalezienie takiego graniczy z niemożliwością. Nawet parki miejskie bywają rzęsiście oświetlone w nocy, niekoniecznie ze względów bezpieczeństwa, ale również czysto estetycznych. Zaburza to rytm dobowy zwierząt, a w przypadku gatunków nocnych, które przemieszczają się, nawigując przy pomocy gwiazd, może negatywnie wpływać na ich orientację w terenie.

Jest wiele możliwości zmniejszenia wpływu nocnego oświetlenia na zwierzęta, od zmiany barwy światła po projektowanie opraw lamp odpowiednio ukierunkowujących snop światła czy montowanie fotokomórek. Jednak te możliwości wciąż zbyt rzadko się wykorzystuje przy projektowaniu oświetlenia.

Zacznij od trawnika

Kumulacja oddziaływania kilku szkodliwych czynników nie zawsze jest prostą sumą efektów każdego z nich oddzielnie. Mieszanka paru pestycydów może być bardziej szkodliwa, niż można by sądzić na podstawie badań każdego z osobna, a owad osłabiony przez niedostatek pokarmu lub pasożyty może na ten sam czynnik zareagować gorzej niż osobnik w dobrej kondycji. Jeśli chcemy chronić owady, trzeba działać wielotorowo, celując jednocześnie w rozwiązanie wielu różnych problemów: uregulować używanie niebezpiecznych dla owadów substancji, wprowadzić zmiany w zakresie planowania przestrzennego czy przeciwdziałać zmianom klimatu.

Rozwiązanie niektórych problemów wymaga szeroko zakrojonych działań, jednak drobne, indywidualne inicjatywy również mają znaczenie. Rezygnacja z użycia pestycydów w ogrodzie sama w sobie nie odwróci globalnego trendu spadkowego owadów, ale wpłynie pozytywnie na populację tych żyjących w najbliższej okolicy. Rzadsze koszenie trawnika, do czego od kilku lat przyrodnicy szczególnie mocno zachęcają, może pozwolić na zauważalne gołym okiem zwiększenie liczebności bezkręgowców w tym miejscu. Tak samo jak wpływ owadów wynika w dużej mierze z ich wielkiej liczebności, wpływ pojedynczych działań może się sumować i dawać efekty zauważalne w większej skali.

Owady są wdzięcznym obiektem do ochrony, bo większość z nich szybko się rozmnaża i jest w stanie sprawnie odbudować liczebność. Można więc mieć nadzieję, że jeśli tylko odpowiednio energicznie zajmiemy się ich ochroną, efekty będą bardzo satysfakcjonujące.

© JUSTYNA KIERAT

Ministerstwo Edukacji i Nauki

Projekt dofinansowany ze środków budżetu państwa, przyznanych przez Ministra Edukacji i Nauki w ramach Programu „Społeczna Odpowiedzialność Nauki II".

REKLAMA

DAVID GARRETT TRIO

ICONIC TOUR 2024

13.03.2024

HALA STULECIA, WROCŁAW

BILETY: BILETSERWIS.PL WWW.DAVID-GARRETT.COM

Prestige MJM · BILET SERWIS · RZECZPOSPOLITA · onet · proart · VIXON

REKLAMA

DEMOKRACJA

DEBATA

Co się stało z demokracją?

Diagnoza i remedium

24 listopada, godz. 10.00

Transmisja debaty

„Marzyciele i Rzemieślnicy"
- Dom Towarowy *Bracia Jabłkowscy*
ul. Bracka 25 (III piętro), Warszawa

Parlament Europejski
Biuro w Polsce

Rejestracja:
epwarszawa@ep.europa.eu

ELIZA

Kącka:
Nie taranować wizerunkiem

Cmentarz Północny, obchód. Ruda pruje przede mną. Na skrzyżowaniu z naszą alejką staruszka w ciemnym palcie jak mim uliczny, podejrzanie nieruchoma. Kamienny pielgrzym, wariant żałobny. Ruda mija ją, ale podchodzi młoda: „Dobrze się pani czuje?”. Bez reakcji. Równam ze staruszką, waham się, skręcam w alejkę. I powrót: stoi metr dalej, jakby ją ktoś przestawił. Ruda pruje, mija ją. Mijam i ja, ale hamuję i cofam. Pytam najdelikatniej: „Dobrze słyszałam, mówiła pani coś?”. „Sznurowadła”. „Y?”. „Sznurowadła. Niech jej pani zawiąże, bo się na litość boską wyp***doli”.

„Słyszałeś o niejakim Cukierbergu, tym od medium fejsbuk?”. „Cukier to nazwisko żydowskie”. „Dodane Berg. I teraz Polacy temu Cukrowi płacą”. „A po czemu niby?”. „Żeby ich zdjęć nie używał jako własnych”. „Absurd! Nie ma swoich?”. „Pewno poniszczył”. „Ale co on się tak na Polaków uparł?”. „Pytanie! Wszyscy na nas zawsze. A ten kanał fejsbuk to przykrywka dla lichwy”. „Ale co on ma z tymi zdjęciami?”. „A nie chciałbyś wyglądać jak Polak?”. „Chciałbym”. „No to widzisz. Cukier też chce”.

Warzywniak, róg Belwederskiej i Dolnej. Obok gość w moim wieku, z czteropakiem pod pachą i kurczakiem z rożna w łapie. Podchodzi starszy: „Ja panu bardzo dziękuję”. „Nie ma sprawy”. „Jest, jest, starych to tylko w pęczki i na eksport...”. „Hahaha”. „A pan mi obiad kupuje. Bóg wielki zapłać”. „Ja tam jestem tylko skromnym nośnikiem, czy jak to mówią”. „Pan Bóg odpłaci”. „Wie pan: »Niech lewa ręka wie, co czyni, a prawa nie«. Ja się tym zawsze ogólnie kieruję”. „Bardzo mądre”. „Pan Jezus to miał ogólnie przemyślenia”. Stary na wzburzeniu: „Miał wiarę, nie przemyślenia!”. Młody: „Luz, się pan nie wzmaga. Wiadomo, że nie za bardzo z tym myśleniem”.

Dwie starsze w autobusie 119, jazda ku Madalińskiego. „Jeszcze ludzie zrozumią ten błąd wyborczy”. „Myśli Pani?”. „Ja nie myślę, ja wiem z objawienia”. „O?”. „Że jak Polska będzie działać zgodnie z wolą Bożą, uniknie piorunu gniewu”. „A jak nie?”. „Piorun gniewu przejdzie przez Europę”. „Mamy jakieś daty?”. „Rychło przejdzie”. „Matkojedyna, może Juda Tadeusz ubłaga...”. „Jaka tam Juda. Sama Matka Boska załatwiła nam ten rząd, a myśmy się sprzeniewierzyli”. „O! A skąd wiadomo, że załatwiła?”. „Z objawień prywatnych, licznych”. „To są takie?”. „A jak! U nas najwięcej. Czytałam, że Polska to kraj wizjonerów”. „Nie może być!”. „Może! To by się pani zdziwiła, ilu ludzi w naszym kraju ma wizje”.

Biblioteka Narodowa, wycieczka szkolna w czytelni. Stoję przy półkach, oni czekają na oprowadzaczkę. Szumek, łapię frakcję szumku: „Ej, widzisz tę babkę? Była ze mną w toalecie”. „Jak – z tobą?”. „Oj, no w tej samej łazience”. „Aha. I co?”. „Teraz siedzi tu”. „No wysikała się i siedzi”. „W sumie tak, ale jakoś dziwnie”. „Co dziwnie?”. „W takich miejscach nie powinno się sikać”. „Sama sikałaś”. „Tak, ale ja tu nie pracuję”. „I co?”. „No nic, będę udawać, że jej nie widzę”. „Myślisz, że cię rozpozna?”. „Może nie, ale się domyśli z mojej miny, że sikała”. „No, nie wiem, to może zróbcie jakiś pojedynek w kiblu, potrzymam ci broń, czy coś. Tylko jej napisz na rewersie, że ją wyzywasz”.

Park Morskie Oko, siadam z komputerem, choć jesień, ale jasno chwilowo i ciepło. Słońce jeszcze grzewcze. Bateria szybko schodzi, więc odkładam sprzęt i wsłuchuję się w park. Na ławce w odległości nastu metrów starszy pan w bardzo sfatygowanym skórzanym płaszczu. Wymieniamy uśmiechy. Po pięciu minutach podchodzi, przysiada się. „Pani pewnie pracę zleconą wykonuje? Czy pisze?”. Śmieję się: „Jedno i drugie”. „A! Dziennikarka?”. „Nie do końca, ale też nie wiem, jak się przedstawić. Prozę piszę”. Starszy patrzy na mnie z sympatią: „Wie pani co, ja się tak zawiesiłem, bo pani mi kogoś przypomina teraz”. „Aha?”. „Nie w związku z tą prozą, ale kiedy pani powiedziała, że nie wie, jak się przedstawić, to zrobiła pani bardzo charakterystyczną minę”. „Ech jej, nieświadomie”. „Ależ świetnie, proszę się nie wycofywać. Znałem kogoś, kto robił taką samą minę. Bardzo mi przez lata imponował. W rozmowach ze mną uciekał od definiowania siebie. To jest niedzisiejsze, to nienapieranie”. „A owszem. Pewnie też osobowość...”. „Nie tylko. Po mojemu świadomość, że artysta nie musi taranować wizerunkiem, choćby miał na tym dużo stracić. Nie musi być czytelny od ręki”. „Powie pan, o kogo chodzi?”. „O moją najbliższą przyjaciółkę, malarkę i poetkę, niedawno zmarła w Szwajcarii”. „Uhm”. „Nie ułatwiała losowi. W pani też to widzę”. „Dziękuję, chociaż to trudne podziękowania”. „Ja też dziękuję”. Rozeszliśmy się. Po chwili, maszerując, zauważyłam po raz pierwszy – abonentka parku – że idę aleją Marii Jaremy. I się popłakałam.

Dwie w autobusie 168, wiek wczesnostudencki. „Ej, on mnie znowu oznaczył”. „Gdzie?”. „No w poście”. „Huhu”. „Ale Zośka, to ja odeszłam, zamęczyłby mnie...”. „Tak, ale to nie był jego scenariusz”. „Co z tego?”. „Wszystko”. „No ale ja mu nic złego nie zrobiłam”. „Oczywiście, tyle że on nie może ci darować tego, co ci zrobił”. ©

Przed Sądem Rejonowym w Wieliczce I Wydziałem Cywilnym pod sygn. I Ns 505/22 toczy się postępowanie z wniosku Marii Filik o stwierdzenie nabycia w drodze zasiedzenia przez Marię Filik: udziału 1/2 części w prawie własności nieruchomości położonej w Biskupicach, oznaczonej jako działka nr 360, objętej księgą wieczystą nr KR1I/00010567/3; udziału 39/48 części w prawie własności nieruchomości położonej w Biskupicach, oznaczonej jako działka nr 361; udziału 39/48 części w prawie własności nieruchomości położonej w Biskupicach, oznaczonej jako działka nr 118; nieruchomości położonej w Sułowie stanowiącej działkę nr 230; nieruchomości położonej w Sułowie stanowiącej działkę nr 312.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w tut. Sądzie i udowodnili swoje prawa, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie nieruchomości, jeśli zostanie udowodnione.

Przed Sądem Rejonowym w Gliwicach Wydział I Cywilny pod sygnaturą I Ns 106/22 toczy się postępowanie z wniosku ING Bank Śląski S.A. z siedzibą w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Krystynie Wilk, c. Jana i Gertrudy, ur. 9 marca 1952 r. w Pniowie, zm. 10 sierpnia 2020 r. w Pyskowicach (pow. gliwicki). Ostatnie miejsce zwykłego pobytu spadkodawczyni to Pyskowice (pow. gliwicki).

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie pod sygn. akt II Ns 216/22 toczy się postępowanie z wniosku Tomasza Sekreckiego z udziałem Hanny Gromek i Piotra Sekreckiego o stwierdzenie nabycia spadku po Ryszardzie Wacławie Michalskim zmarłym 27 kwietnia 2019 r. w Warszawie, którego ostatnie miejsce pobytu znajdowało się przy ul. Opaczewskiej 21 w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od opublikowania tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego dla m.st. Warszawy i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym dla miasta stołecznego Warszawy w Warszawie pod sygnaturą II Ns 981/22 toczy się postępowanie z wniosku Zygmunta Osówniaka o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie własności nieruchomości położonej w Warszawie przy ulicy Wincentego Kadłubka 20, stanowiącej działkę ewidencyjną nr 82, obręb 2-09-02, o powierzchni 0,1427 ha, zabudowanej budynkiem mieszkalnym.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby zgłosili swój udział w postępowaniu w terminie 3 miesięcy od opublikowania tego ogłoszenia, gdyż w przeciwnym razie sąd może stwierdzić zasiedzenie zgodnie z wnioskiem.

W Sądzie Rejonowym Lublin - Wschód w Lublinie z siedzibą w Świdniku w sprawie sygn. akt I Ns 1427/22 toczy się postępowanie z wniosku Giełdy Praw Majątkowych Vindexus Spółki Akcyjnej z siedzibą w Warszawie z udziałem Sylwii Głowackiej, Moniki Tomczak, Angeliki Tomczak, Beaty Konopki, Magdaleny Konopki, Nikodema Konopki, Małgorzaty Hec, Michała Heca, Ewy Surmacz, Oliwii Surmacz, Marii Paterek o stwierdzenie nabycia spadku po Wandzie Zaborowskiej, c. Michała i Kazimiery, zmarłej w dniu 10 lutego 2022 roku w Świdniku, ostatnio stale zamieszkałej w Świdniku przy ul. 3 Maja 6/3, urodzonej w dniu 7 grudnia 1949 roku w Radomyślu nad Sanem.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 (trzech) miesięcy od opublikowania niniejszego ogłoszenia stawili się w Sądzie Rejonowym Lublin - Wschód w Lublinie z siedzibą w Świdniku i wykazali swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postępowaniu o stwierdzenie nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie pod sygn. akt II Ns 630/23 toczy się postępowanie z wniosku Miasta Stołecznego Warszawy o stwierdzenie nabycia spadku po Adamie Leszku Król (zm. 10 grudnia 2021 r. w Warszawie), bez znanego ostatniego miejsca stałego pobytu.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od opublikowania ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego dla m.st. Warszawy i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 419/22 postępowanie z wniosku RSP im. Stanisława Walendowskiego w Nowej Wsi o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy niezabudowanej nieruchomości położonej w Prusinowie-Miniszewie, oznaczonej geodezyjnie jako działki 177 i 211, arkusz mapy 1, o łącznej powierzchni 9,07,00 ha, dla której jest prowadzona księga wieczysta Miniszew k. 59.

Sąd wzywa zainteresowanych, a w szczególności następców prawnych Andrzeja Krzywańskiego, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 970/21, na skutek wniosku Wiesława Ostrowskiego, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Ostrowskiej, zmarłej 18 kwietnia 2021 roku w Sulejówku, ostatnio stale zamieszkałej w Sulejówku.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy (w szczególności spadkobiercy Wojciecha Ostrowskiego) w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 48/2023

MARATON SOLIDARNOŚCI

POLSKA – UKRAINA

Po blisko dwóch latach od napaści Rosji na Ukrainę polskie środowisko sportowe pozostaje solidarne z ukraińskimi kolegami. Nie zmieniają tego polityczne zawirowania w stosunkach na szczeblu państwowym.

PAWEŁ KONARZEWSKI

Janusz Peciak, mistrz olimpijski, z Bogdaną oraz bliźniaczkami Viktorią i Natalią – nastoletnimi kolarkami z Równego, którymi zaopiekował się klub TC Chrobry Scott Głogów. Peciak, prezes Polskiego Związku Pięcioboju Nowoczesnego, po 24 lutego 2022 r. zainicjował pomoc dla ukraińskich pięcioboistów i tenisistów stołowych, poprzez organizację pobytu w ośrodku w Drzonkowie, treningów oraz udziału w zawodach.

Polski sport dla Ukrainy

W 50 miejscach w całej Polsce zaprezentowano wystawę, która pokazuje, że rywal z boiska może być przyjacielem, a sport to znacznie więcej niż walka o medale.

Schronienie dla uciekających przed wojną zawodników i ich rodzin, udostępnianie infrastruktury klubom, które straciły swoje siedziby, niezliczone charytatywne wydarzenia sportowe – polski świat sportu okazał solidarność z narodem ukraińskim już od pierwszych dni pełnoskalowej rosyjskiej agresji.

– Wojna to zaprzeczenie wszystkiego, co związane ze szlachetną sportową rywalizacją, zasadami fair play i równości. Z drugiej strony sport kształtuje w człowieku wyjątkowe cechy i podczas konfliktów zbrojnych często to właśnie sportowcy stają się bohaterami. Tak było w czasie II wojny światowej, gdy polscy zawodnicy zamienili stroje sportowe na mundury, i tak jest dzisiaj, gdy wybitni ukraińscy sportowcy chwytają za broń – mówi Maciej Zdziarski, prezes Instytutu Łukasiewicza i koordynator projektu „Maraton solidarności. Polski sport dla Ukrainy".

W ramach przedsięwzięcia współfinansowanego przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w objazd po Polsce ruszyła wystawa, której bohaterami są ukraińscy beneficjenci pomocy i przedstawiciele polskiego środowiska sportowego, którzy tego wsparcia udzielają.

Na kilkudziesięciu planszach można przeczytać świadectwa zawodników zza ↦

MARCIN ŁOBACZEWSKI

Natalia Safroniuk, kolarka szosowa z Ukrainy, obecnie trenuje w Toruniu.

W szkołach, w których naukę rozpoczęli młodzi uchodźcy z Ukrainy, sport stał się wartościową przestrzenią kontaktów między polskimi i ukraińskimi uczniami.

ARCH. PUBLICZNEGO LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCEGO NR IX IM. GENERAŁA WŁADYSŁAWA ANDERSA W OPOLU

PAWEŁ KONARZEWSKI

Siatkarze Barkomu Każany Lwów i piłkarki ręczne Galiczanki Lwów w Centrum Olimpijskim w Warszawie podczas wernisażu wystawy „Maraton solidarności”

wschodniej granicy, którzy w Polsce znaleźli schronienie i mogą kontynuować treningi. 24 lutego 2022 r. wydawało się, że ich świat i sportowe marzenia legły w gruzach.

– Pierwszy raz poczułam strach, gdy zobaczyłam nad głową wojskowy samolot. Przeżyłam atak paniki. Stałam, nie mogłam ruszyć się z miejsca. Brakowało mi powietrza – wspomina Natalia Safroniuk, 19-letnia kolarka szosowa z Ukrainy, która obecnie trenuje w Toruniu. – Jestem bardzo wdzięczna dziewczynom z Polski, które we wszystkim mi pomagały, okazywały wsparcie. Dobrze się czuję w ich gronie, jak młodsza siostra – dodaje.

– Pomocy polskiego środowiska sportowego nie da się opisać słowami – mówi Wiktoria Dobrotworska, kajakarka z Winnicy, wielokrotna mistrzyni Ukrainy i wicemistrzyni Europy w kategorii U23, która otrzymała możliwość kontynuacji treningów w Krakowie. – Przez trzy miesiące cała nasza drużyna mieszkała za darmo w kompleksie sportowym przy ul. Kolnej. Chciałabym podziękować Polakom.

Po wybuchu wojny także żeńska drużyna piłki ręcznej Galiczanka Lwów zwróciła się o pomoc do Polaków. Zawodniczki, mistrzynie Ukrainy, chciały utrzymać swój zespół. Władze Związku Piłki Ręcznej w Polsce i PGNiG Superligi Kobiet oraz polskie kluby zdecydowały o powiększeniu rozgrywek i przyjęciu Ukrainek do PGNiG Superligi w sezonie 2022/2023. Galiczanka rozgrywała swoje mecze w Centrum Edukacyjno-Rekreacyjnym w podwarszawskich Markach, a od nowego sezonu przeniosła się do Łańcuta.

Wasyl Turczyn, dyrektor lwowskiego klubu, podkreśla, że udział w polskich rozgrywkach to znacznie więcej niż rywalizacja: – Sportowe ambicje, umowy sponsorskie są ważne, ale to nie wszystko. Galiczanka ma drużyny młodzieżowe i szkoły patronackie, pod naszą opieką rozwijają się dzieci. Dla nich to, że gramy teraz w Polsce, jest nadzieją, że na tej wojnie wszystko się nie kończy. Młodzi zawodnicy z dumą patrzą na dziewczyny, które grają i dobrze sobie radzą. Dzięki temu ich życie to nie tylko alarmy, rakiety, bomby i śmierć.

W projekt Instytutu Łukasiewicza zaangażował się ukraiński fotograf Mykoła

Mistrzowie sportu, mistrzowie solidarności

Pomaganie to nie sprint, lecz maraton – można było usłyszeć w pierwszych tygodniach po 24 lutego 2022 r., kiedy Polacy masowo ruszyli na pomoc Ukraińcom. Po niemal dwóch latach pełnoskalowej wojny stosunki polsko-ukraińskie za sprawą zdarzeń natury politycznej znajdują się w zupełnie innej fazie.

Dynamika sytuacji międzynarodowej, na czele z wojną na Bliskim Wschodzie, zepchnęła na dalszy plan tragedię narodu ukraińskiego. Ale w lokalnych społecznościach relacje Polaków z Ukraińcami to temat żywy i aktualny. Wśród tych, którzy wciąż pomagają ukraińskim uchodźcom i głośno domagają się ukarania rosyjskiego agresora, są sportowcy. To o nich opowiada mobilna wystawa „Maraton solidarności. Polski sport dla Ukrainy”, która w 2023 r. objechała kraj.

ANDRZEJ BANAŚ

Kazimierz Kmiecik, były piłkarz i trener piłkarski związany z Wisłą Kraków, obejrzał wystawę na krakowskich Plantach

Robert Korzeniowski na Marszu dla Ukrainy

PAWEŁ KONARZEWSKI

PAWEŁ KONARZEWSKI

Wystawa przed Stadionem Narodowym

↦ Synelnikow, który portretuje ukraińskich zawodników trenujących na zrujnowanych przez Rosję obiektach.

– Ten czas znaczył dla nas bardzo wiele. Przekonaliśmy się, że w obliczu wojny, niesprawiedliwości i przerażenia nie zostaliśmy sami. Polacy wyciągnęli do nas pomocną dłoń, otworzyli drzwi swoich domów – podkreślał Synelnikow, który na zaproszenie Instytutu Łukasiewicza przyjechał do Warszawy.

– To wstrząsające obrazy, które zapadają w pamięć – powiedział o zdjęciach ukraińskiego fotografa Robert Korzeniowski podczas otwarcia wystawy „Maraton solidarności" na Stadionie Narodowym. Ekspozycja towarzyszyła chodziarskiej imprezie Korzeniowski Warsaw Race Walking Cup, której częścią był symboliczny Marsz dla Ukrainy.

Wystawa „Maraton solidarności" z Warszawy ruszyła w podróż po Polsce. Odwiedziła już ponad 50 lokalizacji, w których obejrzały ją tysiące mieszkańców dużych i małych miejscowości, w tym wiele grup uczniowskich.

– Tuż po wybuchu wojny schronienie w naszej szkole i internacie oraz możliwość treningową znalazło 15 młodych ukraińskich zawodników, głównie piłkarzy i hokeistów. Wystawa prezentująca braterstwo i pomoc, jaką ukraińscy sportowcy otrzymują od Polaków, jest nam szczególnie bliska – podkreślała Monika Guroś z Niepublicznego Liceum Ogólnokształcącego Mistrzostwa Sportowego Podhale Nowy Targ.

Okazuje się, że w szkołach, w których naukę rozpoczęli młodzi uchodźcy z Ukrainy, sport stał się wartościową przestrzenią kontaktów między polskimi i ukraińskimi uczniami.

– Zauważyli, że sport może budować wspólnotę ludzi zjednoczonych wokół wspólnych wartości. Powstała też okazja do rozmów, dyskusji oraz poszerzenia wiedzy na temat trudnej sytuacji naszych sąsiadów z kraju ogarniętego wojną – mówi Joanna Kot-Bryła, wicedyrektor Publicznego

Samorządowcy w „Maratonie solidarności"

MATERIAŁY PRASOWE

Piękno sportu mierzy się nie w punktach, medalach czy rekordach, ale w niesamowitych emocjach, które wywołuje. Wystawa „Maraton solidarności. Polski sport dla Ukrainy" udowadnia, jak bardzo zacieśniły się więzi łączące oba kraje przez ostatnie półtora roku.

WOJCIECH SZCZUREK, prezydent Gdyni

MATERIAŁY PRASOWE

Cieszę się, że miasto było gospodarzem wystawy ukazującej, jak Polacy i Ukraińcy jednoczą się w duchu solidarności. Sport nie tylko stanowi źródło zdrowia, rozrywki i budowania w narodzie ducha walki fair play, ale też jest płaszczyzną, na której potrafimy się jednoczyć i celebrować wspólną pasję.

ALEKSANDRA DULKIEWICZ, prezydent Gdańska

ANDRZEJ BANAŚ

Były reprezentant Polski w siatkówce Sebastian Świderski, zwiedza wystawę w Zakopanem

Liceum Ogólnokształcącego nr IX im. Generała Władysława Andersa w Opolu.

Wystawę „Maraton solidarności" obejrzało wielu znanych sportowców – z Polski i Ukrainy.

– Jestem pod wrażeniem tego, jak wielkiego wsparcia udzieliły polskie kluby sportowcom ukraińskim – mówiła Antonina Szymańska, mistrzyni Polski w tenisie stołowym. – Rosję trzeba powstrzymać. Ten kraj sam się nie zatrzyma. Będzie mordować i niszczyć tak długo, jak długo będzie czuł, że może to robić. Dlatego jestem zdania, że rosyjscy i białoruscy zawodnicy powinni być wykluczeni z rozgrywek międzynarodowych. Armia rosyjska zabiła już prawie 300 sportowców ukraińskich i zniszczyła wiele obiektów sportowych na Ukrainie. Czy można w takiej sytuacji dopuścić do międzynarodowych startów zawodników, którzy są sponsorowani przez Moskwę i ludzi z nią powiązanych?

Jedną z zawodniczek, która była zmuszona opuścić Ukrainę, jest Irina Koval z Doniecka.

– Wojna na Ukrainie trwa od 2014 r. Wtedy musiałam po raz pierwszy wyjechać ze swojego miasta. Chciałam trenować, studiować, przyjechałam do Kijowa. W 2022 r. musiałam opuścić kraj, by dalej móc trenować – mówiła 25-latka podczas wernisażu wystawy „Maraton solidarności". Koval jest mistrzynią Ukrainy w chodzie sportowym na dystansie 20 km. Tytuł zdobyła w październiku 2022 r. na zawodach zorganizowanych w Iwano-Frankiwsku, bijąc swój rekord życiowy w warunkach alarmu bombowego. Od kilkunastu miesięcy trenuje i pracuje w klubie Roberta Korzeniowskiego RK Athletic.

– Poznałam Roberta na mityngu lekkoatletycznym. Dostałam od niego zaproszenie do współpracy, pomaga mi do teraz. Bardzo mu za to dziękuję – podkreśla Irina Koval.

Fundacja Roberta Korzeniowskiego podejmuje także działania, których celem jest sportowa integracja polskich i ukraińskich dzieci. Młodzi sportowcy wspólnie biorą udział w treningach i zawodach, a także obozach lekkoatletycznych.

Kazimierz Kmiecik, piłkarz i trener, mistrz i wicemistrz olimpijski, najlepszy strzelec w historii Wisły Kraków, obejrzał wystawę „Maraton solidarności" na krakowskich Plantach. Komentuje: – Chciałem zaapelować do wszystkich ukraińskich sportowców: walczcie dalej o swoje państwo i osiągajcie jak najlepsze wyniki w sporcie. A my, Polacy, nie przestaniemy was wspierać. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 48/2023
OPIEKA REDAKCYJNA: Monika Ochędowska
Projekt współfinansowany ze środków Ministerstwa Sportu i Turystyki w ramach Programu „Sport dla Wszystkich"
REALIZACJA: Fundacja Łukasiewicza | OKŁADKA: fot. Mykoła Synelnikow
TP TYPOGRAFIA: Andrzej Leśniak | FOTOEDYCJA: Jacek Taran

INSTYTUT ŁUKASIEWICZA

Ministerstwo Sportu i Turystyki

KULTURA

JAK ODZYSKAĆ KULTURĘ

Osoba, która zastąpi Piotra Glińskiego, musi na nowo zdefiniować politykę kulturalną państwa i funkcje ministerstwa. Nie może to być powrót do sytuacji sprzed rządów PiS-u.

PIOTR KOSIEWSKI

Po 1989 r. nikt nie pełnił funkcji ministra kultury dłużej od Piotra Glińskiego. Żaden szef tego resortu nie był wicepremierem i żaden nie dysponował podobnymi środkami finansowymi. Nic dziwnego, że mając tyle czasu i możliwości, Gliński zmienił nie tylko sposób zarządzania i instytucje podległe ministerstwu (za jego rządów mianowano większość kierujących nimi obecnie osób), ale też myślenie o polityce kulturalnej państwa. Przy czym nie tylko wzmocnił wszystkie dysfunkcje, z jakimi mieliśmy do czynienia przed rokiem 2015, ale też nadał im nowy wymiar.

Minister mecenas

To uderzające, ale w dyskusjach o nowym rządzie resort kultury w zasadzie się nie pojawia. Mówi się tylko o tym, że jego szef musi radykalnie zmienić dotychczasową politykę i instytucje mu podległe. Osoba, która zastąpi Piotra Glińskiego, nie może liczyć na funkcję wicepremiera. Nie wiadomo też, jaki budżet otrzyma, oraz czy i jaką będzie miała podmiotowość polityczną.

Niszcząc lub instrumentalizując prawo, reguły i dobry obyczaj, Gliński dał swojemu następcy dostatecznie dużo narzędzi, by tego szybko dokonać. Co więcej: krytyka, z jaką nowy minister spotkałby się za takie działania ze strony dotychczasowych beneficjentów resortu, będzie mało wiarygodna. Ludzie ci nie tylko chętnie korzystali ze wsparcia, ale też niewielu poważyło się na jakąkolwiek niezgodę wobec polityki, która wykluczała wiele środowisk, postaw czy idei, o podkopywaniu instytucjonalnych podstaw państwa oraz zaufaniu do niego obywatelek i obywateli nie wspominając.

Możliwa jest jednak inna zmiana. Taka, która nie tylko przekreśli model polityki ministerstwa ostatnich lat, ale spróbuje poradzić sobie z problemami, z jakimi borykamy się od lat ponad 30. Przede wszystkim nowy minister ostatecznie musi pożegnać się z wyobrażeniem siebie jako mecenasa kultury. To MKiDN w imieniu państwa, a nie pan czy pani X udziela wsparcia. Chodzi nie tylko o symboliczne gesty, jak usunięcie nazwiska ministra z tablic informujących o przyznaniu grantu, jakimi są obwieszane teraz instytucje kultury, lecz o zasadniczą zmianę myślenia o jego roli i porzucenie roszczeń, że może on być „dysponentem prestiżu".

Ostatnich osiem lat pokazuje, że nawet dysponując tak znaczącymi środkami politycznymi i finansowymi, a także podporządkowanymi władzy mediami publicznymi, nie sposób wpłynąć na hierarchie w kulturze. Zmiana w myśleniu o roli ministra oznacza również odejście od podziału – który po 2015 r. był wprost przez ministra komunikowany – na „naszą" i „waszą" kulturę, na „nasze" i „nienasze" instytucje. Trzeba odrzucić pogląd, że rządzący muszą się kierować wyłącznie partyjnym interesem i oczekiwaniami własnych wyborców.

Grandy z grantami

Prowadzenie takiej polityki wymaga od osoby kierującej ministerstwem nałożenia na siebie znacznych ograniczeń. Przede wszystkim realnego wyjęcia całych obszarów spod bezpośredniego politycznego wpływu, tak by to ocena merytoryczna, a nie kryteria ideologiczne, układy środowiskowe czy związki personalne były podstawą dla udzielania wsparcia. Piotr Gliński nie zmienił procedur przyznawania dotacji, jednak instrumentalizował je i wykorzystywał do prowadzenia własnej polityki.

W gronach oceniających wnioski w konkursach ministerialnych (tzw. zespołach sterujących) muszą się znaleźć osoby, których kompetencje nie budzą wątpliwości, bo np. zakupy sztuki najnowszej w 2023 r. oceniała m.in. konserwatorka dawnych prac na papierze! Nie może zachodzić konflikt interesu, rozumiany także jako konkurencja między instytucjami: wśród oceniających wnioski na działania związane ze sztukami wizualnymi w bieżącym roku trzy na siedem osób było pracownikami Zachęty i Zamku Ujazdowskiego, a w zespole zajmującym się wsparciem dla czasopism znalazł się m.in. redaktor periodyku „44 / Czterdzieści i Cztery", hojnie wspieranego w ostatnich ośmiu latach.

Być może, co postulowali uczestnicy niedawnej konferencji „Kultura (w) przyszłości", należy zrezygnować z tzw. oceny strategicznej wniosków, której nie dokonują eksperci, lecz samo ministerstwo lub inna instytucja prowadząca w jego imieniu program grantowy. Wreszcie: bardziej transparentna powinna być procedura odwołań od decyzji, bo do tej pory opierała się ona na uznaniowości samego ministra.

Zgoda na oddanie większej decyzyjności w ręce ekspertów oznacza ograniczenie możliwości prowadzenia własnej polityki i wsparcia określonych postaw czy wyborów ideowych. Daje za to szanse na zerwanie z relacjami klientelistycznymi, które nasiliły się po 2015 r., oraz wyrabianiem sobie przez zarządzających instytucjami kultury odruchów autocenzorskich. Może zwiększyć odporność instytucji kultury na polityczne wpływy.

Ministerstwo ludzi kultury

Ważniejsza jest jednak inna kwestia: polityki kulturalnej państwa. Czy może ona preferować profil ideowy bliski aktualnie rządzącym: realizować prawicowy, lewicowy czy liberalny program, czy też powinna dążyć do zapewnienia możliwości działania różnym projektom, pod warunkiem mieszczenia się przez nie w szeroko rozumianym demokratycznym spektrum?

Wiąże się z tym odpowiedź na pytanie: czyje interesy reprezentuje samo ministerstwo? Jedna grupa natychmiast się narzuca: ludzi kultury. Nie powinno to jednak oznaczać dowartościowania konkretnych osób, lecz zapewnienie dobrych warunków funkcjonowania dla wszystkich, którzy tworzą kulturę. Najważniejszą sprawą jest doprowadzenie do uchwalenia ustawy o ubezpieczeniach dla artystów – obecna ekipa nie umiała tego zrobić mimo lat dyskusji. Kolejna rzecz to programy wsparcia, przede wszystkim kierowane do młodego pokolenia, konstruowane tak, by mogło ono funkcjonować w zderzeniu z rynkiem, który w pewnych dziedzinach odgrywa dziś kluczową rolę.

Jest jednak druga grupa, nie mniej ważna, o której rzadziej się mówi: odbiorcy kultury. Dla nich kluczowe są instytucje publiczne, bo tylko one są w stanie zapewnić demokratyczny dostęp do kultury. Tymczasem po 2015 r. byliśmy świadkami ich marginalizacji, a w przypadku Starego Teatru w Krakowie czy Muzeum Narodowego w Warszawie – wręcz upadku.

Nie mniej ważne jest jeszcze szersze wsparcie lokalnych wspólnot, przede ↦

Aktorka Lidia Bogaczówna wita widzów na 130. urodzinach Teatru im. Juliusza Słowackiego, Kraków, październik 2023 r.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

↦ wszystkim w mniejszych miejscowościach i na wsi. Od lat działa program „Infrastruktura domów kultury", ale czy to wystarczy? Jest też pytanie, czy wsparcie powinno być udzielane bezpośrednio z Warszawy.

Instytuty bardzo narodowe

Najpilniejszym zadaniem dla nowego kierownictwa MKiDN będzie jednak uporządkowanie ładu instytucjonalnego w obszarze kultury. Resort będzie musiał odpowiedzieć na dwa pytania: o sens działania instytucji mu podległych – wciąż padają hasła zlikwidowania w ramach walki z marnotrawstwem PiS-u Narodowych Instytutów – oraz o politykę personalną ministra w tych instytucjach.

Większość Narodowych Instytutów powstała przed rokiem 2015. Miały one przejąć część zadań resortu, zwłaszcza tych, których sam nie mógł sprawnie realizować (jak promocja polskiego państwa za granicą), wzmocnić ekspercko samo ministerstwo, stworzyć kolejną barierę między bieżącą polityką a kulturą, ale też zająć się obszarami, w których potrzebna jest interwencja państwa (np. tworzeniem standardów w ochronie zabytków). Za Piotra Glińskiego powołano kolejne, jak Narodowy Instytut Architektury, Narodowy Instytut Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą – Polonika, Narodowy Instytut Ochrony Zabytków.

Są poważne argumenty za dalszym istnieniem ministerialnych instytutów, ale powinien zostać przeprowadzony ich audyt – nie po to, by szukać „haków", lecz by odpowiedzieć na pytanie o sens ich działania w obecnym kształcie i odpowiedzialnie zaprojektować ich przyszłość, uwzględniając także zmiany, jakie w ostatniej dekadzie zaszły nie tylko w świecie kultury. Nie chodzi tylko o przypadki powołania przez min. Glińskiego instytucji dublujących już istniejące, np. Instytut Literatury (te wystarczy zlikwidować), lecz być może o konsolidację działań, a także o zmiany w ich organizacji, w tym sprawy pracownicze. Taki audyt powinien pomóc w dostosowaniu ministerstwa do ich funkcjonowania i odpowiedzi na pytanie, czy nadal samo powinno prowadzić programy grantowe.

Krajobraz po czystkach

Ocena ta powinna być kluczowa przy podjęciu decyzji personalnych. Po 2015 r. w wielu instytucjach zajmujących się dziedzictwem zmiany zachodziły powoli, nie przerywano kadencji osób nimi kierujących, a kolejne nominacje nie budziły zasadniczych wątpliwości. Inaczej było w miejscach uznanych przez rządzących za kluczowe: w Instytucie Książki, Instytucie Adama Mickiewicza, Filmotece Narodowej i Narodowym Instytucie Audiowizualnym (które połączono) czy w Polskim Instytucie Sztuki Filmowej. Tu błyskawicznie dokonano czystek, a w efekcie wszystkie one straciły swoje dawne znaczenie. IAM czy FINA coraz bardziej pogrążają się w kryzysie – konieczne jest wymyślenie na nowo ich funkcjonowania oraz odbudowa zespołów, które je tworzyły, przywrócenie zaufania publicznego i odtworzenie międzynarodowych kontaktów.

> Czy nowy minister kultury poważy się na prowadzenie polityki tożsamości, której ważnym elementem jest polityka pamięci?
> **Czy zaproponuje inną wizję polskiej wspólnoty.**

Są powody, dla których minister powinien mieć wpływ na obsadę instytutów, które realizują politykę kulturalną państwa. Można jednak ich kierownictwo wybierać na drodze konkursowej, a nie „po ministerialnym uznaniu", istniejącym przy nich radom programowym dać zaś realny wpływ, by nie pełniły roli fasady.

Inaczej jest w przypadku instytucji kultury, które ministerstwu podlegają lub je współprowadzi z samorządem czy z instytucjami społecznymi. Nowy szef resortu powinien zrobić wszystko, by chronić je przed zawłaszczaniem politycznym w przyszłości, ale też po prostu przed błędnymi decyzjami personalnymi, które – jak pokazują przypadki nominacji Glińskiego, od Starego Teatru po Zachętę – prowadzą do upadku. Trzeba zatem zmienić prawo, by obowiązkowe stały się transparentne konkursy na stanowiska dyrektorskie, a powołanie poza tym trybem było możliwe jedynie w nagłych przypadkach (np. śmierci dyrektora) i tylko na czas niezbędny do zorganizowania kolejnego konkursu. Konieczne jest też wprowadzenie limitu kadencji, ale tak, by pozwoliło to na realizację programu (i z możliwością powołania na drugą bez konieczności organizowania konkursu), oraz stworzenie rozsądnych wyjątków, dotyczących np. instytucji, które dopiero są w budowie.

Same konkursy nie zbudują bariery między instytucjami a polityką. Projekt dalej idących zmian zaproponował przed wyborami zespół roboczy przy ICOM Polska. Dotyczy on muzeów, ale podobne rozwiązanie może zostać wprowadzone wszędzie. Zakłada powołanie rad powierniczych, które w imieniu państwa lub samorządu (projekt zakłada zmiany także w instytucjach jemu podległych) sprawowałyby nadzór nad instytucjami, w tym powoływały i odwoływały dyrektora, a wcześniej same organizowały konkursy.

Na te wszystkie zmiany potrzeba jednak czasu. Pozostaje problem instytucji, które ulegają degradacji na naszych oczach – jak Zachęta, z osobliwymi wystawami, tracąca pracowników, a tym samym ich wiedzę i doświadczenie (jak informował magazyn „Szum", z 60 osób odeszło już około 30). Ważną wartością jest ciągłość i poszanowanie kadencyjności, jednak nie mniej istotny jest interes instytucji i ich odbiorców. Tyle że każda z ewentualnych zmian musi być dobrze publicznie uzasadniona, a następcy muszą być wybierani w konkursach.

Gdzie pieniądze

Kolejny problem dotyczy sposobu finansowania instytucji kultury. Konieczne jest szybkie podniesienie wynagrodzeń pracowników, dziś pozostających na bardzo niskim poziomie. Nie może dochodzić do sytuacji, w której tylko „swoje" instytucje mogą liczyć na lepsze pieniądze – a tak było w ostatnich latach. Trzeba też rozwikłać kwestię wspierania nowych instytucji, z Muzeum Historii Polski na czele.

I jeszcze jedno, bardzo trudne wyzwanie: odwrócenie procesów centralizacyjnych, jakie zaszły po 2015 r. W ciągu ośmiu lat MKiDN przejęło od samorządów szereg instytucji. W porozumieniu z nimi, bo miały problem z utrzymaniem się na odpowiednim poziomie albo przeprowadzeniem w nich inwestycji. Tylko że przejmowanie instytu-

WŁODZIMIERZ WASYLUK / FORUM

„Droga krzyżowa" autorstwa prof. Antoniego Cygana na wystawie „Łacińskie figur racje" w Zachęcie – Narodowej Galerii Sztuki, Warszawa, lipiec 2023 r.

cji nie rozwiązuje strukturalnych problemów związanych z finansowaniem samorządu, a dodatkowo osłabia naszą samorządność i pozbawia ją własnych narzędzi do prowadzenia polityki kulturalnej zgodnej z oczekiwaniami mieszkańców. Rozwiązanie kwestii finansowania muzeów czy teatrów musi stać się częścią większego projektu decentralizacji państwa i przywracania samorządom sprawczości.

Ku przyszłości

Większość tych kwestii wydaje się techniczna, jednak ich rozwiązanie zasadniczo zmieni politykę kulturalną państwa. Nie oznacza to jednak zwolnienia nowego ministra czy ministry z podjęcia co najmniej dwóch kluczowych kwestii programowych. Pierwsza to: ile miejsca w polityce kulturalnej państwa zajmuje przeszłość, a ile współczesność. Ta ostatnia, mimo szumnych zapowiedzi wielkich produkcji filmowych, była na marginesie zainteresowania odchodzącej ekipy. Zresztą to, co powstawało współcześnie, miało służyć przede wszystkim opowiadaniu o polskiej przeszłości. Nawet zmiany personalne w najważniejszych instytucjach zajmujących się sztuką współczesną zaszły dopiero w drugiej kadencji rządów Zjednoczonej Prawicy, kiedy dostrzeżono ich przydatność do przeprowadzenia swoistej tradycjonalistycznej kontrrewolucji.

Hierarchie ważności dotychczasowego szefa pokazują programy ministerstwa w 2023 r.: budżet „Narodowych Kolekcji Sztuki Współczesnej" zmniejszono o 1,5 mln zł w stosunku do pierwotnych założeń, czyli o ponad jedną czwartą, a budżet „Ochrony Zabytków" zwiększono o ponad 38 mln zł. Ten ostatni program pokazuje także inny problem. Tylko w pierwszej jego edycji 82 proc. dotacji trafiło do parafii, zakonów i zgromadzeń należących do Kościoła katolickiego i innych związków oraz gmin wyznaniowych. Jeszcze gorzej wygląda ta statystyka, jeżeli przeanalizuje się wydane kwoty: jedynie 16,19 proc. sumy wszystkich dotacji przyznano instytucjom niereligijnym. Oczywiście z historycznych powodów wiele zabytków stanowią kościoły. Jednakże nasza historia sprawiła równocześnie, że architektura świecka znajduje się w znacznie gorszym stanie.

Dbałość o dziedzictwo na pewno pozostanie ważnym zadaniem, ale kluczowe jest zadbanie o to, by marginalizowana dotąd jego część też została zaopiekowana. Przed nowym ministrem stoi zresztą pilne zadanie: przygotowanie zmian w prawie po niedawnym orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego w sprawie przepisów o gminnej ewidencji zabytków, które osłabia ochronę obiektów pochodzących z ubiegłego wieku. Jednak najważniejsze jest przywrócenie znaczenia współczesnej kultury w priorytetach ministerstwa.

Polityka pamięci

Drugie pytanie dotyczy roli resortu w prowadzeniu polityki pamięci i tożsamości. Nowy minister będzie musiał zająć się odpartyjnieniem mediów publicznych, sprawuje bowiem nad nimi właścicielski nadzór, ale to temat na odrębny tekst. Zresztą nie tylko media publiczne są narzędziem do prowadzenia polityki pamięci.

Piotr Gliński z jednej strony dążył do pełnej kontroli nad kluczowymi muzeami zajmującymi się historią – w pełni udało mu się tylko w przypadku Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Z drugiej powoływał nowe, jak Muzeum Getta Warszawskiego. Jednak przede wszystkim stworzył nowe instytucje służące prowadzeniu polityki pamięci, jak Ośrodek Badań nad Totalitaryzmami im. Witolda Pileckiego czy Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego. Czy ich istnienie ma sens, skoro działa Instytut Pamięci Narodowej? Poza tym: czy państwo demokratyczne powinno legitymizować tradycję nacjonalistyczną, niejednokrotnie o faszyzującym odcieniu, jak to ma miejsce w przypadku Instytutu Dmowskiego i Paderewskiego? A działalność Ośrodka Badań nad Totalitaryzmami, któremu są stawiane poważne zarzuty o manipulacje pamięcią o Zagładzie?

Są bardziej zasadnicze pytania: czy nowy minister kultury w ogóle poważy się na prowadzenie polityki tożsamości, której ważnym elementem jest polityka pamięci? Czy będzie próbował zaproponować inną wizję polskiej wspólnoty i jej przeszłości niż jego poprzednie kierownictwo, ale też narzędzia do jej konsolidowania? Na przeciwstawienie PiS-owskiej wizji innej polskości: silnej, a jednocześnie inkluzywnej? Potrafiącej konfrontować się ze swą przeszłością oraz rozmawiać o niej, i nieuciekającej od teraźniejszości?

Odpowiedzi poznamy wkrótce. Oby nie ograniczyły się do zastąpienia ludzi Glińskiego – swoimi.

© PIOTR KOSIEWSKI

MATERIAŁY PRASOWE

„Zagłada domu Usherów" (odc. 5). Od lewej: Mary McDonnell jako Madeline, Bruce Greenwood jako Roderick i Ruth Codd jako Juno.

Poe na nasze czasy

JAKUB MAJMUREK

Po co o kryzysie opioidowym opowiadać w konwencji horroru? Głównie po to, by dostarczyć widzom fantazji o zemście na bogaczach.

Po „Nawiedzonym domu na wzgórzu" Shirley Jackson i „W kleszczach lęku" Henry'ego Jamesa, Mike Flanagan zaadaptował dla Netfliksa kolejną klasykę literatury grozy – dzieło Edgara Allana Poego. To adaptacja bardzo swobodna: w serialu „Zagłada domu Usherów" proza i poezja Poego dostarczają inspiracji, postaci i motywów współczesnej historii wzlotu i upadku magnatów farmaceutycznych z przełomu XX i XXI w.

Horror opiatów

Serialowa rodzina Usherów zbiła fortunę na produkcji i sprzedaży leków przeciwbólowych, które, łudząc obietnicą „świata wolnego od bólu", uzależniły miliony Amerykanów, wykolejając życie całych rodzin i społeczności. Gdy zaczyna się serial, rodzina zasiada na ławie oskarżonych. Nie wydaje się tym jednak przejęta – wymiar sprawiedliwości wielokrotnie przegrywał już walkę z jej pieniędzmi, wpływami i prawnikiem Arthurem Pymem, przypominającym raczej *consigliere* mafijnej rodziny niż adwokata big pharmy.

Serial odnosi się do epidemii opiatów, największego kryzysu zdrowia publicznego, jaki dotknął Stany w ostatnich kilkunastu latach. W 2021 r. ponad 80 tys. Amerykanów zmarło w wyniku przedawkowania opiatów. To ponad 1,5 tys. zgonów tygodniowo.

Dla wielu z tych ofiar uzależnienie zaczęło się od dostępnych na receptę, skutecznych, lecz jednocześnie silnie uzależniających leków. Epidemię wykreowało bowiem połączenie trzech czynników: agresywnych kampanii reklamowych, kierowanych przez koncerny farmaceutyczne do pacjentów i lekarzy, polityki zdrowotnej niezdolnej zagwarantować leczenia długotrwałego bólu i przyczyn społecznych – całe miejscowości przeżywające zapaść gospodarczą zaczęły żyć z bezprawnego obrotu lekami na receptę lub ich nielegalnymi odpowiednikami dostarczanymi już nie przez big pharmę, lecz kartele narkotykowe.

Amerykańskie kino i telewizja poświęciły kryzysowi już kilka produkcji. W zeszłym roku Złotym Lwem na festiwalu w Wenecji nagrodzony został dokument „Całe to piękno i krew" Laury Poitras – pokazujący zmagania amerykańskiej fotografki Nan Golding o to, by amerykańskie instytucje sztuki odcięły się od finansującej ich działalność rodziny Sacklerów. Sacklerowie kontrolowali firmę Perdue Pharma odpowiedzialną za produkcję i agresywny marketing OxyContinu – leku szczególnie obwinianego za skalę epidemii opiatów w USA. Ich rola w epidemii jest też tematem serialu fabularnego „Zabić ból" (Netflix) oraz dokumentu Aleksa Gibneya „Zbrodnia stulecia" (HBO Max).

Śmierć bogaczom

W serialowych Usherach nietrudno rozpoznać wykrzywiony w zwierciadle grozy portret Sacklerów. Po co jednak twórcom serialu konwencja horroru, by opowiedzieć historię wielokrotnie już przedstawioną w realistycznej poetyce?

Głównie po to, by dostarczyć widzom fantazji o zemście na bogaczach, którzy, w pogoni za pieniędzmi, podpalili świat. Bo choć wymiar sprawiedliwości, mimo starań prowadzącego sprawę prokuratora Dupina, nie jest w stanie dosięgnąć Usherów, to istnieją moce, wobec których nawet rodzinna fortuna pozostaje bezsilna.

Kolejne dzieci patriarchy rodu, Rodericka Ushera, giną w tyleż makabrycznych, co tajemniczych okolicznościach.

Choć każda śmierć da się wyjaśnić jako nieszczęśliwy wypadek, to trudno oprzeć się wrażeniu, że ktoś lub coś bierze potężną rodzinę na cel. Że ciąży na niej coś w rodzaju „klątwy".

Prawie każdy odcinek skonstruowany jest wokół śmierci kolejnego z Usherów. Każde z dzieci Rodericka reprezentuje inną problematyczną twarz wielkich pieniędzy. Najstarszy syn Frederick jest pozbawionym jakichkolwiek talentów i charyzmy zawodowym dziedzicem, dzięki przywilejowi urodzenia wyniesionym na najwyższe pozycje w firmie, choć nie ma kompetencji, by kierować choćby apteką.

Victorine prowadzi badania, które mogą przynieść przełom w leczeniu wad serca, ale do wyników dąży przekraczając wszelkie etyczne normy. Nienawidząca jej przyrodnia siostra Camille żyje ze zbierania haków i manipulowania opinią publiczną w mediach tradycyjnych i społecznościowych. Najmłodszy, nieślubny syn Rodericka, Perry, ma pomysł na siebie sprowadzający się do pokazywania własnej konsumpcji i zepsucia na Instagramie. Jego starszy, także nieślubny brat Leo podaje się za twórcę gier wideo, naprawdę jednak finansuje tylko ich twórców z rodzinnych pieniędzy, sam całymi dniami gra na konsoli i odurza się narkotykami.

W zasadzie do nikogo z potomków Rodericka nie sposób poczuć sympatii. Oglądając kolejne zgony Usherów, widz ma oprócz grozy odczuwać fascynację makabrą, a przede wszystkim – nawet wbrew racjonalnemu sądowi – satysfakcję z tego, że w jakiś przewrotny, okrutny sposób „sprawiedliwości stało się zadość".

Pierwszy ginie najbardziej groteskowy Perry. Odcinek przedstawiający jego śmierć jest inspirowany opowiadaniem Poego „Maska śmierci szkarłatnej". Jego bohater, książę Prospero, chroni się przed szalejącą epidemią w odciętym od świata opactwie, gdzie wraz z grupą szlachetnie urodzonych urządza wytworny bal maskowy. Na balu pojawia się jednak tajemnicza postać, która przynosi ze sobą zarazę. Perry też wyprawia ekskluzywne, kuszące obietnicami wszelkich zdeprawowanych rozkoszy przyjęcie w przeznaczonej do zamknięcia rodzinnej fabryce – jak łatwo zgadnąć, kończy się ono hekatombą, za co wydaje się odpowiadać pojawienie się tajemniczej kobiecej postaci w szkarłatnym płaszczu i trupiobiałej masce.

„Maska śmierci szkarłatnej" była interpretowana na różne sposoby, zarówno jako alegoria nieuchronności śmierci, jak i społecznej rewolucji, która musi zmieść stary świat i jego elity. Odcinek nią inspirowany poniekąd zawiera w sobie cały serial. Dokonuje ekspozycji jego kluczowego motywu: wtargnięcia nadprzyrodzonej, okrutnej, „boskiej" – czy może „diabelskiej" – sprawiedliwości wymierzającej karę światu władzy, bogactwa i przywileju.

Zakład z diabłem o głowę

Kolejne odcinki przynoszą motywy z innych opowiadań Poego: „Zabójstwa przy rue Morgue", „Czarnego kota", „Beczki Amontillado" czy „Serca oskarżycielem". Nie wszystkie uwspółcześnione odniesienia pracują w serialu tak dobrze, jak motyw z „Maski", czasem wydają się użyte w sposób dość mechaniczny i wysilony. Sprawdza się za to czytana z offu poezja autora „Kruka", komentująca kluczowe momenty zwrotne.

Narracja wraca też do początków potęgi rodu: drogi Rodericka i jego siostry Madeleine do wielkich pieniędzy. Rodzeństwo to nieślubne dzieci prezesa farmaceutycznego giganta Fortunato i jego sekretarki. Ich ojciec nigdy nie uznał potomstwa. Młodzi Usherowie zostają z niczym, ich droga do odzyskania kontroli nad firmą, którą powinni odziedziczyć, wymaga niezwykłego sprytu, determinacji i braku skrupułów. To w istocie opowieść o faustowskim pakcie, który nie jest pozbawiony intencji trudnych do potępienia z góry. W przeciwieństwie do kolejnego pokolenia Usherów, młodzi Roderick i Madeleine budzą sympatię, jeśli nie podziw. Zostali skrzywdzeni, ograbieni, walczą o odzyskanie dziedzictwa, mierząc się z uprzedzeniami i ograniczeniami, które u większości ludzi skutkowałyby wyłącznie rezygnacją.

Nie chodzi im przy tym, przynajmniej z początku, wyłącznie o pieniądze. Pragną zmieniać świat. Przekonują samych siebie, że innowacyjny lek, jaki wprowadzili na rynek, jest błogosławieństwem dla zmagających się z bólem pacjentów. Inaczej niż u Goethego, w serialu Flanagana z umowy z diabelskimi siłami nie da się wyjść ocalonym. Jak mówi tytuł jednej z noweli Poego, nie można zakładać się z diabłem o głowę, gdyż zakład ten jest przegrany już w momencie jego zawarcia.

Biorąc pod uwagę, że diabelski zakład Usherów ma miejsce tuż przed rewolucją Reagana – w którą Madeleine i Roderick widzą szansę dla młodych, ambitnych, startujących od zera ludzi takich jak oni – w diabelskich siłach nietrudno doszukać się alegorii zderegulowanego, neoliberalnego kapitalizmu.

Gęstość koszmaru

Flanagan wielokrotnie dowodził wyczucia konwencji horroru. Widać to w wielu momentach „Zagłady domu Usherów": w umiejętności inscenizowania makabry, zapuszczania się w rejony delirium, sadyzmu i obsesji, używania niesamowitości i grozy jako metafory złożonych problemów. Reżyser zgromadził też zespół aktorów zdolnych zrealizować jego wizje. Wraca on i w tym serialu, choć akurat najlepsze role tworzą tu aktorzy współpracujący z Flanaganem po raz pierwszy: Mark Hamill jako Arthur Pym, a zwłaszcza Willa Fitzgerald jako młoda Madeleine: wybitnie inteligentna, zdeterminowana młoda kobieta, lekceważona – ku ich zgubie – przez kolejnych mężczyzn stojących na jej drodze.

Jednocześnie produkcji tej czegoś brakuje, by była dziełem nie tylko dobrym, ale też do końca spełnionym. Inscenizowany przez Flanagana na przestrzeni ośmiu odcinków koszmar trochę zbyt łatwo poddaje się interpretacji i w zbyt oczywisty sposób układa się w antykapitalistyczny moralitet.

Tymczasem najwspanialsze dzieła grozy – filmowej, serialowej, literackiej – powinny, podobnie jak najbardziej przerażające i fascynujące koszmary, stawiać interpretacyjny opór, nie pozwalać się odczytać wyłącznie jako alegoria indywidualnych czy psychologicznych problemów. Najlepsze ekranowe koszmary zawsze pozostawiają jakiś nadmiar, z którym żadne takie interpretacje sobie nie poradzą.

W uwspółcześnionej „Zagładzie domu Usherów" poczucie owego nadmiaru pojawia się w bardzo niewielu miejscach. Szkoda, zwłaszcza że dzieło Poego dostarcza całej parady splątanych, niedających się zamknąć w żadnej interpretacji, budzących niewytłumaczalną fascynację koszmarnych obrazów. ©

Opowieści z wnętrza

ANITA PIOTROWSKA

Ten film wytrąca z rutyny i zobojętnienia. Pułapek, w które łatwo wpaść, nawet gdy widzi się grozę wojny.

Wojny toczą się dzisiaj na naszych oczach i pewnie dlatego wydają się jeszcze bardziej nierealne. Dzięki bezpośredniej transmisji i powszechnej dostępności nowych technologii można śledzić wydarzenia w każdej niemal części świata i w czasie rzeczywistym, ale to zaledwie pozór uczestnictwa. Dużo bardziej jesteśmy „tam" i możemy lepiej owo „tam" zrozumieć za sprawą uczciwych i wnikliwych filmów dokumentalnych. O wojnie w Ukrainie powstały już dziesiątki podobnych tytułów – ten jest naprawdę wyjątkowy.

Kiedy dopada nas informacyjne i pomocowe zmęczenie, a wydarzenia za naszą wschodnią granicą zostają przykryte przez inne wojny, „Skąd dokąd" wytrąca ze zobojętnienia i rutyny patrzenia. Nagradzany na całym świecie dokument Macieja Hameli z początku zdaje się rozmyślnie zawężać perspektywę, montując główną kamerę mniej więcej na wysokości samochodowego lusterka wstecznego. I kieruje ją na ludzi, z których każdy jest z nami zaledwie przez kilka minut. Twórca tego filmu był przez wiele miesięcy wolontariuszem kursującym między Polską a Ukrainą. We własnym vanie, kupionym na tę okazję, przewoził cywilów z zagrożonych i zdewastowanych terenów, a jego film jest przede wszystkim świadectwem wielkiej ewakuacji. Tyle że skupiając wzrok na pojedynczych ludziach w drodze, na ich historiach i obrazach przepuszczonych przez ich spojrzenie, nieoczekiwanie otwiera przed nami historię znacznie bardziej rozległą. Wychodząc od indywidualnych doświadczeń, opowiada o zuniwersalizowanym losie uciekiniera, który zmierzając ku miejscom lepszym i bezpieczniejszym, jednocześnie coraz bardziej oddala się od swego domu.

Takich osób i historii mogłoby być kilka milionów, bo tak wielka jest dziś skala ukraińskiego wychodźstwa. Hamela od pierwszych tygodni wojny zdążył przewieźć setki takich ludzi i pewnie setki razy słyszał na posterunkach kontrolnych tytułowe „skąd?" i „dokąd?". To drugie, choć znamy kierunek jazdy, za każdym razem stanowi wielką życiową niewiadomą. Pierwsze oznacza pozostawiony za sobą cały dotychczasowy świat. Na przykład ukochaną krowę nazywaną przez rodzinę „Piękniutką", bowiem większość bohaterów Hameli to mieszkańcy ukraińskich wiosek czy małych miejscowości. Trudno dotrzeć tam z pomocą, gdy pojazd grzęźnie w błocie, drogi bywają zaminowane, a GPS traci orientację. W trakcie tej filmowej drogi zmienia się co chwila skład pasażerów, zmieniają się pory roku i pory dnia tudzież relacjonowana przez radio sytuacja na froncie – jednakże uważność, otwartość i gotowość do rozmowy ze strony twórców filmu pozostają niezmienione. Kamera rzadko opuszcza wnętrze vana i można tę metodę potraktować zarówno dosłownie, jak też symbolicznie.

Mimo że reżyser musiał dokonać wyboru wątków i postaci, ma się wrażenie ciągłości i spójności tej historii. W jednym, ograniczonym miejscu, w warunkach zagrożenia życia, spotykają się na parę godzin ludzie, którzy normalnie mieliby znacznie mniejsze szanse się poznać. I nie tylko dlatego, że pochodzą z odległych od siebie zakątków kraju. Młoda kobieta w ciąży okazuje się surogatką, zarabiającą w ten sposób na remont domu i otwarcie własnej cukierni. Pojazd zamienia się w karetkę pogotowia, kiedy na pokładzie zjawia się ciężko ranna kongijska studentka, dobrze zadomowiona w Ukrainie. Jest też była żołnierka z Azowstalu, są ukochane koty w transporterach i zwykłych koszykach, są wzruszające pożegnania i powitania. Nigdy jednak nie ma w tym emocjonalnego nadużycia – współodczuwamy z bohaterami bezwarunkowo. Wystarczy, że łączy ich wszystkich bezdomność, zmęczenie, strach. W warunkach zagrożenia życia pomoc humanitarna nie zna koloru skóry, nie prześwietla życiorysów i nikogo nie ocenia, podobnie jak film Hameli.

Tymczasem za oknami busa wyświetla się zupełnie inny film, bardziej katastroficzny niż wojenny. Albo z gatunku „postapo": półmartwe miasta z wydrążonymi domami, pozrywane mosty, wraki

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

SO FILMS / MATERIAŁ PRASOWY

SKĄD DOKĄD
– reż. Maciej Hamela. Prod. Polska/Francja/ /Ukraina 2023. Dystryb. So FILMS. W kinach od 24 listopada.

Maciej Hamela jest dokumentalistą oraz producentem filmowym i radiowym. Studiował reżyserię w Paryżu i współpracował z BBC. W 2021 roku zrealizował krótki dokument „Pozdrawiam", nagrodzony na festiwalu w Cannes. „Skąd dokąd" jest jego pełnometrażowym debiutem.

Powyżej: kadr z filmu „Skąd dokąd".

pojazdów na poboczach, podziemne schrony, w których ukrywa się pięćdziesięcioro zapomnianych ludzi, tabuny bezpańskich psów... Chwilami przebłyskuje tam jakiś neutralny „film przyrodniczy", mimo że nawet piękny zachód słońca może skojarzyć się komuś z płonącym domem. Ale kiedy jeden z pasażerów opowiada o torturach, jakim poddawali go Rosjanie, zachowuje się ze spokojem, zgoła na luzie. Mimo strasznych i ciągle świeżych wspomnień, bohaterowie polskiego dokumentu są lakoniczni i rzeczowi, a czasem po prostu nie mówią nic. I nie trzeba być kilkuletnią dziewczynką, która pod wpływem wojennej traumy zaniemówiła. Zresztą większość dzieciaków zachowuje się w podróży podejrzanie grzecznie, czasem zadają dziwne pytania („mamo, czy te czołgi są prawdziwe?") i nawet ich pluszaki zdają się mieć poważne miny. Wobec takiej powściągliwości również sam reżyser stara się nie epatować koszmarem, nie uprawia filmowej turystyki wojennej. Na zewnątrz pokazuje zazwyczaj tyle, ile widzą w danym momencie jego pasażerowie. To wszystko tworzy na ekranie atmosferę bliskości, wręcz intymności, czemu sprzyja oszczędna muzyka Antoniego Komasy-Łazarkiewicza, która dopiero przy napisach końcowych przechodzi w podniosłą pieśń chóralną.

Prócz wrzuconych na koniec informacji, „Skąd dokąd" pozbawione jest zewnętrznego komentarza. Hamela najwyraźniej hołduje zasadzie, iż mniej znaczy więcej. Wie, że ważniejsza w tego rodzaju dokumentach bywa naoczność, bycie tu i teraz, bez nadmiernej odautorskiej ingerencji. Pozwala to zbliżyć się nam do bohaterów prawie fizycznie – tak że nieomal czujemy ludzkie oddechy i zapachy, co poza ekranem, zwłaszcza w naszych aseptycznych, zapośredniczonych ekranami czasach, bywa problematyczne. Poza wszystkim ten film okazuje się rzadkim przypadkiem, kiedy sztuka i aktywizm, tym razem podejmowany z narażeniem własnego bezpieczeństwa, stają się jednym. Siedzący za kierownicą reżyser ma do wykonania konkretne zadanie, czyli przewieźć umówionych ludzi z punktu A do punktu B. Zachowuje się jak kierowca marszrutki, który wypełnia sobie czas podróży gawędząc ze swoimi pasażerami. Za chwilę zastąpią ich inni i wnętrze samochodu wypełnią też inne historie. Pozwala to spojrzeć na początki ukraińskiej wojny nie jak na zdarzenia już historyczne, lecz dziejące się ciągle tuż obok. W taki sposób pisze się historia w swoim najbardziej codziennym, ludzkim wymiarze. O nim, niestety, zapomina się najszybciej w natłoku kolejnych newsów. ©

Lektor:
Władza i srebro

▪ *Joseph Conrad*
NOSTROMO. OPOWIEŚĆ Z WYBRZEŻA
Przełożył i słowniczkiem opatrzył Maciej Świerkocki.
Posłowiem opatrzył Michał Komar.
Wydawnictwo Officyna, Łódź 2023, ss. 544

Nowe przekłady dwudziestowiecznej klasyki, głównie anglosaskiej, płyną szeroką falą. „Ulisses" Joyce'a (Maciej Świerkocki), „Pani Dalloway" Virginii Woolf i opowiadania Katherine Mansfield (Magda Heydel), dawno nie przypominany Faulkner: „Światłość w sierpniu" (Piotr Tarczyński) i nietłumaczona u nas wcześniej pierwotna, obszerniejsza wersja „Sartorisa", czyli „Flagi pokrył kurz" (Maciej Płaza) – to tylko wybrane przykłady.

Maciej Świerkocki sięgnął teraz po jedną z najważniejszych i bodaj najszerzej zakrojoną powieść Conrada, powstałą u progu zeszłego wieku. Miał poprzedników: Stanisława Wyrzykowskiego, Jadwigę Korniłowicz (córkę Henryka Sienkiewicza) i Jana Józefa Szczepańskiego. Prawdziwie hipnotyczne doświadczenia lekturowe z przeszłości – a do takich należy dla mnie wykreowany przez Conrada zatrważająco realistyczny i szczegółowy obraz Costaguany, fikcyjnej republiki latynoamerykańskiej – zawsze kojarzą mi się z konkretnym miejscem i konkretnym egzemplarzem książki. W tym przypadku – ze starym drewnianym domem w Kościelisku i pożółkłym przedwojennym wydaniem nieco archaicznego przekładu Wyrzykowskiego. Podhalańska zima i amerykańskie tropiki? – cóż, tak już u mnie zostanie. Tyle że teraz lepiej się czyta. Może więc i was olśni.

Norman Sherry w „Zachodnim świecie Conrada" zauważył, że „Nostromo" to obraz formującego się społeczeństwa, gdzie trwa nieustanna walka: „Działające tu siły – chciwość, głód władzy i straszliwe okrucieństwo – na ślepo wspierają lub hamują, albo też są pobudzane przez faktycznie umacniającą się bazę gospodarczą". Rzecz o bezwzględnej rywalizacji, rewolucji i srebrze. Ale też gorzka opowieść o miłości i honorze. A wizja Costaguany – oparta zresztą bardziej na rozlicznych lekturach i świadectwach XIX-wiecznych niż na doświadczeniu – zapowiada zarówno przyszłość wielu krajów Latynoameryki, jak i cały nurt tamtejszej prozy.

Michał Komar, nasz wspaniały conradysta, pisze w posłowiu: „Przed pół wiekiem czytałem »Nostroma«, podziwiając sposób, w jaki Conrad tworzył powieść. Dziś wydaje mi się, że mam przed sobą wielki reportaż, fikcję-niefikcję, opisanie już nie tylko Ameryki Południowej, lecz całego świata, opisanie prześwietlające totalność przeznaczenia gatunku ludzkiego". Mrocznego przeznaczenia. ©℗

OLGA

Drenda:
Klątwa opowieści

Czytam w „Wired", że większość informacji, jakie docierają na Zachód w związku ze strasznymi wydarzeniami w Strefie Gazy, jest fałszywa – w stopniu nieporównywalnym rzekomo z wcześniejszymi kryzysami i konfliktami. Jednocześnie trafiam na doniesienia, z których wynikało, że dezinformacja weszła na dodatkowy poziom: nową metodą manipulacji ma być oskarżanie o szerzenie nieprawdziwych informacji właśnie. Potem czytam o subtelnych sposobach operowania sztuczną inteligencją: samo rzucenie podejrzenia, że jakieś zdjęcie zostało zmanipulowane przy pomocy narzędzi SI, może być skuteczniejszą metodą wojny informacyjnej niż fikcyjne zdjęcie (albo fragment gry Arma 3 podpisany jako autentyczne nagranie, co również się zdarzyło). Dramat, który dziś obserwujemy z daleka, podsuwa myśli o kryzysie względnych i pozornych oczywiście, ale dających jakąś nadzieję ustaleń prawa międzynarodowego, a co za tym idzie, o kryzysie ludzkości w ogóle, ale też o kryzysie wiarygodności.

Mając luksus życia w spokojnej części świata, naturalnie możemy sobie dywagować na różne tematy, ale nie jest prawdą, że wydarzenia „gdzieś daleko" nie odbijają się na nas. Do Polski i tak dociera relatywnie niewiele pogłębionych informacji z zagranicy – tak wygląda dziś nasz medialny ekosystem. Rezultaty widzę dwa, oba zgubne: po pierwsze, komfort pozornej obojętności. Kiedy nie wiemy, komu wierzyć, łatwiej uznać, że nic nas nie obchodzi jakiś inny kawałek globu. Wstrzymamy się przed udzieleniem pomocy czy wsparcia, nie chcąc ryzykować poczucia, że postąpiliśmy naiwnie. Drugi skutek to większa podatność na fałsz. Nie mając materiału porównawczego (bo nic nas to wszak nie obchodziło), pierwszy lepszy materiał przypominający osobistą relację weźmiemy za dobrą monetę – nawet jeśli wydajemy się sobie samym bardzo przytomni. Nasza chata nie jest z kraja.

Tu coś się zdarzyło. To zwyczajny las. Ale także dawny obóz jeniecki.

OLGA DRENDA

Podpisałam list otwarty – akt solidarności z dziennikarzami i dziennikarkami, którzy są na miejscu, a zarazem apel o przestrzeganie rzetelności i niepowielanie niesprawdzonych wiadomości. Wiem, że to nieduży gest. Chcę wiedzieć, co się dzieje, chcę – zgodnie ze starą uliczną maksymą – „patrzeć, komu ufam"; niestety, gubię się, wszyscy się gubimy, wszyscy jesteśmy podatni na procesy inżynierii behawioralnej. Patrzę na serwis dziennikarstwa śledczego Bellingcat: ci radzą śledzić livestreamy, pamiętając jednocześnie, że nie muszą być one bezstronne. Wystarczy pamiętać, gdzie ustawić kamerę.

Przypominam sobie, że Leopold Buczkowski, wybitny i bezlitosny pisarz polski, który przeżył okrucieństwa II wojny na ziemi lwowskiej, a potem w Warszawie, był radykalnym wrogiem opowieści. Wierzył, że tam, gdzie zaczynamy układać zdarzenia w ciągi przyczynowo-skutkowe, wkrada się fałsz – dlatego sam pisał tak, by niszczyć, sabotować zalążki narracji. O Buczkowskim myślałam często w związku z wstrząsającą powieścią „Drobny szczegół" palestyńskiej pisarki Adanii Shibli, w której padają słowa, że skupienie na drobiazgu bywa jedynym sposobem dotarcia do prawdy. Choć niewykluczone, że na zawsze będziemy tu bezradni, jako *homini narrantes*.

Być może, żeby starać się utrzymać blisko możliwej prawdy, trzeba ignorować wszystko, co przypomina opowieść. Dlatego odnotowuję kadry, które bez towarzyszącej im opowieści mówią jasno: tu zbiory „przemoc" i „normalne życie" naszły na siebie. Bez komentarza widzimy, że stało się coś strasznego w izraelskich domach zaatakowanych przez Hamas: ślady strzałów i krew pokrywają banalne zawieszki z napisem „Home sweet home" i zwykłe meble z sieciówki. Pamiętam, że kilka dni przed 7 października pani Naeema Mabed otworzyła w Gazie kocią kawiarnię; dziś budynek, w którym się mieściła, już nie istnieje. Z przejazdu polskiego wolontariusza kilka tygodni po rosyjskiej agresji na Ukrainę zapamiętałam ozdobne przęsła betonowe, takie jak w Koluszkach albo Zawierciu; ktoś chciał sobie postawić nowy dom i już go stracił. Albo fragment starego filmu dokumentalnego o Rwandzie: niesławne radio Mille Collines, które jawnie nakłaniało do zabijania, w tle wezwań do ataku puszcza pogodny przebój Heavy D and the Boyz „Now That We Found Love". To nie są opowieści, to nie są głosy w sprawie: to migawki, które przypominają o zwyczajności grozy, o tym, że przemoc nagle skrapla się w życiu. ©

Tygodnik Smaków – co piątek w Twojej skrzynce przepisy na Tygodnikowy lunch, deser, obiad. Zapisz się na **powszech.net/tygodnik-smakow**

PAWEŁ

Bravo:

W co się pakujemy

Sześćdziesiąt miliardów euro, jakie niemiecki rząd odłożył na proklimatyczne inwestycje, przepadło wskutek wyroku tamtejszego Trybunału Konstytucyjnego. Nawet znani z omnipotencji sędziowie z Karlsruhe nie mają jeszcze mocy zamiany złota w piasek, ale efekt był podobny, gdy orzekli, że władza wykonawcza nie miała prawa wedle swojego zielonego widzimisię zgarnąć pieniędzy niewykorzystanych na pomoc covidową i stworzyć z nich *ad hoc* nowego funduszu.

Okazało się, że nie tylko polski rząd lubi czasem pójść na skróty i mieć święty spokój z regułą wydatkową, wyprowadzając grubą kasę poza budżet. Taka jednak drobna różnica, że w menu obiadów domowych, jakie tamtejszy Trybunał wydaje dla kanclerza, figuruje przeważnie Schwarzsauer, czyli czarna polewka (jeśli na bogato, to ze świńskim ryjem i ogonem, jeśli bieda, to z warzywami i suszonymi śliwkami, wtedy mamy westfalskie Blutgemüse). Bez tych miliardów Zieloni tracą możliwość osiągania celów, które były dla nich ceną trwania w bardzo kanciastym trójkącie z czerwonymi i żółtymi.

W ogóle, jak się nad tym zastanowić, pomysł, żeby aktywność na rzecz środowiska naturalnego powiązać z zielenią, wcale nie jest taki bliski zmysłowemu doświadczeniu przyrody: w europejskiej bowiem strefie umiarkowanej przez wiele miesięcy nie ma w niej wiele zieleni, są za to odcienie szarości i brązu nakrapiane jeszcze na żółto ostatnimi ocalałymi na gałęziach liśćmi. Również końcówka tego listopada mało sprzyja zieleni: Holendrzy idą do wyborów i wiele wskazuje na to, że nie będzie to pomyślny dzień dla Fransa Timmermansa. Ma ambicje, by zostać premierem, ale na jego drodze może stanąć własny czteroletni, ogromny dorobek jako naczelnego popychacza Zielonego Ładu z ramienia Komisji Europejskiej. Niewielu ludzi wpłynęło w ostatnich latach, może poza Władimirem Putinem, na realia naszej codzienności w równym stopniu, co ten polityk. Być może zapłaci za to, w lokalnej skali swego kraju, cenę, bo popychał, a i owszem, butem i z butą.

Coraz częściej zresztą od zielonej ciuchci odpadają wagoniki – wybaczcie przedszkolną metaforę, ale to służby informacyjne Unii używają koncepcji „legislacyjnego pociągu", gdy objaśniają dziennikarzom postęp prac legislacyjnych. Parlament strasburski właśnie głosuje nowe prawo dotyczące opakowań i recyklingu. Zmiana tych regulacji – w stronę niemal całkowitej rezygnacji z jednorazówek oraz wysokiego udziału surowców wtórnych – miała być jednym z ostatnich aktów Zielonego Ładu, ale opór materii okazał się ogromny. A raczej opór producentów tejże materii.

Przy żadnej sprawie ostatnio, nawet przy zakazie silników spalinowych, korytarze unijne nie widziały takiej fali namolnego lobbingu. Branży udało się nieco powybijać zęby nowym przepisom. Komisja i parlament tonęły w sprzecznych nawzajem raportach i ekspertyzach. Czy gdyby McDonald's musiał sprzedawać w zwrotnych pudełkach z twardego plastiku, to czy ich mycie, a potem utylizacja, gdy po iluś razach przestaną się nadawać do użytku, nie byłyby większym obciążeniem dla środowiska niż obecny system jednorazówek? To tak skomplikowane, że rozsądnie byłoby nie mieć zdania i nie musieć nic decydować.

Jedno wiem teraz na pewno: jak bardzo nasz łańcuch pokarmowy jest *de facto* zależny nie od tego, co jemy i skąd to się bierze, tylko od tego, jak to pakujemy. Eksperyment myślowy: spróbuj przez tydzień gotować i jeść, jakby nie istniał plastik i wszystkie jego formy znane ze sklepu i lodówki, wzbudził we mnie lekki popłoch. Ale skoro połowa „nowego" papieru i prawie połowa plastiku w Europie idzie na opakowania, a wśród nich najbardziej kłopotliwe są te od żywności, jakiś rodzaj niewygody chyba nas nie ominie. Kapsle na szklanych zwrotnych butelkach z kefirem były, dobrze to pamiętam, bo od niego zaczynałem każdy dzień, zielone. ©℗

Brak nam świeżej zieleni, nie wspominając o czerwieni pomidorów, ale w kuchni mamy za to niezawodny barwnik żółty, czyli kurkumę oraz (dla majętnych) szafran. W poniższym sycylijskim przepisie szafran służy, aby danie nie miało koloru burej ścierki, ale jeśli wam to nie przeszkadza, możecie go pominąć. Nazywa się to broccoli arriminati, ale ponieważ Sycylia to w wielu sprawach Włochy na opak, broccolo u nich znaczy kalafior (zielone brokuły to sparacelli). Dzielimy małego kalafiora na różyczki, rzucamy na osolony wrzątek na 10 minut, odcedzamy, zostawiamy wodę. Na dużej patelni dusimy pomalutku cebulę na oliwie wraz z paroma filecikami anchois. Kiedy się rozpadną, a cebula będzie miękka, dodajemy garść namoczonych i odcedzonych rodzynek, odrobinę szafranu rozpuszczonego w 50 ml ciepłej wody i łyżeczkę koncentratu pomidorowego, mieszamy parę minut, dodajemy kalafiora i chochelkę wody, w której się gotował. Przykrywamy i dusimy jeszcze z 10 minut pod przykryciem, delikatnie rozgniatając różyczki drewnianą łyżką, by powstał w miarę jednorodny gęsty sos. Gotujemy makaron (np. penne) w wodzie po kalafiorze, kiedy jest mocno al dente, przekładamy na patelnię z sosem i łączymy go na gorąco. Na wydaniu można posypać mocno uprażoną bułką tartą.

ADOBE STOCK

CO GRA DOM

BOGUSŁAW BARNAŚ, ARCHITEKT:

Legalizujemy coś dopiero, kiedy zostanie docenione na Zachodzie. I jak już będzie w podręcznikach, powiemy, że chcemy mieć i w Krakowie. Ale to nie są kompleksy.

JACEK TARAN: Mieszkaliśmy w tym samym bloku w Mielcu, ja na dziewiątym piętrze.

BOGUSŁAW BARNAŚ: Tak, ulica Dworcowa. Ja na pierwszym.

Co widziałeś z okna?

Z jednej strony ogromną przestrzeń pomiędzy blokiem a wiaduktem alei Niepodległości. Graliśmy tam w piłkę. Bywały wielkie mecze, „blokówy", czyli blok na blok, a potem zaczęła się budowa centrum handlowego Pasaż.

A z drugiej strony były właśnie te bloki, z których rekrutowały się drużyny.

Wtedy były szare, teraz naniesiono na nie tę powszechną pastelozę. Wtedy były chyba fajniejsze, bo dziś z tymi kolorami przesadzają, nie? Mogliby je jednolicie traktować, a nie w jakieś wzory.

Dorastanie w takim otoczeniu to doświadczenie milionów Polaków. Czy ta perspektywa była dla Ciebie w jakiś sposób ważna?

Nie aż tak bardzo. Najbardziej siedzą mi w pamięci obrazy widziane z autobusu. Często jeździliśmy z rodzicami do rodziny. Siadałem przy oknie i zaczynałem „zabawę w domy". I tak sobie wymyślałem – o, przesuniemy gościowi ten dom tam i dosadzimy kilka drzew. A to pole damy gdzie indziej. Wierzyłem wtedy, że obraz za szybą przesuwa się naprawdę. Często było tak, że najzwyklejsze domy odbierałem jako dzieła sztuki, ciekawe formy. Niektóre pamiętam do dziś. Słaby styl wczesnych lat 90., ale wydawały mi się świeże, nowe, robiły wrażenie. No, a potem zobaczyłem, jak budują Pasaż i nie było już gdzie grać w piłę...

Co powstało?

Powstał budynek nieużyteczny. Ale to jest problem całego Mielca, który nigdy nie wypiękniał, a miał na to szansę. Zobacz, miasto, które miało około 10 tysięcy mieszkańców, nagle wraz z utworzeniem Centralnego Okręgu Przemysłowego puchnie, a po wojnie w szczytowej fazie ma już blisko 70 tysięcy. Powstaje unikatowy układ urbanistyczny, nie gorszy niż w Nowej Hucie, która przecież ma być wpisana na listę UNESCO.

Mielec na listę UNESCO? Nie przesadzasz?

Ani trochę. Mamy tu niesamowitą oś rekreacyjną. W jednej linii baseny, hala sportowa, stadion, na którym grał Real Madryt, park z biblioteką, dom kultury, główny plac miejski i na końcu nieco odchylony od tej osi kościół na wzgórzu, który jest pomieszaniem jakiegoś Corbusiera, modernizmu i czegoś z innej epoki. To całe osiedle, które powstało po wojnie, ortogonalny układ ulic i właśnie ta oś sportowo-rekreacyjna tworzą unikatowy układ urbanistyczny. I to wszystko zostało zepsute. Dom kultury wymalowano w jakieś pstrokacizny, na placu wzniesiono drogie, ale do niczego niepotrzebne konstrukcje podobne do szubienic, absurdalną fontannę.

A co z blokami? Mają jeszcze jakąś szansę wypięknieć?

Tak, ale to wymaga wysiłków i dobrych, przemyślanych projektów, a nie klejenia styropianu. Wyobraź sobie, że do naszych bloków na Dworcowej dobudowujesz z każdej strony pięć metrów konstrukcji stalowej. I te dodatkowe przestrzenie są całkowicie przeszklone, powstają na nich tarasy. Nagle budynek staje się supernowoczesny, tarasowy, przeszklony. Odległości między budynkami są tak duże, że możesz naprawdę sporo zdziałać. Jak z naszej kuchni się patrzyło, to tam była ulica i troszkę pod górkę, pamiętasz?

Zjeżdżaliśmy z niej w zimie.

Tam teraz stoją samochody, które już się nie mieszczą. I jakby tam zrobić wjazd pod ziemię, a nad wjazdem pawilon na usługi, na wystawy. Teraz ludzie mają tylko tę ławkę przed klatką schodową. Wyobraź sobie tam przeszklony pawilon z zielonym ogrodem na dachu i windą, którą możesz zjechać do tych parkingów. Przyjeżdżasz na Dworcową, wjeżdżasz w podziemie, tam parkujesz, wchodzisz do windy, wychodzisz przez kawiarnię, w której gra muzyka, gdzie wiszą obrazy Doroty Łaz, mojej nauczycielki plastyki, czy pana Edwarda Kociańskiego, naszego sąsiada. Brakuje na osiedlach takich przestrzeni, to jest wielki grzech współczesnego myślenia o miejscu do życia.

Muzyka gra między blokami w Mielcu?

Weź pod uwagę, że w tych osiedlach mieszka teraz nowe pokolenie. Znam ludzi, którzy wracają do Mielca, bo mają tam dość dobrą pracę i wprowadzają się do tych bloków. No i ci ludzie, którzy z Krakowa po medycynie czy po filozofii wracają na Dworcową, może by słuchali jazzu, prawda?

Architektura i muzyka – to da się połączyć?

Niektóre projekty są wręcz tożsame z jakimś utworem albo kapelą. Dom Artysty jest ściśle powiązany z Radiohead. Dom Szwajcarski jest też powiązany z tym zespołem.

Na czym polega to powiązanie?

Trzeba patrzeć i słuchać muzyki równocześnie, wtedy się to lepiej widzi. Dom Artysty powstał dla architekta z Niemiec, który jest też rzeźbiarzem. Chciał, żeby ten dom był surowy. Beton i korten, rdzewiejąca stal, ogrodzenie ze ścianek Larsena. A muzyka Radiohead to właśnie jest stal, korten, beton.

Kreujesz klientom ich emocje?

O to właśnie chodzi! Oczywiście każdy przypadek jest inny. Weźmy Dom z Grotą, jeden z ostatnich projektów w Krakowie. Inwestor powiedział mi, że ma już kilka domów i zrealizuje kolejny pod warunkiem, że wniesie on coś nowego do architektury. Nie dał mi żadnych wytycznych, żadnych ograniczeń. Jedynie określił, że fajnie, gdyby miał ponad 500 metrów. Masz tylko wykreować coś spektakularnego. Musiałem odczytać tę przestrzeń z widokiem na Kraków i pomyśleć, co takiego ↦

BOGUSŁAW BARNAŚ doświadczenie zawodowe zdobywał m.in. u Normana Fostera w Londynie. W 2014 r. znalazł się na liście 20 najbardziej utalentowanych architektów na świecie. Jego projekty są stale nagradzane na międzynarodowych konkursach. W 2021 r. jego Małopolska Chata Podcieniowa (na zdjęciu obok wraz autorem) została uznana za najpiękniejszy dom na świecie. SARP przyznało mu tytuł Architekta Roku 2023. Ostatnio projekt hotelu Kamienica Krakowska został zwycięzcą konkursu The PLAN Award.

MATERIAŁY PRASOWE BXB STUDIO

↦ byłoby bardzo krakowskie i zarazem bardzo współczesne. No i zaczęło się łączenie wątków: może nie tylko cegła, ale baśniowość, legendy? I pojawiła się taka myśl – zróbmy taki dom, żeby Smok Wawelski chciał się do niego przeprowadzić.

Kto?

Smok: grota, las, łąka nad domem. Bo dom jest na wzgórzu, więc fajnie byłoby, gdyby był maksymalnie wysoko. A żeby był maksymalnie wysoko, to musi być nadwieszony, więc wchodzi się od tyłu, od strony Lasu Wolskiego. Ale nie chcę, żeby obchodzić budynek naokoło, bo to będzie niewygodne, więc przechodzimy pod budynkiem. Tak powstała grota z roślinnością pod nim.

Polska Zagroda

Dom z grotą – mieszkanie dla Smoka Wawelskiego (wizualizacja)

Mamy wizję architekta, mamy ludzi, którzy mają różne doświadczenia i oczekiwania, i co się z tymi ludźmi dzieje w kontakcie z taką architekturą? Jak ona ich zmienia?

Sam pamiętam, co się ze mną działo, kiedy zobaczyłem po raz pierwszy naprawdę dobry budynek – krakowską Mangghę przez okno autokaru. Byłem w ciężkim szoku, chciałem wysiąść. To był rok 1999 chyba. Pamiętam to wrażenie i myśl, czy tylko ja tego doznałem, bo jestem tak wrażliwy na architekturę, czy wszyscy w autokarze? I uważam, że chyba do dzisiaj nie ma lepszego budynku w Krakowie. Wydaje mi się, że jest kilka, które być może dobijają do tego poziomu, ale nikt go jeszcze nie przeskoczył.

Popodziwiamy więc sobie taką Mangghę, albo i Wenecję, a potem co? Kompletny bałagan urbanistyczny dookoła i „nikt mi nie będzie mówił, jaki mam mieć kolor dachu".

To w dużej mierze zasługa miejscowych planów, które są nielogiczne i często nie odpowiadają lokalnej charakterystyce. Dachówka ma być czerwona albo czarna, albo blacha grafitowa, a elewacja ma być biała, szara lub drewno i zakaz stosowania tworzyw sztucznych. Nie widziałem jeszcze ani jednego planu miejscowego, który porządkowałby przestrzeń w taki sposób, jak to widzimy np. w Austrii, w Szwajcarii. Praktycznie na każdej działce, na której projektowałem, mogę zrobić wszystko, byle dach był dwuspadowy.

Często też sami urzędnicy nie rozumieją, co jest w tych planach zapisane! Na Podhalu mieliśmy ciekawy przypadek. Użyliśmy stalowych elementów na elewacji, a pani urzędniczka mówi, że nie wyda pozwolenia na budowę, bo w planie miejscowym jest zakaz używania tworzyw sztucznych. „Stal nie jest tworzywem sztucznym" – tłumaczyliśmy. Zresztą plastikowe okna na elewacjach były tam na co drugim budynku.

Ale dalej nie widzę tu uszlachetniania ludzi przez architekturę. Czytam komentarze pod artykułami o Twoich sukcesach. Ludzie piszą: „ohyda, choćby mi dopłacali, nie wziąłbym".

Ludzie będą pisać negatywnie, bo hejt jest łatwo dostępną formą wyładowania frustracji. Nastawieni pozytywnie zazwyczaj nie piszą wiele. Rzadko mają okazję obcować z dobrą, współczesną architekturą, więc są zaskoczeni. Widzę, jak ludzie reagują na moje budynki, kiedy mają okazję osobistego doświadczenia. To często przypomina podróż w nieznane, odkrywanie czegoś nowego z nieskrywaną fascynacją. Widzę też, jak architektura wpływa na życie moich klientów. To jest to uszlachetnienie właśnie.

Problem leży w edukacji?

Nie tylko, to raczej kwestie historyczne i geograficzne. Pamiętasz, jak nas uczyli w szkole? Renesans na świecie i renesans w Polsce, barok na świecie i barok w Polsce. Zawsze był ten jeden wiek obsuwy. Tak było i tak dalej jest.

Próbujesz przeskoczyć te sto lat?

Projektowałem kamienicę pod Wawelem na ulicy Powiśle. To jest ciężki temat: projektować w takim miejscu coś współczesnego. Ludzie pytają: „Dlaczego pan nie zrobi czegoś modernistycznego?". Więc mówię, że modernistyczna to jest ta kamienica na rogu z płaskim dachem, ale uważam, że i tak powstała 100 lat za późno. Kiedy tworzyli Erich Mendelsohn czy Ludwig Mies van der Rohe, kiedy powstawał Bauhaus, był idealny moment, żeby ten narożnik powstał i żeby zapisał się w podręcznikach jako prekursor. Proszą mnie, żebym zrobił coś odważnego, ale żeby to było takie, jak robiło się sto lat temu!

To są nasze kompleksy?

Ja to nazywam zjawiskiem legalizacji. Nawet Sukiennice i Wawel projektowali Włosi, przenieśli tu renesans. Legalizujemy coś dopiero, kiedy już powstanie na Zachodzie i zostanie tam docenione. Wtedy my, jak już coś jest w podręcznikach, powiemy, że chcemy mieć i w Krakowie. Ale to nie są kompleksy, tylko utrwalony przez historię i edukację wzorzec.

BOGUSŁAW BARNAŚ:
W zależności od tego, w którym miejscu będziemy się znajdować względem kamienicy, dostrzeżemy inny styl architektoniczny. Z daleka ma on charakter wyraźnie gotycki. Z bliska zmieni styl, bo zauważymy elementy nawiązujące do renesansu, a nawet baroku. Nazywam ten projekt Architekturą Percepcyjną, bo zmienia charakter w zależności od perspektywy widza.

Obok: wizualizacja hotelu Kamienica Krakowska pod Wawelem

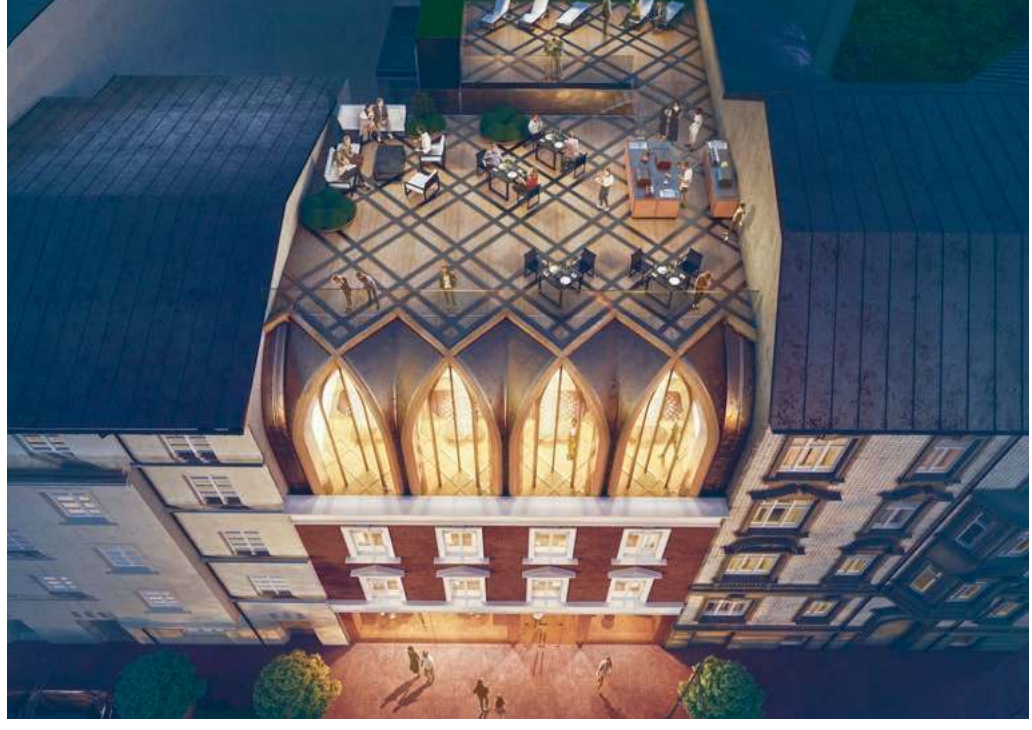

MATERIAŁY PRASOWE BXB STUDIO X3

Próbujesz swoją twórczością złamać tę blokadę?

Chciałbym. Ale to nie jest proste, szczególnie w mieście takim jak Kraków, gdzie bardzo dużo zależy od konserwatora zabytków. Usłyszałem, że ulica Powiśle nigdy nie była ulicą handlową, a ja chcę zrobić restaurację na parterze. A obok jest żabka i restauracja też. Ale kiedy tworzę w szczerym polu, gdzie nie czuwa konserwator i przychodzi do mnie klient, który ma doświadczenie życiowe, artystyczne i sam jest twórcą, jest dużo łatwiej.

Mówimy jednak o kimś wyjątkowym, o wąskiej grupie docelowej, a Ciebie inspirują polskie chaty, architektura drewniana naszych przodków. Dziś my, ich potomkowie, piszemy w internecie, że Twoje projekty to ohyda.

Uważam, że winę za to ponoszą też architekci. W pewnym momencie powstał modernizm i jego naczelna idea: „forma podąża za funkcją". Dlatego tak wiele modernistycznych budynków jest pozbawionych piękna, emocji, duszy i kontekstu. Są po prostu brzydkie i nudne. Ten kierunek zapomniał, że estetyka i emocje też są funkcją, być może najważniejszą, bo widoczną.

Wcześniej tak nie było?

W gotyku, renesansie, baroku wszystko miało być funkcjonalne, ale nadrzędną funkcją była estetyka, piękno, emocje. Dlatego każdy człowiek, jak widzi katedrę, to mówi, że jest ładna. Jak widzi renesansowy pałac, mówi, że to jest ładne. Ale jak widzi Bauhaus, pyta: co to za pudło? Nawet człowiek wykształcony powie, że to jest owszem świetne, ale nie powie, że to jest piękne. Z architektury współczesnej wyparowało to pojęcie. Niektórzy architekci wręcz się go wstydzą. Moim celem i mottem w pracy jest poszukiwanie piękna i odkrywanie nowej jakości zakorzenionej w tradycji.

Czy nawiązywanie do tradycyjnej polskiej zabudowy wiejskiej jest sposobem, by trafić do naszego poczucia estetyki?

Nie, to tylko jest klucz dla mnie, żeby wykreować coś nowego niebazującego na inspirowaniu się Zachodem. Żeby nie importować, tylko starać się czerpać z naszego bogactwa i kontekstu.

Czy zatem architektura może być patriotyczna?

Chciałbym, aby moja architektura była ambasadorem polskości. Pierwsze myśli o tym, co będę tworzył w Polsce i z jakiego rezerwuaru inspiracji będę czerpał, pojawiły się, gdy pracowałem w Londynie u Normana Fostera. W moim zespole byli Włosi, Hiszpanie, sporo Niemców i Anglików. W rozmowach z nimi czułem się jak bezpański pies. No bo co ja mogłem im opowiedzieć o polskiej architekturze? Może trochę o stylu zakopiańskim, ale to jest zbyt regionalne jednak. Miałem Włochom opowiadać o renesansie? Wtedy też doświadczyłem tego, że nie mogę wrócić do Polski i zaprojektować domu. To była pierwsza dekada lat dwutysięcznych i trend nazywania projektów po angielsku, np. Modern Residence albo Vienna Apartment.

Jednak Ci się udało.

Początki były bardzo trudne, bo ludzie nie chcieli mieć chaty, chałupy, zagrody. Chcieli coś nowoczesnego, a to im się kojarzyło tak: ma być hiszpańskie, całe białe, albo skandynawskie. Teraz to się zmieniło i przychodzą do mnie głównie tacy, którzy chcą mieć dom polski, na przykład podlaski.

To czego teraz słuchasz przy projektowaniu?

Fascynuje mnie teraz malarstwo i twórczość Wojciecha Fangora. Robię projekt, który nazywa się „CU39", podobnie jak Fangora „M39". Ten jego obraz to będzie cały budynek, bo ma wszystko. Jest kolor – zieleń i miedź. Będzie pokryty lamelami pionowymi, ale one nie są proste, jak linijka, tylko są formowane, żeby powstało wrażenie trójwymiaru. Jak patrzysz z przodu, to zobaczysz zieleń, bo między lamelami jest zielona ściana. Patrząc pod innym kątem widzisz, jak one wystają. Razem tworzą harmonię, a przecież harmonia jest podstawą piękna.

©℗ Rozmawiał JACEK TARAN

STANISŁAW

Mancewicz:
W innym świecie

Na temat p. Elżbiety Witek, byłej już marszałkini Sejmu polskiego, owej kobiety nieznoszącej feminatywów oraz wyników głosowań innych niż dla PiS-u zwycięskie, trzeba nakręcić film dokumentalny. Biograficzno-arytmetyczny. Edukacyjny. Wierzymy, że nasza dzielna kinematografia udźwignie to wyzwanie.

Oto film taki miałby wszelakie walory. Byłby dokumentem pokazującym, jak fabularyzować rzeczywistość na najzwyklejszym poziomie, byłby prostą pomocą dydaktyczną w nauczaniu polszczyzny, etyki, moralności, arytmetyki i rzecz jasna tzw. kultury osobistej. Można by go wyświetlać w dowolnym celu i w dowolnym miejscu, gdyż jego uniwersalne przesłanie zrozumiałe byłoby wszędzie. Rzecz jasna, motywem przewodnim filmu winny być operacje na liczbach, dokonywane przez E. Witek na oczach publiczności przez wiele ostatnich lat. Specyfika jej cyrkowych działań, wyniki i efekty osiągane przez bohaterkę są ciekawe dla każdego, kto rozumie sens liczenia, wszedł w zagadnienie liczb większych od mniejszych, słowem – można by film taki wyświetlać już w przedszkolach. W salkach dla starszaków. Jako, rzecz jasna, przestrogę lub, jak kto woli, zachętę dla każdego marzącego o karierze księgowego czy tzw. *consigliere* – doradcy grup, nazwijmy je tu rodzinnymi. To przyszłość, dzisiejszość zaś jest taka, że Elżbieta Witek, wedle oceny b. Gospodarza, jest – cytujemy bez wyrywania z kontekstu: „Z innego świata, z innej kultury. Tej wyższej. Oni są z tej niższej". Wypadałoby zatem zająć się nam dziś nie tyle decyzjami p. E. Witek wynikłymi z oglądania liczb, ale kulturą jej świata, jej wyższą odmianą, w której p. Witek króluje, osadzona tamże przez b. Gospodarza. Inny świat i kultura niższa też by wymagały choćby krótkiego opisu, są bowiem zapodane jako kontrast.

Rzec trzeba, że jesteśmy gruntownie bezradni wobec tej klasyfikacji. Próbujemy się inteligentnie domyślić, co miał na myśli p. J. Kaczyński, i wychodzi nam zaledwie tyle, że uważa on, iż Elżbieta Witek jest świetnie wychowana i bardzo kulturalna. Jest to ocena absolutnie szokująca. Wynika chyba ze znanego nam od dość dawna osobliwego mniemania p. J. Kaczyńskiego, czymże są dobre maniery i bycie kulturalnym. Każda pozytywna opinia owego arbitra elegancji z Żoliborza, na temat dowolnego człowieka, musi budzić zdziwienie. By wyrazić się jaśniej i dosadniej trzeba rzec, że im bardziej p. J. Kaczyński kogoś reklamuje jako człowieka kulturalnego i dobrze wychowanego, tym bardziej ów jest niekulturalny i gorzej wychowany. Jest to reguła bez wyjątków. Nie chcemy przytaczać tu żadnych nazwisk, ale nie jest to wcale objaw oportunizmu, po prostu ich wymienianie jest zbędne. Codziennie, od lat, słyszymy i widzimy ludzi dobranych wedle tego klucza i nigdy wcześniej dobór ten nie był przeprowadzony tak profesjonalnie pod względem znajomości przez kandydatów języka na wskroś robaczywego.

Z życiowych i politycznych spostrzeżeń p. J. Kaczyńskiego – powtórzmy to cenne zdanie: „Ona jest z innego świata, z innej kultury. Tej wyższej. Oni są z tej niższej" – to jedno naprawdę zasługuje na szczególną uwagę. Zwłaszcza wtręt o „innym świecie". W istocie, nie można się nie zgodzić, że nie tylko była marszałkini Sejmu jest z innego świata. Wygląda na to, że na innej planecie znajduje się cały zespół towarzyszący p. J. Kaczyńskiemu tudzież nieco jego wyborców i wielbicieli. Ich reakcje na wynik wyborów, czy na decyzje parlamentu, wskazują, że czegoś jakby nie przyjęli do wiadomości. Że rzeczywiście są w innym wymiarze, że naprawdę wierzą w magię innego sumowania i jest to niewątpliwie najciekawsze zdarzenie nie tylko w polskiej polityce ostatnich dziesięcioleci, ale też w świecie badań nad postrzeganiem rzeczywistości. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

REKLAMA

O co tak naprawdę toczą się wojny na świecie?

Teksty korespondentów wojennych największego kalibru w autorskim wyborze mistrza reportażu z jego osobistymi komentarzami i wspomnieniami

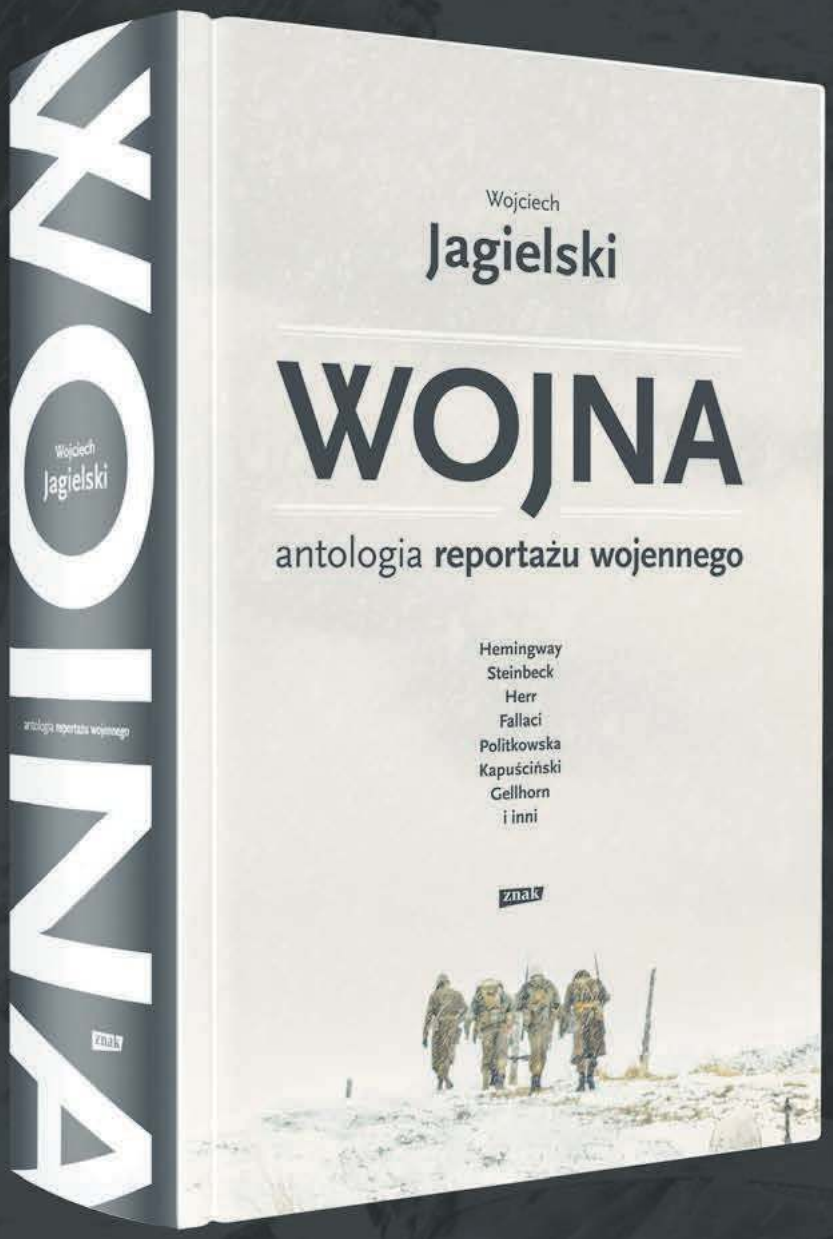

znak KSIĘGARNIA znak

REKLAMA

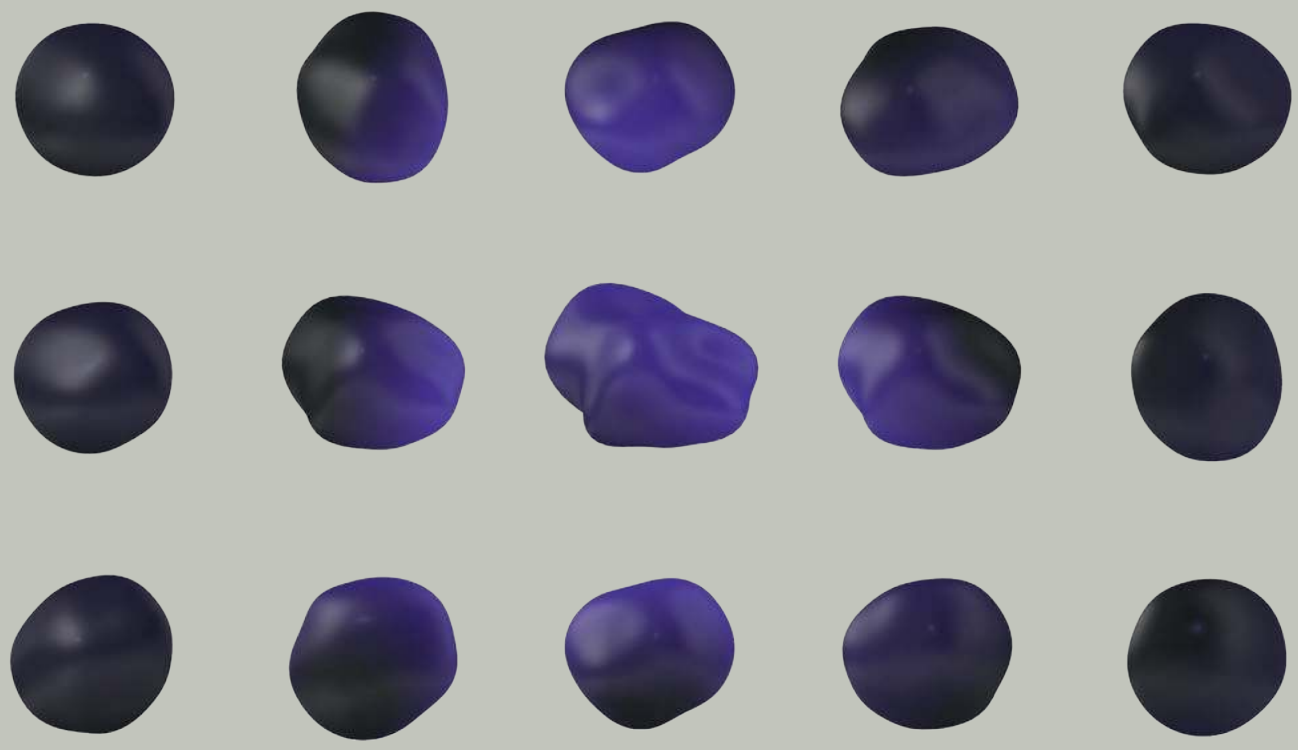

SZTUKA MA ZNACZENIE

OGÓLNOPOLSKI PROGRAM DOTACYJNY ARTYSTYCZNA PODRÓŻ HESTII 2024

Celem Programu jest wyłonienie i wsparcie projektów wystaw indywidualnych i zbiorowych pozwalających lepiej rozumieć wyzwania teraźniejszości i przyszłości.

Wnioski można przesyłać do:

30.12.2023 – dla instytucji kultury, zgłaszającej projekt realizowany do 30.08.2024

31.01.2024 – dla artysty/artystki

28.02.2024 – dla instytucji kultury, zgłaszającej projekt realizowany od 31.07.2024 do 29.12.2024

ERGO HESTIA

Więcej szczegółów:
artystycznapodrozhestii.pl